

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 20 (1468) ROK XXIX

17 MAJA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

- Rozmowa z prorektorem UŁ
- Gdzie umierają drzewa
- Jak się robi „Jarmark”
- Niebezpieczna elewacja hotelu „Centrum”
- Poezja Wacława Solskiego



Foto: Grzegorz Gałasiński

Z gorącą krwią

ROMAN KUBIAK

Krew była gorąca.

...pulsowała w skroniach, zamgliła oczy, przyłożyła dłoń do kolanby sztucera. Nacisnęła spust...

To był dziesiąty celny strzał myśliwego Karola M. Kuła, który nie daje zwierzyźnie żadnych szans, nie dała szans człowiekowi. Z rozprutej tętnicy buchnęła gorąca krew. Długo wsiąkała w ziemię, gdzie kiedyś stanie pewnie prosty brzozyowy krzyż, bo łowczy zginął na posterunku.

Pochówek był jak trzeba. Trzydziestu mężczyzn prawdziwych szło w kondukcje — ale nie było komu ponieść trumny. Salwa honorowa też nie padła, tylko minuta ciszy, po której umarli nie mają racji. Bo życie i łowy muszą trwać.

Z zimną krwią.

Czwartek, 19 grudnia 1985 roku. Dwaj myśliwi — Czesław H. i Karol M. sposobą się do wspólnego polowania. Mają zezwolenie na selekcyjny odstrzał dzika. Około godziny piętnastej trzydziści Karol M. zajeżdża samochodem pod warsztat kolegi i proponuje Czesławowi H. wieczorną wyprawę do lasu. Zapada zmrok, H. nie zdradza większej ochoty na spóźnioną eskapadę, zasłania się brakiem wolnego czasu. O godzinie osiemnastej ma ważne spotkanie w klubie, jest człowiekiem słynącym z przykładowej punktualności. Karol M. nalega, nie ukrywając, że bardzo zależy mu na pomyślnym rezultacie łowów. Nadchodzą święta, w domu M. szykuje się rodzinna uroczystość. Dłaczego byłaby mile widziana na biesiadnym stole.

Kilkakrotne usilne nalegania odnoszą skutek. Czesław H. decyduje się na krótki, półtoragodzinny wypad za miasto. Zabiera sztucer, latarkę i składany myśliwski stolek. Samochodem Karola M. jadą w kierunku pobliskiego lasu. W drodze omawiają szczegóły polowania: miejsce i sposób podejścia zwierzyzny. Po kwadransie samochód zatrzymuje się w zagajniku niedaleko wsi Ślaskowice na skraju województwa łódzkiego. Jest chłodny wieczór, śpią deszcz. Tutaj myśliwi zwyczajowo ustalają czas trwania łowów, sposoby porozumiewania się oraz wyznaczają moment opuszczenia stanowisk. Ten ostatni szczegół ma niezwykle znaczenie dla bezpieczeństwa uczestników polowania. Wszelkie niedyscyplinowanie może bowiem spowodować nieszczęśliwy wypadek. Biorąc pod uwagę zobowiązania Czesława H. wobec klubu, opuszczenie stanowisk musiało być wyznaczone nie później niż na godzinę siedemnastą trzydziści.

Czesław H. — lat pięćdziesiąt cztery, mechanik samochodowy. Jest doświadczonym myśliwym, poluje od kilkunastu lat. Kiedyś obwołali go „królem dzików” — w czterech ostatnich sezonach ustrzelił dwadzieścia trzy dorodne sztuki. Spokojny, zrównoważony, w kole łowieckim plasuje go godność łowczego.

Karol M. — lat trzydzieści osiem, hodowca drobiu. Ma zaledwie trzyletni staż łowiecki, od niedawna posiada broń kulową. Jest bardzo aktywnym działaczem koła, nie przepuszcza okazji uczestniczenia w polowaniach. Dotychczas „położył” dziewięć dzików. Koledzy przyznają, że bywa porywczy, nerwowy, kiepsko orientuje się w terenie leśnym.

Obaj myśliwi, choć dzielą ich znaczna różnica doświadczeń i temperamentów, od pewnego czasu polują razem. Inicjatywa należy do młodszego. Takich wspólnych łowów było pięć, może sześć. Raz ustrzelili odyńca.

6

Zielono w Pabianicach

RYSZARD BINKOWSKI

W głębokim wykopie na skraju drzew słychać wystrzały. To ćwiczą strzelanie do tarczy pabianickiej LOR-owcy. Stąd też Park Wolności nazywa się popularnie „strzelnicą”.

Stary park, stare drzewa, rosnące niemal w stanie dziczym. Od zachodu karolewskie pola i granica z województwem sieradzkim. Cisza, jak to na pograniczu w czasie pokoju. Ale ostatnio w tym dziewiczym ostępie, który cywilizacja pocięła elegancko asfaltowymi alejkami, zrobiło się takie zamieszanie, że zdezorientowane wiewiórki nie mogą trafić do swoich dziupli.

Jacyś ludzie chodzą, mierzą, dyskutują, inni wyciągają z krzaków butelczyny i śmieci, jeszcze inni malują ławki. Ro-

botnicy w kombinizonach porządkują amfiteatr, w którym ławki ustawione są jak na małym stadionie, a pani scenograf chodzi i pokazuje, gdzie co ma być postawione. I już widać nawet pierwsze stoiska. Będą wystawy rolnicze, kiermasze, punkty żywieniowe. Przy okazji będzie można kupić atrakcyjne artykuły przemysłowe.

A w amfiteatrze — kilkudziesięciu blok rozrywkowy, w którym jak dobrze pójdziesz, wystąpi dwadzieścia zespołów. Nie zabraknie rzecz jasna, rodzinnej „Bychlewiarki”.

Kawiarnia „Parkowa” też liczy na utarg. W „Parkowej” też zrobi się zielono.

Osiemnastego maja w Parku Wolności będzie zielono, kolorowo, głośno, radośnie. Oby tylko pogoda dopisała.

Pogoda powinna być na zamówienie, bo gmina Pabianice jest gospodarzem tegorocznych wojewódzkich obchodów Święta Ludowego.

Przygotowania idą pełną parą, działa komitet obchodów. Tutaj ludzie potrafią się dogadać. Gmina otacza zwartym pierścieniem miasto i oba organizmy żyją w symbiozie, z obopólną korzyścią. Miasto korzysta ze świeżej żywności i wypoczynku na trawce, wieś korzysta z miejskich sklepów, ośrodków kultury, a także z pracy w przemyśle. Nic przeto dziwnego, że wszyscy pomagają w organizacji chłopskiego święta. Wiceprezydent Jarcewski i naczelnik gminy, Mirosław Krata, WK ZSL w Łodzi i MK ZSL w Pabianicach z prezesem T. Niemcewiczem na czele, i sekretarz KG PZPR, tow. Marchewka i I sekretarz KM PZPR, tow. Bubak; pracownicy miej-

skiego przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej i strażacy z OSP, wśród których są także członkowie ZSL.

Osiemnastego maja do Pabianic przyjadą przedstawiciele władz centralnych z wicepremierem J. Kosińskim i członkiem Biura Politycznego, T. Czechowiczem, oraz władz wojewódzkich. Warto się starać o dobrą organizację, bo jak będą promieniły to, co tu ukrywać, można przy okazji załatwić kilka spraw lokalnych, kłopotliwych dla miasta i gminy.

Tylko strażacy z OSP pluja w trąby, bo nie będą mogli wystąpić na Święcie Ludowym, chociaż bardzo by chcieli. Stworzyli gminną, reprezentacyjną orkiestrę strażacką, ale z braku funduszy musieli wypotyżać instrumenty z kopalni „Bełchatów” i nie zdążyli się zgrać ani opracować solidnie repertuaru.

Kiedy w przeddzień Święta Ludowego rozmawiałem przed trzema laty z Wiesławem Stasiakiem, rolnikiem z Żytowic, a zarazem prezesem GK ZSL i GS „Samopomoc Chłopska” w Pabianicach, przejawiał on ostry optymizm, jak chodzi o sprawy społeczno-ekonomiczne wsi, i do niektórych problemów ustosunkował się krytycznie. Mówił szczerze, otwarcie, toteż

jego postawa tak się spodobała, że zaczęto domagać się bisów. Wiesław Stasiak jest na co dzień ciekawym bohaterem w Gminie, rolnicy go cenią i szanują, toteż nie wymaga dodatkowej reklamy w prasie. Chociaż, szczerze mówiąc, zamierzam z nim porozmawiać. Pech chciał, że w ostatniej chwili wezwano go telefonicznie na niemal całodzienną naradę do Łodzi.

Chciałem zapytać prezesa Stasiaka, co się zmieniło przez trzy lata, i czemu gmina Pabianice została gospodarzem wojewódzkich obchodów Święta Ludowego.

Pewne zmiany widoczne są gołym okiem. W sąsiedztwie magazynów GS przy ulicy Torowej stanęła elegancka geosowska piekarnia. Koszt — około 100 mln zł. Ale wypieka tak smaczny chleb, że stała się konkurencyjna dla piekarni miejskiej.

Gminne władze ZSL nie urządzają już w piwnicy. Z tym lokalem był ciężki orzech do zgryzienia. KG PZPR zajmował trzy niewielkie pomieszczenia, ale nie sposób było tego dzielić. A naczelnik nie miał gdzie umieścić pracowników swojej administracji. Sekretarz partii, Marchewka, zabiegał o lokal dla ludowców, naczelnik

Krata również, aż nadeszła wiadomość, że do gminy przyjeżdża prezes NK ZSL, Roman Malinowski. Wstyd byłoby wprowadzać takiego gościa do sutereny.

No i w końcu wygospodarowano lokal na piętrze. Drzwi wyłożone materiałem dźwiękochłonnym, na nich zielona tablica z napisem: „Zjednoczone Stronnictwo Ludowe”. Za drzwiami pokoik mały, ciasny, ale własny, z własnym telefonem.

A za biurkiem młody człowiek, Władysław Amoroziak, do niedawna instruktor, obecnie sekretarz GK ZSL. Krępy, łysawy, o czerstwej, złowiej cerze, rzutki i energiczny.

— Eee, proszę pana! — mówi ze swadą. — Człowiek już nie jest do zdarcia. Kiedyś to ludzie naprawdę ciężko pracowali na wsi. Teraz na wsiach podłódzkich skończyło się już świeże powietrze i woda źródłana. Jeśli dziewczyna nie chce dźwigać wiader z wodą, to nie dlatego, że ona chce żyć wygodnie, jak w mieście. Ona jest ostarbiona, niezdolna do takiego wysiłku, jak jej rodzice bo wódka od urodzenia satruje powietrze i

2

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożewski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szamański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadowski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzeminski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Penasiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekwizytów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucji i zakładach pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych nadawczych dla miejsc zamieszkania prenumeratorki. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch” 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00 853 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceń nadawczych i o 100 proc. dla zleceń instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok — następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1432, B-2.

2 ODGŁOSY

„Czasy nadziei i rozczarowań” M. F. Rakowskiego — część druga

Ukazała się i rozeszła niemal błyskawicznie książka Mieczysława F. Rakowskiego „Czasy nadziei i rozczarowań”. Kończąc ją autor napisał: „Zjazdowi oraz wydarzeniom, które doprowadziły do 13 grudnia, poświęcimy drugą część naszej rozmowy”. I oto rzecz się już dokonała. Część druga gotowa. Zaczyna ją Mieczysław F. Rakowski tak:

„Zgodnie z zapowiedzią zawartą w „Złotym” wydaniu „Czasów nadziei i rozczarowań”, przekazuję czytelnikom drugą część opowieści o roku 1981. Jej końcowym akordem jest dzień, w którym generał armii Wojciech Jaruzelski, wówczas I Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR i Prezes Rady Ministrów PRL obwieścił o wprowadzeniu przez Radę Państwa stanu wojennego na całym obszarze Rzeczypospolitej i ukonstytuowaniu się Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego”.

Przypomnieć Czytelnikowi też wypada, że tak pierwsza, jak i druga część książki powstały w

wyniku rozmowy z grupą redaktorów „Polityki”. Miał być to początkowo wywiad dla Jana Bijaka — naczelnego redaktora „Polityki”, ale — jak to stwierdza M. F. Rakowski — byłoby to wywiad rzeka. I tak narodziła się ta niebywale oryginalna i ciekawa książka.

W dyspozycji redakcji „Odgłosów” jest masywny zapis rozmowy z M. F. Rakowskim. Autor zgodził się na publikację fragmentów tej książki w naszym tygodniku. Książka jest już w wydawnictwie. Nim ukaże się w księgarniach Czytelnicy „Odgłosów” będą mogli zapoznać się z obszernymi jej fragmentami.

Druk fragmentów książki Mieczysława F. Rakowskiego „Czasy nadziei i rozczarowań” — Część druga rozpoczynamy już za tydzień.

Przegląd prasy

Człowiek, gdy znajdzie się w sytuacji bliżej sobie nieznanej a zagrażającej jego zdrowiu i życiu, łatwo poddaje się emocjom, ulega panice. Awaria elektrowni jądrowej zdarzyła się po raz pierwszy w tym rejonie świata. Nigdy jeszcze nie byliśmy harańkami na podwyższone promieniowanie, choć na szczęście mieściło się ono w granicach nieszkodliwych dla zdrowia ludzi. Ale ludzie, jak to ludzie, więcej wiary dawali plotkom, niż oficjalnym komunikatom. Reporterzy „PRZEGŁADU TYGODNIOWEGO” (nr 19 z 11 maja 1986 roku) w reportażu „Chmura” zanotowali też kilka plotek, krążących po kraju. Opowiadano więc, że „nad jeziorami Wigry” popękały „termometry”, jak nazywano liczniki Geigera, takie niby było to promieniowanie. W Toruniu i Warszawie rozszalała się plotka o zatruciu Wistły i ludzie zaczęli gromadzić wodę w wannach i wiadrach, co powodowało spadki ciśnienia w wodociągowej sieci tak, że ludzie mieszkający na wyższych piętrach domów mieli suche krany. Tę wiadomość o Warszawie wyczytałem w „EXPRESSIE WIECZORNYM”. Zresztą uspokajano warszawiaków też przez radio. „W Suwałkach” — piszą dalej reporterzy „Przeglądu Tygodniowego” — „ktoś widział w toidowce „świecące mleko”, w Białymstoku komuś „wypadły już włosy”, tam też widziano pierwszych dwóch „napromienionych” w szpitalu. Podobno na miejscowym targowisku pojawiły się maski przeciwydłowe. Kobiety w takiej masce widziały w Łodzi mają znajoma poetkę. Ale co z tego wynika?

Natomiast z relacji „Przeglądu Tygodniowego”, jak też z

doświadczeń nas wszystkich, wynika, że na ogół nie jesteśmy przygotowani do sytuacji, w których następuje jakieś zagrożenie. Powstaje wówczas błąd, gan, zaczynamy improwizować, emocje zdecydowanie wyprzedzają myślenie, nie staje wyobraźnia. Sprawa jest poważna. Sytuacja energetyczna świata — dopóki nie powstaną nowe rozwiązania — zmusza wszystkich do budowania elektrowni jądrowych. A zatem specjaliści muszą przewidzieć rzeczy nawet niemożliwe, aby zapewnić w przyszłości bezpieczeństwo ludziom. Nas ten problem też czeka.

W opracowaniu, jakie swoim czytelnikom przedstawił „TYGODNIK KULTURALNY” (nr 19 z 11 maja 1986 roku), a które zatytułował „Remy w zaniku”, spróbowano odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego „Jod”?

„Znawcy przedmiotu podkreślają, że w okresie minimalnego promieniowania może występować w atmosferze, w ilościach ledwie zauważalnych, nawet kilkaset różnych izotopów promieniotwórczych. Jednakże ze względu na intensywną obecność i charakter biologicznego oddziaływania istotny jest tylko ów jod 131. Okres jego połowicznego rozpadu wynosi 8 dni, podczas gdy innych izotopów — nie przekracza kilku godzin lub minut”.

A jak było tam, na miejscu? Przecież tego też nie potrafili sobie wyobrazić, jako że zdecydowana większość z nas nie widziała nigdy na oczach atomowej elektrowni. Co najwyżej w telewizji. Ale to zupełnie coś innego.

Władimir Kolinko z Agencji Prasowej „Nowosti” już 29 kwietnia był w Czernobylu. „Ulice Czernobyla, jeśli w ogóle czymkolwiek różniły się tego dnia od swego normalnego wyglądu, to chyba tylko tym, że w centrum tłoczyły się mnóstwo samochodów osobowych z kilkoma rejestracją”. Jego reportaż pt. „Czernobyl — po awarii!” opublikował „SZTAN-DAR MŁODYCH” (nr 90 z 9-11 maja 1986 roku). Z reportażu można się m.in. dowiedzieć, że

wprawdzie elektrownia nazywa się czernobylska, ale leży z dala od Czernobyla. W odległości 20 km leży miasteczko Prypeć, a przy nim elektrownia.

„Wkrótce w odstępach między drzewami ukazują się budynek elektrowni atomowej. Zakręci i samochód wjechał na wiadukt przerzucony ponad linią kolejową. Za mostem droga biegnie prosto do szerokiej, ozdobionej kwiatnikami centralnej alei. Piękne miasto... I nigdzie nie widać było ani jednego człowieka... W samej Prypeci szlab akcji mieścił się w komitecie miejskim partii. Na parterze budynku stały skrzynie z kłami nieznanymi ochronnymi z jasnej gumy i maskami przeciugazowymi”.

Wokół elektrowni i miasteczka pełno ludzi pracujących przy usuwaniu skutków awarii. Śmigłowce Mi-8 zrzucają na czwartym bloku energetycznym worki z piaskiem, ołowiem i borem, aby zablokować emisję substancji promieniotwórczych.

„Wracając z Prypeci — pisze Władimir Kolinko — zatrzymałem się na moście, skąd widać było jak na dłoni budynek elektrowni atomowej. W linii prostej było do niej nieco ponad kilometr. W Czernobylu powiedziano mi, że w czwartym bloku energetycznym został zniszczony dach. Ale tego z mojego punktu obserwacyjnego nie było widać. Zza lasu bezpośrednio do budynku elektrowni zbliżył się śmigłowiec Mi-3. (...)”

Ze strefy skażenia nie wypuszczono mnie zanim samochodem nie zbadał dozimetriści i póki nie przeszedł on dokładnej deaktywacji”.

W miarę upływu czasu będziemy coraz więcej wiedzieli o przebiegu awarii elektrowni atomowej, ale wiedza ta nie powinna tylko zaspokajać naszej ciekawości. Niech poszuki do wyłączenia wniosków, jak należało zachowywać się i co robić w sytuacjach różnych zagrożeń. Oby ich było jak najmniej!!!

LUCJAN BOGUSZ

Konstytucja 3 Maja w tradycji i kulturze

Taki tytuł będzie nosił imponujące dzieło, którego publikację przewiduje Wydawnictwo Łódzkie w roku 1991 z okazji 200 rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Zamyśli i idea tego jednego w swoim rodzaju opracowania zrodziły się w Instytucie Historii Uniwersytetu Łódzkiego. Prace przygotowawcze nad książką trwają już faktycznie od dwóch lat w interdyscyplinarnym Zespole Naukowo-Badawczym kierowanym przez prof. dr hab. Alinę Barszczewską-Krupę.

Zamierzone opracowanie ma być rzeczywiście nowatorski charakter: po raz pierwszy w polskiej historiografii podjęto

na taką skalę i w tak rozległym zakresie problematykę badania nad dwuchsetletnią recepcją idei Konstytucji 3 Maja w życiu politycznym, społecznym i kulturalnym naszego kraju. Myślała przewodnią książką będzie wyeksponowanie roli, jaką odegrała Konstytucja w kształtowaniu świadomości Polaków na przestrzeni dwóch wieków.

Ze względu na wieloaspektowe ujęcie problemu zawartego w tytule dzieła do współpracy nad nim zaproszono 60 autorów reprezentujących placówki naukowe i całej Polski. Zrozumiałe, że głównie są to historycy, ale także socjologowie, politolodzy, literaturoznawcy i historycy sztuki.

Przeszło 70-arkuszowej książce będzie towarzyszył album prezentujący ikonografię tradycji 3 Maja w sztuce, kulturze i obyczajach.

Edytorem przygotowującego opracowania będzie Wydawnictwo Łódzkie, zaś merytoryczną finansową przyjął Urząd Miasta Łodzi i Uniwersytet Łódzki.

Na koniec trzeba dodać, iż prace nad książką są tak intensywne i zaawansowane, że z wiarą można oczekiwać roku 1991.

(GRZG)

Tegoroczny kiermasz książki

Niegdyś należało do tradycji, iż w maju „Dom Książki” urządzał kiermasz wydawnictw książkowych.

Jeszcze nie tak dawno, każda książka mogła liczyć na nabywcę, bowiem stanowiła ona nie przedmiot intelektualnej przygody lecz przedmiot handlu spekulacyjnego. Dziś sytuacja gruntownie się zmieniła: książki leżą na ladach, a nabywców jakby coraz mniej. Oczywiście, że pozycje typu „Sztuka kochania” czy „Kuch-

nia polska” są nadal na liście rodzinnych bestsellerów, ale nie można handlować jedynie takimi tytułami. Przecież w księgarniach są spore ilości dzieł autorów uznanych i znanych, sporo głośnych niedyskutowanych. Po prostu i zwyczajnie polska książka stała się drogą. Dlatego coraz częściej sięgają po nią ludzie, którym jest ona potrzebna i nieodzowna. Stąd — pisząc o zbliżającym się kiermaszu — trzeba zaznaczyć, iż na stoiskach znajdzie się wiele dobrych i znaczących w naszej literaturze dzieł.

Kiermasz rozpocznie się 16 maja i trwać będzie do soboty 17 maja br. 21 stoisk zostanie ustawionych przed gmachem dyrekcji PP „Dom Książki” w Łodzi, przy al. Mickiewicza. Sprzedaż od godz. 10.00 do godzin popołudniowych.

E. IW.

Zielono w Pabianicach

ze str. 1

pije skażoną wodę. Zarządziliśmy środowisko i rąbamy je dalej.

Smutek ekologiczny i Święto Ludowe. A są jeszcze ważniejsze sprawy... Przychodzą rolnicy i czytają po kawkułku tezy na X Zjazd PZPR. To wszystko, co tam jest o wsi i rolnictwie. Mają zastrzeżenia do tych fragmentów, które mówią o uspołecznieniu rolnictwa. Niepokoi ich takie określenie, jak „stopniowe przeobrażenie stosunków produkcyjnych w rolnictwie”.

— Jest chłopski zapis w Konstytucji?

— Zapis mówi — odpowiada Ambroziak — że nie wolno wydierać chłopom ziemi na siłę. A tu chodzi o te działki, które wypadają z produkcji na skutek śmierci lub przejścia na rentę właściciela. Leżą pośród chłopskich pól. Kto ma je przejmować: chłop czy państwo?

Ano, chłopci są nieufni i ostrojni, nauczyli ich tego zakręty historyczne. A w Tezach na X Zjazd pisze przecież, że owszem, będą powstawały gospodarstwa uspołecznione, gdy zajdzie taka konieczność, ale przede wszystkim chodzi o powiększanie i umacnianie chłopskich gospodarstw rodzinnych. Nie ma więc powrotu do lat pięćdziesiątych i siedemdziesiątych. I nie ma odwrotu od linii wspólnego Plenum X ZSL i KC PZPR.

Chodzę po korytarzach Urzędu Gminy. Petentów niewielu, cisza jak w kościele. Żadnych wrzasków naburmuszonych urzędników, ani walenia kłonicą przez zdenerwowanych chłopów. Ankieta — „Urząd — obywatel” wykazała, że interesanci są tu obsługiwani z większą uprzejmością niż w mieście.

No cóż, jeśli władza rozumie chłopa, to nie może być źle. Naczelnik, sekretarz partii i prezes ZSL to chłopscy synowie. A jak sprawa jest drażliwa, to do akcji przystępuje Rada Gminy PRON i Komisja Współdziałania. Zdaje się, że w gminie Pabianice niejednemu mogłoby się uczyć demokracji w sprawowaniu władzy. Bo przewidzianym Gminnej Rady Narodowej jest bezpartyjny rolnik z Woli Zaradzińskiej, Ob. Grala, a jego zastępcami pętelperowicz i ludowicz.

Kiedy prezes Stasiak w terenie, to w Urzędzie można znaleźć wiceprezesa, Włodzimierza Krigiera. Ma pięćdziesiąt sześć lat i gospodaruje na dziewięciu hektarach ziemi V i VI klasy w Jadwininie. Ocieżały, powolny w ruchach, mówi z lekką zadyszką, starannie dobierając słowa. Gospodarstwo o profilu rolno-ogrodniczym. Całą produkcję o wartości ponad 1,5 mln złotych sprzedaje do GS i Spółdzielni Ogrodniczej. Jasne, że sam by tego nie osiągnął, ale ma następcę. Syn jest absolwentem Akademii Rolniczej.

— Owszem — przyznaje — widzę i odczuwam zmiany w polityce rolnej. Wzrosły ceny skupu, poprawiło się zaopatrzenie w nawozy, środki ochrony roślin i stal. Są kłopoty z cementem, ale to co jest, dzieli się w gminie sprawiedliwie. Mam więcej maszyn, ale są one słabej jakości, za to ceny wysokiej jakości. Szczerze mówiąc, kto wziął wcześniej pożyczkę i zainwestował w ziemię, ten teraz zbiera, bo kredyty przecież nie rosną tak jak ceny. Gdzie brak następców i gospodarstwa niedoinwestowane — tam grozi upadek...

— Myślę, że jest to proces naturalny i nieuchronny. A niech mi pan powie, czemu wazna gmina została gospodarzem obchodów Święta Ludowego?

— Myślę, że jest to wyróżnienie dla gminy i miasta, które znakomicie ze sobą współpracują. Gmina Pabianice produkuje w województwie pod względem gospodarczym i politycznym. W ubiegłym roku zajęła drugie miejsce w konkursie na mistrza gospodarności. Nasza organizacja zeteselska jest pierwsza w województwie. Mam 273 członków, w tym prawie dwustu to rolnicy. Ale organizacja gminna PZPR też jest na pierwszym miejscu w województwie. Poza tym mamy najlepszą Gminną Spółdzielnię

„Samopomoc Chłopska”. Wystarczy tego chwaleńca się? — kończy z uśmiechem.

Z pewnością. Ale brakuje uzasadnienia. Weźmy dla przykładu Gminną Spółdzielnię. Czemu jest taka dobra?

— Widział pan pewnie w telewizji, jak to było z zawarzeniem usi w węgiel. Na wielu składach po prostu dno. A u nas było pełno węgla. Żaden rolnik nie czekał w kolejce i nie odjechał z kwitkiem. Ale, widzi pan, wszyscy trzej prezesi GS to członkowie ZSL, zawodowo związani z rolnictwem, chłopci z działa prądu. Chłopska krew, czują więc potrzebę rolnictwa i nie rządzą zza biurka. Jeżdżą w teren, kupują, co mogą i dostarczają rolnikom.

— Są województwa, gdzie wojewodami są ludowcy. W Łodzi tego nie widać...

— My tutaj, w gminie, nie będziemy decydować o obsadach stanowisk, proszę pana. My się dogadujemy z sekretarzem Marchewką, on nam pomaga, więc szanujemy przewodnią rolę PZPR. I dlatego chcemy wspólnie zorganizować to Święto Ludowe na miarę naszych ambicji.

— Oraz zasług i osiągnięć.

— No, może być i tak.

Natura ciągnie wilka do lasu. Do Urzędu przyszedł dotychczasowy sekretarz GK ZSL, Józef Jankowski, też chłopski syn, który wyścignął tę organizację na pierwsze miejsce w województwie. Przechodzi na emeryturę, ale na emerycie wcale nie wygląda. Trzyma się krzepko, prosto, ruchy ma młodzieńcze. Gładko wygolona twarz o delikatnej skórze, żywe ciemne oczy pod czarnymi brwiami i wspaniała biała czupryna. Krigier mówi, że każdy syn wlos to jedna miłona przygoda. Jankowski odparowuje, że Krigier bierze to z własnego doświadczenia. A on, Jankowski, po kuracji chodził w pięknym opakowaniu, ale w środku nie jest za dobrze.

— Cieszę się — mówi — że Święto Ludowe obchodzimy w Pabianicach. Gmina zastępuje na to, i to nie tylko ze względu na wysoką produkcję, zwłaszcza mleka i warzyw. Mam też wyremontowaną ubijnię królików, z której prawie wszystko mięso idzie na eksport. Sklepy GS znajdują się na terenie Pabianic i miasto także z nich korzysta. Najistotniejsza jest jednak gospodarność, zaangażowanie, czynny społeczny. To u nas powstało, dzięki pomocy mieszkańców, najwięcej dróg. Buduje się remizy, bazy, przeciupożarowe, gąsienicę wodociąg, szkoły w Ksawerowie i Woli Zaradzińskiej...

— Ludzie na wsi — dodaje Krigier — są dobrzy i zaangażowani. Nie należy ich tylko oszukiwać.

Trudno studiować wiarę i zapale i wygłaszać jakieś herezje na wyrost. Niestety, prawda jest taka, że podczas narad niektórych oficjalnie mówią, że należy trochę hamować czynny społeczny, bo państwo jest biedne i nie ma pieniędzy na dofinansowanie społecznych inwestycji. Fakty pokazują się w telewizji. Stoją mury szkoły, wzniesione społecznie i niszczące, ponieważ brak funduszy na wykonanie, które kosztuje dwa razy tyle, co same mury.

— Nasze święto — mówi na zakończenie wiceprezes Krigier — ma pokazać klasie robotniczej dorobek kulturalny wsi oraz tych ludzi, którzy nawet w trudnych warunkach polityczno-gospodarczych nie strajkowali i nie zamykali rąk. Oni starali się i starają się nadal, aby brat robotnik był syty i zadowolony.

Osiemnastego maja w pabianickim Parku Wolności nastąpi w części oficjalnej rozwinięcie sztandaru. Ufundowali go sobie z własnych środków członkowie gminnej organizacji ZSL. Kiedyś miało miejsce poświęcenie sztandaru, dziś także są tego zwolennicy, ale obejście się bez dodatkowych misterii. Chłop jest pracowity, więc Pan Bóg się nie pogniwa, żeś ładną pogodę i zielony sztandar rozwinię na pewno w promieniach słońca.

RYSZARD BINKOWSKI

NR 20 (1468), XXIX, 17 MAJA 1986 R.

1.

Na słódmym posiedzeniu plenarnym — 9 kwietnia 1986 roku — Sejm, po pierwszym czytaniu i debacie wstępnej, przyjął i odesłał do komisji nadzwyczajnej projekt ustawy „o zasadach udziału młodzieży w życiu państwowym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym”. Projekt ten wniosło do Sejmu sześćdziesięciu jeden posłów, niekoniecznie młodych, w trybie przewidzianym dla poselskiej inicjatywy ustawodawczej.

Akt ten stanowi ukoronowanie wieloletnich starań rozmaitych grup nacisku i niektórych osobistości naszego życia publicznego, zmierzających do prawego unormowania sytuacji tych obywateli, których zwykliśmy nazywać „młodzieżą”, w państwie i społeczeństwie.

Wiele okoliczności, a przede wszystkim sam fakt podjęcia przez Sejm rutynowych prac ustawodawczych, wskazuje na to, że zamiarem najwyższej władzy przedstawicielskiej jest uchwalenie projektowanej ustawy, niezależnie od rozmiaru zmian, poczynionych w toku tych prac, w samym jej tekście. Intencja uchwalenia tej ustawy wynika jasno i bezpośrednio ze stanowisk klubów i kół poselskich, przedstawionych przez posłów w debacie podczas tzw. pierwszego czytania.

Jestem tym szczerze zmartwiony, albowiem uważam, że projektowana ustawa o młodzieży jest tworem nie tylko dalece niedoskonałym — a tak, że nie do naprawienia. Moim zdaniem ustawa ta jest w ogóle zbędna, dotyczy bowiem takiej materii naszych stosunków społecznych, która w ogóle nie poddaje się regulacji prawnej i co więcej — żadną miarą nie powinna być w ten sposób sterowana. A nadto jestem głęboko przeświadczony, że ustawa o młodzieży, niezależnie od poprawek, których mogłaby dokonać nadzwyczajna komisja, będzie niezgodna z Konstytucją PRL — na tyle, iż będzie można zaskarżyć ją do Trybunału Konstytucyjnego. Okoliczności, wpływających na te moje mniemania, zamierzam dowieść.

2.

Reguły porządnego prawodawstwa nakazują, iżby każda ustawa w miarę możliwości precyzyjnie określała zakres swego stanowienia. Stąd też cały system prawa pełen jest rozmaitych definicji. Pomysłodawcy ustawy o młodzieży (gdyż tak będę w skrócie nazywał ten projekt) nie mogli postąpić inaczej.

Trzeba było zatem określić, przynajmniej dla potrzeb zaplanowanej regulacji prawnej, co to takiego jest „młodzież”.

Projektanci ustawy wybrnęli z tego definicyjnego dylematu, tworząc konstrukcję doprawdy zadziwiającą. Definicja zawiera w sobie elementy formalno-statystyczne i socjologiczne. Elementem formalnym jest ustalenie górnej granicy wieku, socjologicznym zaś — krótki opis sytuacji społecznej obywatela, w której musi się znajdować, by mógł być uznany za „młodzież”. By nie być gołosłownym, zacytuję ową definicję według jej brzmienia w art. 34 projektu: „Przez użycie w ustawie określenie młodzieży rozumie się obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, którzy uczą się bądź pracują zawodowo i nie uzyskali pełnej samodzielności socjalno-bytowej oraz nie ukończyli 29 roku życia”.

Logika języka polskiego narzuca tylko jedno rozumienie tego tekstu — oba warunki — socjologiczny i formalny — muszą wystąpić jednocześnie i nierozdzielnie. To znaczy, że „młodzieżą” nie jest osobnik, który wprowadził nie ukończył 29 lat, ale już uzyskał „pełną samodzielność” i nie jest „młodzieżą” inny obywatel, który tej samodzielności nie ma, ale skończył 29 lat życia. Tylko jednoczesne spełnienie obu warunków ustawowych daje patent na młodość.

Pomijamy tu zupełnie szczegółowe kwestie interpretacyjne, na przykład taką: jak zakwalifikować nie pracujących ani nie uczących się, niesamodzielnych pasażerów, którzy nie ukończyli 29 lat. Pomijamy też na razie problem interpretowania socjologicznego czynnika definicji, czyli ustalenia obiektywnych mierników „pełnej samodzielności”.

Przyjrzyjmy się bliżej kwestii ustanowienia formalnej granicy wieku „młodzieży” w cytowanej definicji. Ona to bowiem zawiera w sobie zasadniczą niezgodność z obowiązującym prawem.

3.

Cały polski system praw obywatelskich oparty jest na jednolitej, generalnej i niewzruszalnej zasadzie podziału ogółu obywateli naszego państwa na dwie kategorie — obywateli niepełnoletnich i obywateli pełnoletnich; pełnoletnim jest ten, kto ukończył osiemnaście lat życia. Pełnoletność oznacza, że obywatel osiemnastoletni nabywa wszystkie prawa publiczne i jednocześnie staje się w pełni odpowiedzialnym (wobec prawa) uczestnikiem życia społecznego — z wyłączeniem kwestii szczegółowych, przez prawo przewidzianych, w których cezura osiemnastu lat jest z ważnych względów społecznych, stosownie uzasadnionych i powszechnie akceptowanych, przesunięta (w górę lub w dół). Tak jest na przykład z biernym prawem wyborczym do Sejmu, zdolnością do zawarcia związku małżeńskiego przez mężczyznę czy z wiekową granicą odpowiedzialności karnej za popełnienie przestępstwa.

Zasada podziału ogółu obywateli na niepełnoletnich i dorosłych (w sensie prawnym) ma charakter normy konstytucyjnej, zasadniczej dla ustaleń przez prawo reguł funkcjonowania państwa i społeczeństwa, aczkolwiek nie została expressis verbis sformułowana w Konstytucji.

Konstytucja literalnie dotyka kwestii wieku tylko w odniesieniu do granic czynnego i biernego prawa wyborczego. Sądzę, że rolę takiej normy najwyższej rangi pełni przepis usytuowany w kodeksie cywilnym, mianowicie art. 10 § 1: „Pełnoletnim jest, kto ukończy lat osiemnaście”.

To, że przepis ten znajduje się w kodeksie cywilnym, nie oznacza żadną miarą, iż jego stosowanie ograniczyć można jedynie do sfery stosunków cywilnoprawnych, czyli obrotu rzeczami, zobowiązań, dziedziczenia czy stosunków rodzinnych. Zasada ta ma zastosowanie w znakomitej większości dziedzin naszego życia, w tym także unormowanych przez różne działy prawa administracyjnego. Jest powszechnie akceptowana i niewątpliwie ma ogromne znaczenie w życiu publicznym. Można przyjąć, że ma charakter generalny i niewątpliwie właśnie konstytucyjny.

SEJMOWE RAPORTY I REFLEKSJE

Tysiące rąk, miliony rąk...

TOMASZ SAS

Oznaczałoby to, że wszelkie inne podziały, czy też tworzenie jakichś obywatelskich kategorii pośrednich (o znaczeniu generalnym, obejmującym wszystkie dziedziny życia społecznego) byłoby co najmniej sprzeczne z prawem, jeżeli nie wręcz zabronione.

Oczywiście ustawodawca tworzy wiele różnych kategorii dzielących członków społeczności wedle kryterium wieku, ale są to kwestie szczególne, uzasadnione m.in. względami gospodarczymi, potrzebami obronności czy zasadami polityki socjalnej. Tak jest na przykład z ustalaniem granic wieku w nabywaniu uprawnień emerytalnych, ale przecież wiąże się one nie z wiekiem wyłącznie, lecz z faktem wykonywania pracy. Określenie granicy wieku funkcjonuje tu wyłącznie na płaszczyźnie ubezpieczeń społecznych, nie rodzi natomiast żadnych nowych uprawnień ani obowiązków, czy też ich nie ogranicza na innych płaszczyznach życia społecznego, czy zgola generalnie, we wszystkich możliwych do wyobrażenia kwestiach.

4.

Istota problemu polega na tym, że pomysłodawcy ustawy o młodzieży usiłują doprowadzić do stworzenia nowej, generalnej kategorii obywatelskiej — obok dzieci i dorosłych — mianowicie „młodzieży”, zdefiniowanej ogólnie poprzez „socio-matematyczne” wydzielenie jej z obu dotychczasowych grup.

Zabieg ten jest nie tylko niezgodny z obowiązującym dotąd w Polsce prawem, ale jest zbędny z punktu widzenia racjonalnego układania stosunków społecznych, wyższych może tylko zagadnienia bieżącej taktyki politycznej.

Być może wymagania tejże taktyki uprawniają najwyższy organ władzy państwowej do dania młodzieży ustawy zaspokajającej jej grupową miłość własną. Pamiętać jednak należy, że niepostrzeżenie szafowaniem ustawami, a więc prawami o nieograniczonym czasie obowiązywania i dalekosygnalnym skutkach, przyniesie może więcej szkód społecznym niż doraźnych korzyści.

Jakkolwiek intencje twórców projektu ustawy byłoby odległe od zamiaru stworzenia nowej prawnej kategorii obywatelskiej, to nie ulega wątpliwości, że powstanie ona jako fakt społeczny. I doprawdy nie jest istotne, jakie te intencje będą w rzeczywistości — a nie mamy powodu sądzić, że są to pobudki cyniczne i nie-szlachetne — ważny będzie skutek.

Twórcy projektu ustawy o młodzieży wykładają swą filozofię w preambule proponowanego aktu prawnego. Tekst ten jest spietrzeniem celów służbnych i głęboko zasadnych społecznie oraz politycznie. Nie ulega wszakże wątpliwości, że jest to tylko deklaracja. Sformułowanie zasad tej deklaracji w języku norm prawnych jest zapewne zadaniem wielkim i podniecającym; być może nawet ma wymiar dziejowy. Ale ani słuszne intencje, ani polityczne znaczenie zadania stworzenia nowego bytu prawnego, regulującego tak ważne ze społecznego punktu widzenia kwestie udziału młodych obywateli w życiu publicznym, nie mogą żadną miarą przysłonić faktu, że powstanie coś, co będzie sprzeczne z całym porządkiem prawnym, z dotychczasowymi zasadami i dobrą praktyką stanowienia praw. Najważniejszą z tych sprzeczności będzie niewątpliwie wyodrębnienie się młodzieży jako grupy prawnie określonej.

I to właśnie jest niezgodne nie tylko z dotychczasowymi zwyczajami normowania stosunków społecznych, ale po prostu z Konstytucją.

Ma tu na myśli sprzeczność z obowiązującym prawem, jeżeli uznamy, że wspomniana tu norma zawarta w kodeksie cywilnym daleko wykracza poza sferę tylko określania granicy wieku niezbędnej dla uzyskania pełnej zdolności do czynności prawnych.

5.

Zamysł ustawodawcy w kwestii jednolitego potraktowania pełnoletności ze wszystkimi jej prawami i obowiązkami wywodzi się wprost z pryncypiów ustrojowych oraz ideologicznych, fundamentalnych dla funkcjonowania naszego państwa.

Jest rzeczą oczywistą, że ustanowiona przez prawo formalna cezura osiemnastu lat ma charakter umowny, nie związany bezpośrednio z jakąś wyraźną zmianą jakościową w naturze, (a zwłaszcza w społecznej jej części) człowieka. Każdy z nas rozwijał się indywidualnie (lub jeszcze się rozwija). Nie sposób przy tym pominąć dość istotnej okoliczności: oto większość z nas była (lub jest) dotknięta mniejszym lub większym brakiem korelacji między płaszczyznami rozwoju osobniczego. Znaczący przedmiotu twierdzą, nawet, że luki te z pokolenia na po-

kolenie rosną — osobliwie między wydatnie przyspieszonym rozwojem biologicznym a spowolnionym dojrzewaniem etycznym i społecznym, że o samodzielności ekonomicznej nie wspomnę.

Nie ulega jednak wątpliwości, że indywidualizacja przynależności pełnoletności byłaby absurdem: trudno byłoby zresztą znaleźć jakiś obiektywny miernik i wzorec — przynajmniej w świetle dzisiejszej wiedzy o człowieku i o mechanizmach społecznych. Ale kto wie — być może w nie dającej się jeszcze przewidzieć przyszłości...

Umowny charakter tej granicy dorosłości w znaczeniu prawnym nie jest jednak całkowicie bezpodstawny ani pozbawiony jakiegokolwiek związku z rzeczywistością społeczną. Otóż przyjął, jak można sądzić, możliwie najniższą granicę wieku, kiedy to — statystycznie rzecz ujmując — wspomniana tu korelacja między płaszczyznami osobniczego rozwoju jest możliwa do zaakceptowania jako konwencjonalna norma dorosłości w jej społecznym znaczeniu.

Nie bez znaczenia jest też sam akt nabycia pełni praw. Choć bywa odbierany jako wydarzenie w pewnym sensie magiczne, to ma też niewątpliwie wpływ dyscyplinujący, jeżeli wsparty jest przez solidną edukację obywatelską w rodzinie, szkole i najbliższym otoczeniu społecznym. A dla większości młodych mężczyzn — w wojsku.

6.

Niewątpliwie ustawodawca kierował się też pewnymi względami natury ideologicznej i politycznej, uzasadnionymi potrzebami dokonując się w powojennej Polsce rewolucji społecznej. A także względami demograficznymi.

Z wygranej wojny wyszliśmy jako naród straszliwie okaleczeni; całe roczniki najlepszych ludzi w wieku najwyższej aktywności — brutalnie przetrzebione, z frontu wraca armia składająca się po części z roczników niemobilizacyjnych, a co najmniej w połowie — z nastolatków (mówiąc dzisiejszym językiem), naprzeciw niej — repatrianci zza linii Czarna, też o zwichniętej przez wojnę strukturze pokoleniowej, z konspiracji wychodzą również ludzie bardzo młodzi. Po przejściu frontów nie ma spokoju: toczy się walka o władzę, niemal wojna domowa: politycy spierają się o racje w gazetach i na wiecach, ale strzelają do siebie młodzieńcy — przeciw młodym milicjantom i kabełkowi wychodzą z lasu ich rówieśnicy z WIN-u... A jednocześnie inni młodzieńcy stają do odbudowy, w przyspieszonym tempie uczą się, zakładają rodziny i rodzą dzieci. Po prostu dorastają.

Ustawodawca nie tylko pośpieszył usankcjonować ten społeczny fakt, nadając mu moc normy konstytucyjnej i utrwalając na przyszłość. W trybach walki o władzę skutecznie wykorzystano przyspieszenie społecznego dojrzewania młodej generacji. Nadanie jej pełni praw i obowiązków obywatelskich było kredytem, który został szybko spłacony. Młodzież bowiem stała się nie tylko instrumentem, ale świadomym podmiotem, awangardą walki klas, politycznej walki o byt narodu w nowej formule racji stanu. Racja ta została ugruntowana przez fakty, zaistniała dzięki rękóm i umysłom ludzi młodych.

Takie oto są historycznie uzasadnione przesłanki jednolitego, niewzruszalnego i niepodzielności statusu obywatelskiej pełnoletności.

7.

I oto coś się okazuje po czterdziestu prawie latach? Okazuje się, że zupełnie serio zamierzamy zafundować sobie ustawę, która dla niedysięjszej awangardy wprowadzi przywileje i okres ochronny. W ten sposób zdobyte przez ojca, w ogniu klasowej walki, prawo do dorosłości, zostanie przez późnych synów i wczesne wnuki przehandlowane za garść cukiereczków...

Nie ulega wątpliwości, że — historycznie rzecz ujmując — prawne rygory pełnoletności, obowiązujące do dziś w PRL ukształtowane zostały

w warunkach ekstremalnych i czasach daleko odbiegających od normy. Czasy i okoliczności nie tylko sprzyjały wtedy szybkiemu społecznemu dojrzewaniu nastolatków, one je wręcz wymuszały. Atmosfera była wtedy rewolucyjna, a liczne odłamy młodzieży, potraktowanej serio i po partnersku, użyte zostały jako dynamiczny, sprawczy podmiot walki klas. Niestety, tego potencjału rozbudzonej aktywności ludzi młodych nie potrafiliśmy (jako państwo) „skanalizować” i konstruktywnie wykorzystać wtedy, gdy rewolucyjne napięcie zmalało.

Nie jest moim zamiarem dociekać teraz, dlaczego tak się stało. To temat na zupełnie inne opowiadanie — temat, który podejmę niebawem.

Nie mam także zamiaru odnosić się nazbyt szczegółowo do konkretnych propozycji ustawowych rozwiązań młodzieżowych kwestii; to zadanie dla biegłych w interpretowaniu norm jurystów, lub nawet (i to koniecznie!) psychologów, mających tu jak na dłoni cały zestaw młodzieżowych fobii, kompleksów i przypadłości mentalnych. A może nie tyle młodzieżowych, co politykierskich, „działaczowskich”. Gdzie bowiem dowód, że ustawa będzie realizacją zgodnych pragnień całej tzw. młodzieży?

Nie mogę sobie jednak tymczasem — rezerwując na później prawo do bliższej analizy szczegółów ustawy — odmówić przyjemności, przynajmniej, nieco sarkastycznej, skomentowania pewnej ogólnej idei, drażącej, jak mi się wydaje, umysły autorów projektu i ich popleczników...

8.

Otóż prawnicy, zwłaszcza teoretycy prawa, znają dobrze pojęcie tzw. fideizmu prawniczego. Najogólniej mówiąc, jest to wiara w szczególną moc prawa, oparta na przeświadczeniu, że samo stanowienie mądrych, logicznych i sprawiedliwych przepisów ma w sobie wewnętrzną moc zmiany stosunków społecznych w pożądanym kierunku — ku poprawie moralności, „porządności” obywateli, ku powszechnemu szczęściu. Inaczej mówiąc, wyznawcy tego prądu filozofii prawa wierzą, że uchwalenie ustawy samo przez się naprawia rzeczywistość.

Projekt ustawy o młodzieży, w całości z tegoż fideizmu się wywodzący, osiągnął jednak jeszcze wyższy szczebel sublimacji.

W ten sposób powstają prawa, których nie można stosować. A cóż to znaczy — stosować? To znaczy — w konkretnym, jednostkowym przypadku postąpić zgodnie z ogólną normą, odnoszącą się do całej kategorii ludzi, rzeczy lub zjawisk.

Weźmy tedy pierwszą z brzegu normę projektu ustawy. Ot, choćby obchodzący mnie bezpośrednio art. 10 — „Środki masowego przekazu (...) zapewniają (...) systematyczne publikacje poświęcone sprawom młodzieży i dla młodzieży”. Wyobraźmy sobie, że do mnie — redaktora pisma — przychodzi młodzielec... Nie młodzielec, konkretny Jasio Kowalski przychodzi i żąda, aby o nim napisano w gazecie. A dlaczego — czy dlatego, że jest lepszy od innych, że zrobił coś niezwykłego? Nie — dlatego, że mu się to należy z mocy prawa. Najprawdopodobniej pokażę Jasiovi drzwi... I popełnię błąd — następnym razem Jasio pojawi się w asyście przewodniczącego i działacza z dzielnicy, a wszyscy trzej, potrzaskując Ustawą i Uchwałą, zażądają respektowania praw młodzieży. A ja przecież jestem tylko przeciw bezczelności Jasia...

Otóż tak może wyglądać w praktyce próba zastosowania przepisów ustawy o młodzieży — właśnie w kwestii, której nie da się zadekretować. Gdyby tak się stało, byłoby to hunwejbiniem w czystej postaci. Nie ulega wątpliwości, że ustawa może właśnie spowodować ujawnienie się roszczeniowych postaw o hunwejbinijskiej proveniencji. Przecież będą z niej korzystać głodne, młode wilczki, buntujące się przeciw hierarchii w stadzie...

9.

W żądaniach uchwalenia ustawy o młodzieży pobrzmiewa delikatnie jeszcze jedna nuta — zawołanego szantażu. Ustawa traktowana jest jako ostatnia szansa aktywizacji młodego pokolenia Polaków; mówi się, że socjalistyczne związki młodzieży w jej uchwalenie zaangażowały swój autorytet i chciałyby z jej unormowań uczynić przynętę...

Cel jest niewątpliwie szlachetny, ale te metody... Nie ma żadnej gwarancji, że papierowe normy rzeczywiście skupią ogół młodych wokół słusznych zadań. Zamiast ustawy potrzebny jest porządkujący, atrakcyjny program działania, który obejdzie się bez norm ochronnych i przywilejów związanych z wiekiem.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że stosunki międzypokoleniowe we współczesnej Polsce dalekie są od ideału. Idzie o to jednak, czy możliwe jest, aby prawo, składające się z pustych deklaracji, sprzeczne z obowiązującymi dotąd zasadami, pozbawione możliwości sprawnego egzekwowania swych regulacji w konkretnych przypadkach, mogło choć na lotę urzeczywistnić ten ideał przybliżony.

Sądzę, że nie jest to możliwe. Co więcej — uchwalenie ustawy w takiej formie może spowodować powstanie poczucia ulgi, że załatwiono już ważną sprawę — i na tym koniec.

Uważam, że podjęcie prac nad tą ustawą w Sejmie było poważnym błędem; uważam, że jej ustanowienie jest po prostu zbędne i może przyczynić się do wcale poważnej kompromitacji najwyższego organu władzy przedstawicielskiej w naszym państwie. Konfliktów społecznych, sprzeczności i niedoskonałości systemu nie da się zatkać papierem.

Krały wśród studentów Uniwersytetu opinia, że jest pan dla nich twardym partnerem w rozmowach. Co pan o tym sądzi?

— Jeśli jest się dysponentem pieniędzy, to trzeba być nieśmiertelnie twardym. W trakcie ustalania budżetu dla organizacji młodzieżowych w 1986 r. okazało się, że dezerterzy organizacji opiewały na 17,5 mln zł, a do podziału było tylko 11,2 mln zł. Nie mogłem więc zaspokoić w pełni potrzeb finansowych organizacji studenckich. Ale to nie ja jestem twardy tylko sytuacja, warunki są twarde. Muszę z zadowoleniem stwierdzić, że większość delegatów organizacji studenckich zrozumiała sytuację finansową uczelni. Zresztą zobowiązałem się, że będę w naszym ministerstwie zabiegał o dodatkowe pieniądze dla tych organizacji.

— Ale jest pan nieugięty, zdaniem studentów, w sprawach przestrzegania regulaminu studiów. Rzecz dotyczy przedłużania sesji egzaminacyjnej, urlopów etc.

— Sprawy te reguluje w sposób jednoznaczny regulamin studiów. Należy mieć świadomość faktu, że kształcenie studentów jest kosztowne. Wobec tego pieniądze muszą być wydawane efektywnie. A temu przecież służą konsekwentne egzekwowanie regulaminu studiów.

kwota 10 tys. zł na miesiąc. Po drugie — istnieje nagroda pieniężna, których sponsorem jest rektor. W ubiegłym roku akademickim z nagród tych skorzystało 136 studentów (kwota nagrody 10 tys. zł). Po trzecie — uczelnia dysponuje stypendiami motywacyjnymi, które mogą uzyskać studenci (począwszy od drugiego roku studiów) legitymujący się średnią z ocen obowiązujących egzaminów wpisanych do indeksu nie niższą niż 3,7 i postępujący zgodnie z treścią ślubowania studenckiego. Wysokość stypendium motywacyjnego w zależności od poziomu średniej ocen kształtuje się w następujący sposób: od 3,70 — 3,99 stypendium wynosi 2,1 tys. zł, od 4,00 — 4,49 stypendium 3,5 tys. zł i od 4,50 do 5,00 — 4,9 tys. zł. Stypendia motywacyjne w bieżącym roku akademickim otrzymuje 1753 studentów, w tym 820 w wysokości 3,5 tys. zł. Czy taki stan może zadowalać władze uczelni? Chyba nie, zwłaszcza, że w UE studiuje ok. 8.300 studentów dziennych.

— Jak przedstawia się sytuacja UE w dziedzinie podaży miejsc w domach studenckich? Czy jest się czym pochwalić?

— Nie chciałbym się chwalić, skoncentruję się na ocenie sytuacji. Otóż, uczelnia posiada 8 domów dla studentów studiów dziennych, w których jest w bieżącym roku akademickim 2.837 miejsc normowanych. Doliczając do tego

Staramy się wprowadzać nowe metody prowadzenia zajęć, które służą z jednej strony doskonaleniu procesu nauczania, a z drugiej czynią zajęcia atrakcyjnymi dla studentów. Mogę podać przykład z mojego podwórka — ekonomii politycznej kapitalizmu. W nauczaniu tego przedmiotu wykorzystujemy komputerową grę decyzyjną. Muszę powiedzieć, że gra ta wciąga studentów niczym poker. Niekiedy zainteresowania wynikami gry jest większe niż wynikami prac zaliczeniowych. Posługujemy się również techniką komputerową przy sprawdzaniu testów zaliczeniowych z ekonomii obrony, przedmiotu wykładanego na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym. Mimo tych przykładów uważam, że zakres wykorzystania technik komputerowych jest wysoce niedostateczny.

— Zostawmy w spokoju problem komputerów. Kwestia, która budzi wiele kontrowersji jest wpływ uczelni na kształtowanie programu studiów. Jest to przecież jeden z obowiązków samorządności szkoły wyższej. Jak wygląda ten aspekt samorządności patrząc nań „od kuchni” rektorskiej?

— Przed uczelnią stoi w tym roku zadanie opracowania planu studiów, który składa się z trzech bloków. Pierwszy blok stanowią przedmioty społeczno-polityczne, takie jak filozofia, ekonomia, nauki polityczne itp. Program w zakresie nauczania tych przedmiotów opracowywany jest centralnie. Na drugi blok składają się przedmioty kierunkowe, które również są programowane centralnie. Natomiast trzeci blok obejmuje przedmioty, które określa uczelnia. Jest to specjalność de la maison danej uczelni. W zależności od możliwości kadrowych możemy wprowadzać nowe przedmioty, przekraczać limity godzinowe zajęć i określać treść wykładanych przedmiotów. Uniwersytet Łódzki dysponuje największymi możliwościami w tym zakresie na takich kierunkach studiów, jak ekonomia, fizyka, biologia.

W związku z tym co skonstatowałem trudno byłoby zgodzić się z tezą, że uczelnia jest ubezwłasnowolniona w dziedzinie kształtowania programu studiów. W ramach zarysowanych przez ministerstwo uczelnia może samodzielnie decydować o kształcie studiów i treści nauczania.

— W polskich uczelniach odczuwa się brak bliskich kontaktów studentów z wykładowcami. Studenci są częstokroć dla nich anonimową masą. Wynika to częściowo z faktu istnienia zbyt dużych grup studenckich i wygórnego kadry nauczającej. Co pan sądzi o tym?

— Upraszczając problem pragnę powiedzieć, że uczelnia ma komfortowe warunki do pracy ze studentami. Otóż na jednego pracownika naukowego przypada przeciętnie sześciu studentów. Jest to wskaźnik bardzo korzystny z punktu widzenia ożywienia kontaktów między studentami a kadra. Należy jednak pamiętać, że jest to wskaźnik przeciętny i nie oddaje on nierównomiernego rozkładu pracowników na poszczególnych wydziałach i kierunkach studiów. Ale na niektórych kierunkach mamy szansę wprowadzenia systemu tutorskiego (tutor — nauczyciel kierujący studiami przydzielonych mu studentów). Ow ten nadzorowałby grupki studentów, miałby codzienny kontakt z nimi. System ten stwarza możliwości wyłonienia spośród studentów jednostek wybitnych, wykazujących predyspozycje do pracy naukowej. Sądzę, że na kierunkach matematyczno-fizycznych i filologicznych istnieją przesłanki do wypróbowania tego systemu. Na razie jednak nie potrafimy zrealizować tej ze wszech miar pożytecznej koncepcji nauczyciela-opiekuna studentów.

— Zbliżają się egzaminy wstępne. Czy można się spodziewać jakichś zmian w porównaniu z ubiegłym rokiem, tzn. czy zmieniają się limity przyjmowanych studentów, jak kształtują się preferencje studentów dotyczące wyboru kierunku studiów itp.?

— Nie nastąpią żadne istotne zmiany. Dotychczasowe limity miejsc zostaną utrzymane. Jak zwykle najbardziej obleganymi kierunkami są: filologia germańska, kulturoznawstwo i psychologia. Niestety mamy znowu kłopoty z naborem studentów na matematykę i fizykę. Od wielu lat są to kierunki niepopularne, acz bardzo potrzebne dla gospodarki narodowej i szkolnictwa.

— Jakże marzenia ma rektor odpowiedzialny za sprawy nauczania w Uniwersytecie Łódzkim, co chciałby zmienić w czasie swojej kadencji?

— Marzenia są czymś nierealnym. Jestem realistą, porozmawiajmy więc o zamierzeniach, które chciałbym zrealizować. Pierwszym moim zamierzeniem jest skomputeryzowanie toku studiów, co pozwoliłoby śledzić „karierę” studenta od chwili podjęcia studiów do ich ukończenia. Obecnie istnieje „ręczny” system gromadzenia informacji o wynikach osiągniętych przez studentów i uzyskanie niezbędnych danych wymaga pracochłonnego poszukiwania w stosach teczek. Skomputeryzowanie tych informacji jest więc nieodzowne.

Drugie moje zamierzenie — pragnienie dotyczący aktywności studentów, ich roli jako współgospodarzy uczelni. Chciałbym, aby studenci poculi się współgospodarzami, aby aktywnie uczestniczyli nie tylko przy podejmowaniu decyzji o podziale pieniędzy, lecz także przy kształtowaniu programu studiów. Przepisy prawne stwarzają możliwości oddziaływania studentów na wiele spraw dotyczących kształcenia i wychowania w szkole wyższej. Tymczasem większość studentów zajmuje pozycję bierną, wyczekującą, nie chce się angażować w społeczne działania. Jestem przekonany, że można przezwyciężyć tę bierność. Wymaga to cierpliwości, umiejętności przekonywania studentów o sensie i możliwościach społecznego działania na rzecz ich środowiska. Jest to sprawa o kapitalnym znaczeniu dla kształtowania postaw przyszłych inteligentów.

— Dziękuję za rozmowę!

Rozmawiał:
WITOLD KASPERKIEWICZ

Matury, matury...

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Ja nie jestem twardy to warunki są twarde

Rozmowa z prorektorem ds. nauczania Uniwersytetu Łódzkiego doc. dr hab. **WIESŁAWEM BEDNARKIEM**

— Czy w ostatnim okresie nastąpiła poprawa dyscypliny studiów? Czy zmniejszyła się przedłużających się w nieskończoność sesji egzaminacyjnych, warunkowych zaliczeń itp.?

— Niewątpliwie udało się osiągnąć postęp w tej dziedzinie. Poprawił się wskaźnik przedstawiający odsetek studentów, którzy zaliczają sesję egzaminacyjną. Dla przykładu na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym w roku akademickim 1984/85 zaliczyło normalnym trybem cały rok około 57,2 proc. studentów, około 27 proc. uzyskało zaliczenie warunkowe, około 8,4 proc. oblało egzamin i powtórza rok, natomiast ponad 6 proc. zostało skreślonych. Natomiast po semestrze zimowym 1985/86 zaliczyło sesję 70,6 proc. studentów, około 23,6 proc. otrzymało zaliczenie warunkowe, około 5,3 proc. powtórza rok, a 2,8 proc. zostało skreślonych. Porównanie tych wskaźników wskazuje na wyraźny postęp. Trzeba jednak zastrzec, że zimowa sesja była łatwiejsza niż sesja letnia. Wyniki po sesji letniej w czerwcu 1986 r. mogą być nieco gorsze, ale jestem głęboko przekonany, że będą lepsze niż w roku akademickim 1984/85.

— Studenci przejawiają skłonność do kontestacji; powiada się niekiedy, że student to homo-kontestator. Czy ma pan kłopoty z młodymi kontestatorami?

— Sądzę, iż studenci w zbyt małym stopniu są kontestatorami. Brzmi to dziwnie, ale taka jest prawda. Otóż, pod pojęciem kontestacji rozumiem twórcze niezadowolenie studentów. W tym sensie na uczelni nie ma problemu studentów-kontestatorów. Są natomiast studenci, którzy reprezentują postawę „zrobię na złość mamie i odmrozę sobie uszy”. Na ogół jednak studenci przyjmują realia, wykazują zrozumienie uwarunkowań. Świadczy o tym wspomniany już przykład podziału budżetu między organizacje studenckie. W tym przypadku studenci wykazali postawę obywatelską, zrozumienie uwarunkowań, w jakich funkcjonuje uczelnia.

— Co się dzieje z samorządem studenckim, który w minionych latach był terenem „kontestacyjnej” aktywności studentów?

— Obecnie finalizowane są prace tymczasowych organów samorządów studenckich, zmierzające do opracowania regulaminu, który określi szczegółowo zasady działania, tryb wyborów oraz zakres obowiązków i uprawnień samorządu uczelni. Pragnę podkreślić, że na osiedlu studenckim im. ZWM funkcjonuje już samorząd osiedlowy (notabene działa on dobrze) oraz samorządy mieszkańców domów studenckich. Samorząd osiedla działa w nowej sytuacji prawnej. Polega ona na tym, że od października 1985 r. samorząd osiedla może działać tylko via organizacje młodzieżowe. W związku z tym kluby studenckie nawiązują współpracę z ZSMP, ZMW, ZSP itp. Zbliżają się Juwenalia będą sprawdzianem skuteczności funkcjonowania samorządu osiedla.

— Narzekamy często, że wśród młodzieży akademickiej obowiązuje kult „przeciętności”, że studentów satysfakcjonują oceny państwowe (tzn. ocena dostateczna). Jakże wobec tego uruchamia się, używając języka reformy gospodarczej mechanizmy stymulacji materialnej zachęcające studentów do osiągania dobrych i bardzo dobrych ocen?

— Rzeczywiście jest to problem, który powinien napawać troską. Uczelnia dysponuje systemem stypendiów i nagród przyznawanych studentom wyróżniającym się ponad przeciętną. System ten składa się z kilku elementów. Po pierwsze — są to stypendia przyznawane przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego. W bieżącym roku akademickim 7 studentów z naszej uczelni otrzymało to stypendium. Jest to

2 domy dla cudzoziemców, 1 dom środowiskowy (polsanatorium) i 2 małe domy dla studentów zaocznych uzyskujemy łącznie 3.427 miejsc.

— Czy ta ilość miejsc pokrywa potrzeby?

— Mimo że 1.X.1986 r. oddamy do użytku nowy dom akademicki przy ul. Lumumby 12, w którym będzie 600 miejsc dla studentów dziennych, to nadal niedobór miejsc będzie wynosił 150.

— Czy władze miasta pomagają uczelni w rozwiązywaniu kłopotów z bazą lokalową dla studentów.

— Prezydent Jarosław Pietrzyk obiecał nam pomoc w sprawie lokali zastępczych dla klubów: „Na Pietrze” i „W Siną Dal” oraz teatru studenckiego „Pstrąg”. Problem jest poważny, gdyż inspekcja straży pożarnej i bhp zakwestionowała bezpieczeństwo pomieszczeń (I kategoria zagrożenia pożarowego), w których znajdują się wymienione placówki. Z bólem serca musiałem zamknąć te placówki. Będziemy remontować kluby „Na Pietrze” i „W Siną Dal”, natomiast dla „Pstrąga” trzeba będzie znaleźć nowe lokum. Liczę na pomoc władz miejskich w tej sprawie.

— Współczesny świat pędzi naprzód, nowoczesne urządzenia wkradają się do wszystkich niemal dziedzin życia społecznego, w tym i do procesu nauczania, a my nadal mamy kłopoty



Foto: Grzegorz Galasiński

z jakością tablic i przysłowiową gąbką do ścierania tablic. Co władze uczelni zamierzają uczynić w zakresie stosowania nowoczesnych metod nauczania i czy te zamierzenia są realne?

— Rzeczywiście mamy kłopoty z prostymi narzędziami pracy, jakimi są tablice. Nie zapominamy jednak o potrzebie wprowadzania nowatorskich metod nauczania. Chciałbym szczególnie podkreślić pilną potrzebę zastosowania komputerów w procesie nauczania. Uniwersytet dysponuje już programem komputerizacji opracowanym przez prof. J. Szczepaniaka i prof. J. Zielińskiego. Wyprzedziliśmy tym programem intencje ministerstwa, które zaleca budowanie takich programów. Jak to zwykle bywa, istnieją bariery na drodze wiodącej do realizacji tego programu. Bariery te można sprowadzić do dwóch: materialno-finansowej i kadrowej. Na realizację tego programu potrzebna nam 2-3-krotnie więcej środków niż obecnie posiadamy.

Jak oceniliby państwo aktualny stan środowiska przyrodniczego w Łodzi? Co temu środowisku najbardziej szkodzi i zagraża?

R. OLACZEK: — Ogólnie mówiąc, największe zagrożenie stwarza zanieczyszczenie atmosfery i wód, powodowane głównie przez przemysł, transport, gospodarkę komunalną. Oczywiście Łódź nie jest izolowaną enklawą i nie można mówić o jej sytuacji w oderwaniu od stanu środowiska w całym kraju, czy nawet całej Europie. Niemniej na terenie wielkich miast zagrożenia te mają swój specyficzny charakter. Z jednej strony bowiem występują w wielokrotnionym stopniu. Z drugiej zaś dochodzą inne jeszcze, charakterystyczne dla miast niekorzystne zjawiska, jak na przykład widoczne niemal na każdym kroku zaśmiecenie ziemi różnego rodzaju odpadami.

Oceniając obecną sytuację Łodzi, powiedziałabym, iż jest ona w skali kraju przeciętna. To znaczy — bez wątpienia jest u nas lepiej niż na Górnym Śląsku, w Krakowie, a może nawet w Gdańsku, ale na pewno gorzej niż w Poznaniu, Szczecinie czy Olsztynie.

Jeżeli chodzi o czystość powietrza, to w ostatnich dwudziestu latach nastąpiła znaczna poprawa — przede wszystkim ze względu na zmniejszenie się liczby dymiących kominów. Pamiętam, że w latach sześćdziesiątych z okna mojego mieszkania widziałem ich około 60. Dziś — już tylko kilka.

Poprawiło się także zaopatrzenie Łodzi w czystą wodę, dostarczana rurociągami z Pilicy i Zalewu Sulejowskiego. Niestety, ta masa czystej wody zamieniana jest w mieście w taką samą masę ścieków, spływających do Neru i Bzury, które stały się największymi kanałami ściekowymi w Polsce. Oczyszczenie tych dwóch rzek należy do budowy jednego gigantycznego przedsięwzięcia, jakim jest Grupa Oczyszczalni Ścieków. Realizacja tej inwestycji trwa już mniej więcej 15 lat i dopóki nie zostanie zakończona, radykalnej poprawy nie będzie. Takie są nasze realia. Zastanawiam się tylko, czy wybrano najwłaściwsze rozwiązanie, gdyż za następne 15 lat, gdy oczyszczalnia ruszy „pełną parą”, może się okazać, iż będą już znane doskonalsze technologie oczyszczania ścieków albo też zmienią się profile produkcji i rodzaj ścieków, czyli — znów będziemy w tyle za innymi.

Natomiast od lat obserwujemy stale pogarszanie się sytuacji na innych odcinkach. I tak stan zieleni miejskiej jest dziś bez porównania gorszy niż ćwierć wieku temu. Przypomnę, że do połowy lat 60. do Łodzi przyjeżdżała Łódzka Kolej Miejska, która dawniej chciała i potrafiła zrobić wiele dobrego. Tworzono nowe parki, sadzono interesujące gatunki i odmiany drzew i krzewów, śródmiejskie pasażerzy były od wiosny do późnej jesieni dekorowane kwiatami dywanami. Obecnie panuje szablony i bylejakie. Ba, nawet konserwacja zieleni nie jest często prowadzona tak, jakby należało. Na przykład w parku im. Jana Matejki, przez który codziennie przechodzą, nierzadko mogliśmy obserwować, że pracownicy ŁPO tną gałęzie drzew i krzewów zupełnie nie zwracając uwagi na jakim gatunkiem mają do czynienia. Mało tego, po przycięciu gałęzi drzew ulicznych ran nie smaruje się nawet pastą ogrodniczą, co jest zabiegami znanym od ponad stu lat. W efekcie drzewa, te szybko ulegają zakażeniu.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Atakują je przede wszystkim grzyby pasożytnicze, zwane przetrzaskami, które zakażają całe drzewo, do samych korzeni. Glinie ono już po kilku latach i trzeba je wyciąć. Ale oto znów popełnia się kolejny błąd, zostawiając w ziemi jego korzenie, które z kolei zarażają nowe drzewka posadzone w miejsce wyciętego. Skutek łatwy jest do przewidzenia — ale nie dla pracowników ŁPO. Zupełnie jakby nie zdawali sobie sprawy, co jest przyczyną, że nowe drzewa nie chcą się przyjąć i także giną.

— Innymi słowy, ile wykonany zabieg pielęgnacyjny może przynieść więcej szkód niż korzyści.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Naturalnie. **R. OLACZEK:** — Kolejnym zagrożeniem dla środowiska przyrodniczego Łodzi i okolic jest też zaskrajanie wprost zaśmiecenie parków i lasów podmiejskich. Co dziwniejsze, w stosunku do tych, którzy śmiecia, nie wyciąga się na ogół żadnych konsekwencji. A przecież często bez większego trudu udałoby się ustalić, kto na przykład wyrzucił do lasu jakieś odpady, resztki materiałów budowlanych, starą korespondencję. Funkcjonariusze MO mogliby karać mandatami ludzi dewastujących zieleni w parkach i na skwerach. Dlaczego się tego nie robi?

— A dlaczego przystępując do budowy nowych osiedli mieszkaniowych przedsiębiorstwa budowlane zazwyczaj ogolają teren przyszłego osiedla ze wszystkiego, co na nim rośnie? Wiele drzew i krzewów należy, rzecz jasna, usunąć, jednak sporo mogłoby pozostać. Niemalbyśmy wtedy takich asfaltowo-betonowych pustyni, jak na przykład Retkinia. Bo co z tego, że między blokami sadzi się później nowe drzewka? Połowa z nich usycha lub zostaje zniszczona, a pozostałe dorosną dopiero za kilkadziesiąt lat. Tymczasem w wielu krajach wznosi się domy, nie wycinając bez potrzeby ani jednego drzewa. Można by i u nas, tylko że dla budowlanych to dodatkowy kłopot. I tu także nikt nie reaguje.

R. OLACZEK: — Rzeczywiście, postawa przedsiębiorstw budowlanych jest w dziedzinie ochrony środowiska przyrodniczego wielkim problemem, a poza tym — źródłem demoralizacji społecznej.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Powiedziałaabym, że ta dewastacja zieleni, jaką obserwujemy na co dzień, jest pewnym rodzajem rezygnacji, bo przecież wszystko jedno, czy zادهczmy trawnik, zaśmiecimy park, wytniemy do rodne drzewo. I tak nikomu na tym nie zależy — myśli wielu ludzi. Po cóż się więc wysilać?

— Stąd chyba wniosek, że powinniśmy wręczyć podnieść świadomość ekologiczną społeczeństwa na jakiś przyzwoity poziom.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Od samego dołu poczynając...

— Od dołu też, ale przede wszystkim chyba — od góry. Przykład zawsze idzie z góry. Obywatel powinien być przekonany, że jeżeli miałby spotkać go kara za śmiecenie w parku, czy deptanie kwiatów, to ukarane musza być również wszystkie te przedsiębiorstwa i insty-

tucje, które swoimi bezmyślnymi działaniami w nie mniejszym stopniu dewastują środowisko. Wydaje mi się, że bez wprowadzenia tego, śadnego apele nie odniosą większego skutku.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Niewątpliwie ma pan rację. Nieraz zdarza się, iż zwracam komuś uwagę, że niewłaściwie zachowuje się w parku, ale jaki odnosi to skutek, skoro kilkanaście metrów dalej pracownicy ŁPO wjeżdżają na trawnik ciężkim ciągnikiem, aby zabrać stamtąd kupkę zeschłych liści?

R. OLACZEK: — Ja ująłbym to tak: stan świadomości ekologicznej w naszym społeczeństwie jest chyba w sumie dosyć dobry, czego dowodem mogą być chociażby spotkania przedwyborcze, na których sprawom ochrony środowiska poświęcano stosunkowo dużo uwagi. Jest to wynikiem wieloletnich działań publicznych i naukowych ekologów. Prawda jest bowiem taka, iż o zagrożeniach środowiska przeciętny obywatel wieć wie z prasy czy telewizji niż z autopsji. Natomiast zupełnie dla mnie niezrozumiałe jest, że choć tak wiele na

— Słyszałem, że w Łodzi jodła również jest już na wymarcu, co widać choćby w rezerwacie „Polesie Konstantynowskie”.

R. OLACZEK: — Tak. Na przykładzie tego rezerwatu doskonale można śledzić, jakie gatunki drzew jak reagują na zatrucie środowiska. Kiedy tworzone go w 1933 roku, rosły tam olsze, dęby, brzozy, sosny, świerki i kilkadziesiąt innych gatunków. Przeprowadzona przed paru laty inwentaryzacja wykazała, że najwcześniej wymarły właśnie jodły. Zostało ich zaledwie kilka i to też w zamierającym już stanie. Wyginęło również 90 proc. świerków. Na ich miejscu wyrósł drzewa liściaste, bardziej odporne. I to była niegdyś nasza nadzieja: wyginię jodłki, ale pozostała drzewa liściaste. Niestety, coraz częściej obserwujemy ostatnio masowe wymieranie także i drzew liściastych. I to tych stanowiących podstawę drzewostanów — buków i dębów.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — A zaczęło się od wiatów, które odczuły zatrucie środowiska już na początku naszego wieku.

Gdzie umierają drzewa

Rozmowa z doc. MARIĄ ŁAWRYNOWICZ i prof. ROMUALDEM OLACZKIEM z Instytutu Biologii Środowiskowej Uniwersytetu Łódzkiego.

ten temat piszemy i mówimy, tak mało później robimy. Na mówieniu najczęściej się kończy, i to nie tylko w tej zresztą dziedzinie.

— Ale powróćmy może jeszcze do owych typów miejskich zagrożeń...

R. OLACZEK: — Tak, jeśli chodzi o drzewa, to zagraża im nie tylko zanieczyszczenie atmosfery, ale w nie mniejszym stopniu — zasolenie (spowodowane posypywaniem zimą jezdni solą), susza oraz zanieczyszczenie gleby. Na pobocza ulic, na skwery, także do parków trafiają zanieczyszczenia ze ścierających się opon samochodów, asfaltu, różne pyły, odpadki i zabójcza dla roślin sól. Wszystko to tworzy na powierzchni zatrutą warstwę gleby, którą przynajmniej raz na parę lat powinno się zebrać, wywieźć, a na jej miejsce dostarczyć czystą, próchniczą ziemię. Tego się jednak nie robi.

Poza tym drzewom trzeba również dostarczyć wody. W Łodzi średnia rocznych opadów wynosi około 600 milimetrów. W naturalnych warunkach wystarczałoby to dla normalnej wegetacji. Ale przecież w śródmieściu aż 70 proc. powierzchni, to dachy domów, asfalt, chodniki. Większość wody deszczowej zamiast więc wsiąkać w ziemię, dostaje się do kanalizacji. Jeżeli zatem rosną tam gdzie jeszcze drzewa, to rosną niemal w pustynnych warunkach. Dlatego powinno się je podlewać.

Krótko mówiąc, detoksykacja gleby, podlewanie i zaniechanie sypania soli, to podstawowe wymagania, od spełnienia których zależy los rosnących w Łodzi drzew, a tych przylicznych — w szczególności. Nie muszę chyba wyjaśniać, że stanowią one nie tylko ozdobę, ale tłumia też hałas, zatrzymują część pyłów, natleniają powietrze. Niestety, z każdym rokiem drzew przylicznych jest w Łodzi coraz mniej. Na przykład przy ulicy Narutowicza ginie corocznie jedna dziesiąta rosnących tam lip. Nietrudno obliczyć, kiedy ulica Gabriela Narutowicza stanie się na całej długości bezdrzewna.

— Wiadomo, że różne gatunki drzew i w ogóle wszystkich roślin w różnym stopniu odporne są na zanieczyszczenie środowiska. Które z występujących na terenie naszego miasta zagrożone są najbardziej? Którym grozi całkowita zagłada?

R. OLACZEK: — Kiedy ćwierć wieku temu przeprowadzaliśmy inwentaryzację łódzkiego drzewostanu, doliczyliśmy się około 400 gatunków drzew i krzewów. Nie jest to imponująca liczba, gdyż w innych miastach występuje tysiąc i więcej gatunków. Ale co gorsza, jest to już liczba nieaktualna, gdyż od tamtego czasu ubyło nam mniej więcej sto gatunków. Jest więc coraz gorzej.

Najbardziej zagrożone są drzewa iglaste. W całej Europie powoli ginie jodła. Piesniści twierdzą nawet, iż w ciągu najbliższych 30 lat lasy jodłowe mogą w ogóle zniknąć z naszego krajobrazu. Podobnie — świerk, który w wielu regionach kraju już wyginął lub przestał się obsiewać. I to nawet tam, gdzie tradycyjnie jeździmy wycieczkami, jak choćby w Karkonoszach czy Górach Iżerskich. Mamy tam do czynienia z autentyczną klęską ekologiczną. Przyczyną tego są tzw. kwaśne deszcze — wyjątkowo szkodliwe dla wszystkich zresztą drzew.

R. OLACZEK: — Istotnie. Przy czym muszę dodać, iż groźba wymarcia drzew liściastych wydaje się dziś na tyle poważna, że w niektórych krajach, jak na przykład w RFN, zaczęto gromadzić duże zapasy nasion dębów i buków, przechowując je w specjalnych warunkach w nadziei, że gdy za kilkadziesiąt lat uda się bardzo poważnie ograniczyć zanieczyszczenie atmosfery, z nasion tych będzie można odtworzyć z powrotem bukowe i dębowe lasy, ponieważ wszystko wskazuje, iż do tego czasu ulegną zagładzie i nie będą w stanie odtworzyć się same. Jest to wizja ponura, być może zbyt pesymistyczna, jednak całkiem realna, skoro w samej tylko Polsce każdego roku wypuszczaonych jest do atmosfery około 5 milionów ton trujących gazów, w tym co najmniej — 2,5 mln ton dwutlenku siarki, będącego przyczyną wspomnianych już wcześniej kwaśnych deszczów.

Trzeba przyznać, że są to liczby trudno wyobrażalne.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Jednym ze sposobów ratowania ginących gatunków roślin jest sporządzanie tzw. czerwonych ksiąg i czerwonych list, czyli rejestrów gatunków najbardziej zagrożonych. Akcja ta prowadzona jest na skalę światową. Koordynuje ją znajdujący się w Kew w Londynie sekretariat Komisji Roślin Zagrożonych Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody, a bezpośrednio prowadzi — ośrodki botaniczne w poszczególnych krajach. Nasz instytut także ma w niej swój udział.

R. OLACZEK: — Właśnie doc. Maria Ławrynowicz i dr Krystyna Czyżewska są współautorkami pierwszej polskiej czerwonej listy zagrożonych gatunków. Obejmuje ona około 40 gatunków roślin wyższych, 800 gatunków grzybów, 480 gatunków porostów, a także pewną liczbę mchów i wątrobowców.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Problematyce tej poświęcony będzie też tegoroczny wrześniowy zjazd Polskiego Towarzystwa Botanicznego, którym jesteśmy organizatorem. Hasło zjazdu brzmi: „Zasoby genowe roślin — perspektywy badawcze, wykorzystanie i ochrona”.

— Z pewnością będzie to ważne wydarzenie tak dla całego polskiego, jak i dla łódzkiego środowiska botanicznego. Mnie natomiast interesowałoby, czy wasza wiedza jest w jakiś sposób praktycznie wykorzystywana dla ochrony środowiska przyrodniczego w naszym mieście. Czy władze miasta, różne instytucje zwracają się do was z prośbami o porady, o ekspertyzy, czy konsultują się z wami przed podjęciem decyzji o inwestycjach, które mogą stan tego środowiska zmienić?

R. OLACZEK: — Jeżeli chodzi o Instytut Biologii Środowiskowej UŁ, to z przykrością muszę stwierdzić, iż o wiele częściej proszą nas o poradę czy konsultację instytucje lub władze innych miast: Sieradza, Skierniewice, Częstochowa, Piotrkowa. Nie znam przypadku, aby łódzkie władze lokalne podejmując decyzję o jakiejś ważnej inwestycji przemysłowej lub komunalnej konsultowały to z naszym instytutem, choć tego rodzaju praktyki często spotykane są za granicą, a nawet i w naszym kraju.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Także i Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze nie odwołuje się do naszej pomocy, mimo iż mogłoby być to bardzo korzystne.

R. OLACZEK: — Kilkakrotnie już wypowiedziałem się publicznie w sprawie utworzenia przy Urzędzie Miasta Łodzi stanowiska głównego ogrodnika Łodzi na wzór stanowiska głównego architekta czy głównego plastyka. Czuwałby on nad ogólnym stanem zieleni miejskiej, był konsultantem przy podejmowaniu decyzji, o jakich mówiliśmy, kontrolował pracę ŁPO, itd. Niestety, moje sugestie nie spotkały się jak dotąd z aprobatą.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Tymczasem obserwujemy przykłady wielu działań szkodliwych dla środowiska, a prowadzonych może i w dobrej wierze, które są wynikiem braku wiedzy przyrodniczej, niezadawania sobie sprawy z pewnych rzeczy. Mam na myśli chociażby usuwanie roślin rosnących między płytami chodnikowymi, na pustych placach, przy torach kolejowych. Wszystkie je nazywa się potocznie chwastami i uważa, iż są niepotrzebne, są gęca. Nic bardziej fałszywego!

R. OLACZEK: — Są to tak zwane rośliny synantropijne, związane z człowiekiem, gdyż to człowiek utorował im drogę do naszych miast, niszcząc pierwotną szatę roślinną. Możemy je spotkać prawie na każdym wolnym skrawku ziemi. Ich osobiwością jest to, że wiele gatunków pochodzi z bardzo daleka — z Ameryki Północnej, Azji Środkowej, krajów basenu Morza Śródziemnego, a pojawiły się w Łodzi wraz z rozwojem przemysłu włókienniczego. Po prostu ich nasiona zostały tu zawleczone z importowaną bawełną i wełną.

Dawniej i botanicy patrzyli na nie jako na typowe chwasty. Od wielu już lat jednak widzimy w nich szereg cech pozytywnych. Przede wszystkim — rosną same, bez żadnego nakładu pracy, tak samo jak inne rośliny wydzielają tlen, wzbogacają glebę w próchnicę, są siedliskiem dla ptaków, owadów... Poza tym często stanowią nie najgorszy element dekoracyjny. Wystarczy popatrzeć na porośnięte nimi nasypy kolejowe.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Dla botanika nie ma roślin mniej lub bardziej pożytecznych.

R. OLACZEK: — Przyroda funkcjonuje jako pewien system, jako całość i każdy gatunek ma w niej określone miejsce i określoną rolę. Wszystkie więc są potrzebne.

MARIA ŁAWRYNOWICZ: — Chroniąc jakąś jeden, zdawałoby się, nieużyteczny gatunek chronimy też inne, gdyż często jedne rośliny nie mogą występować bez drugich. Tak jest na przykład z grzybami i pewnymi gatunkami drzew, które rosną w symbiozie. Z kolei występowanie niektórych gatunków roślin na danym terenie warunkuje życie owadów czy ptaków. A poza tym nigdy nie wiadomo, które gatunki mogą okazać się bardziej odporne na zanieczyszczenie środowiska lub też ujawnić jakieś inne niezamierane jeszcze cechy. Słowem, im więcej gatunków roślin, tym większa szansa, że ochrona środowiska przyrodniczego będzie bardziej skuteczna.

— Na ogół słyszy się, że ochrona środowiska jest bardzo kosztowna, wymaga wielkich inwestycji, dużego nakładu pracy. I w wielu przypadkach jest to chyba prawda. Z drugiej jednak strony można by dużo zrobić — jak sądzę — bez wielkich pieniędzy, stosunkowo prostymi metodami. Ale nie zawsze wykorzystujemy te możliwości.

R. OLACZEK: — Tych najważniejszych problemów, związanych z czystością wód czy atmosfery nie da się załatwić prostymi, domowymi sposobami. Ma pan jednak rację, że stan środowiska wokół naszych domów, miejsc pracy i wypoczynku poprawić można często bez żadnych właściwie nakładów finansowych, a jedynie wykazując więcej rozsądku i dobrej woli.

Zakwestionowałbym natomiast tezę, że ochrona środowiska jest droga. Wszystko zależy bowiem od tego, jak na nią spojrzeć. Posłużę się dla przykładu następującym porównaniem. Otóż, czy można zbudować pojazd samojedźny bez hamulców, wygodnych siedzeń, sprawnego układu kierowniczego, zapewniającej dobrą widoczność przedniej szyby? Można. I tak właśnie do niedawna budowany był przemysł. Dlatego był tani. Ale przecież takiego samochodu nikt nie dopuściłby dziś do ruchu ze względu na bezpieczeństwo, choć byłby z pewnością o wiele tańszy od tych, jakimi jeździmy. Można więc powiedzieć, że i przemysł powinien mieć immanentnie wbudowane takie zabezpieczenia, które czyniłyby go jak najmniej szkodliwym dla środowiska, a więc również i naszego bezpieczeństwa. Nie może być tak, że przedsiębiorstwo odpowiada jedynie za to, co wyprodukuje i sprzeda, a zupełnie nie troszczy się o pozostałe wytwory swej działalności takie jak trujące ścieki, pyły i gazy, odpady. To nie o ochrona środowiska jest droga, lecz — przy obecnie stosowanych technologiach — przemysł nie niszczy środowiska.

Jeżeli sobie wreszcie to uświadomimy, okaże się, że koszty związane z ochroną środowiska nie są wcale aż tak wysokie, jak się nieraz sugeruje. Nikt przecież nie mówi, że samochód z hamulcami jest drogi. Po prostu do tego zdążyliśmy się już wszyscy przyzwyczaić, a że przemysł powinien stosować technologie bezpieczne dla środowiska — jeszcze nie.

Zresztą za stosowaniem takich technologii przemawiają także względy ekonomiczne. Wystarczy chyba jeśli powiem, że gdyby nie zatrucie atmosfery, nasze lasy mogłyby dać dwukrotnie większą wartość produkcji niż dają obecnie. A przecież lasy stanowią tylko część powierzchni Polski. To samo odnosi się do pól uprawnych, łąk, sadów, itd.

— A zatem na jednym oszczędzamy, a na drugim tracimy.

R. OLACZEK: — Oczywiście. Problem polega tylko na tym, że zazwyczaj nie kojarzymy ze sobą tych dwóch faktów, a wielu ludziom wciąż wydaje się, że degradacja środowiska przyrodniczego może dokonywać się bezkarnie. Nic bardziej mylnego. Weźmy chociażby pod uwagę i to, że niszczenie środowiska sprządamy na siebie więcej chorób. Tam, gdzie umierają drzewa, człowiek też nie może czuć się dobrze.

— Dziękuję za rozmowę i życzę nam wszystkim, abyśmy mogli bardziej optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Rozmawiał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI



Pomnik przyrody — dąb szypułkowy „Fabrykant” w parku im. H. Worcella Foto: Jan T. Siciński

Około godziny szesnastej trzydziści myśliwi wchodzi na polanę — ulubione zerowisko dzików. Samochód parkuje na leśnej drodze, sto siedem kroków od centrum polany.

Karol M. zajmuje miejsce na tzw. półce — skleconym z desek stanowisku usytuowanym między pniami drzew na wysokości sześciu metrów od ziemi. Ma stąd dobrą jak na warunki nocne widoczność, dysponuje wysokiej klasy lunetą ze zmienną ogniskową.

Czesław H. rozstawia swój myśliwski stołek na dukcie przy zagajniku, kilkadziesiąt metrów od stanowiska kolegi. H. jest ubrany w zieloną kurtkę i brązowe spodnie dobrze wkomponowane w otoczenie leśne. Na głowie nosi beżową czapkę futrzaną oddającą się od barwu lasu. Uczestnicy wielu polowań, w których brał udział Czesław H. twierdzą, że nie zwykł on rozstawiać się z latarką, za pomocą której sygnalizował swą pozycję i ewentualne poruszanie się w terenie.

Mijają długie chwile oczekiwania, lecz zwierzyna nie nadchodzi. Dopiero około godziny siedemnastej Karol M. słyszy trzask kruszonego lodu na zamrażniętej kałuży. W odległości ośmiu — dziesięciu kroków od swego wysokiego stanowiska dostrzega sylwetkę dzika. Mierzy doń ze szczerą, ale nie oddaje strzału, gdyż — jak stwierdził później — nie ma zupełnej pewności, że strzał będzie celny. Zwierzę wolno oddala się drażniąc ambicję łowcy.

Chwilę później po przeciwnej stronie półki, na której czatuje myśliwy rozlega się szelest, potem wyraźne odgłosy stąpania. Wytrawny myśliwy bez trudu rozróżnia chód ludzki od zwierzęcego. Ale Karolowi M. brakuje doświadczenia i cierpliwości. Pod-

Z gorącą krwią

niecony chwytą sztucer kierując lufę w stronę skąd dochodzi szelest. W obiektywie lunety dostrzega ciemną plamę sunącą duktem na wprost jego stanowiska. To „coś” przystaje i znów porusza się. Kiedy nierozpoznany cel znajduje się w odległości dwunastu metrów od półki, myśliwy naciska spust. Pada strzał.

„I przejmujący okrzyk bólu: — O Jezul!

Tak brzmiały ostatnie słowa łowczego.

Rekonstrukcja wydarzeń, które rozegrały się w lesie pod Śladkowicami między godziną szesnastą trzydziści a siedemnastą trzydziści, oparta jest wyłącznie na zeznaniach Karola M. — jedyne świadka i sprawcy tragedii. W toku dochodzenia nie przeprowadzono wizji lokalnej, nie skorzystano również z opinii biegłego myśliwego.

Na podstawie skąpych, acz dostatecznie wymownych faktów, Sąd Łowiecki w Łodzi wydał jednoznacznie brzmiący werdykt: myśliwy Karol M. rażąco naruszył podstawową zasadę łowiecką strzelając nocą do nierozpoznanego celu, przez co spowodował śmierć człowieka. Decyzją Sądu Karol M. został na zawsze wykluczony z szeregow Polskiego Związku Łowieckiego.

Wszelkie ustalenia czasowe dotyczące przebiegu polowania, wyznaczonego momentu opuszczenia stanowisk oraz chwili, w której oddano strzał muszą być przyjęte w wersji podanej przez Karola M. Rację ma żyjący. Niewyjaśnione szczegóły wypadku pozostaną tajemnicą dżentelmeńskiej umowy obu myśliwych i sumienia Karola M.

Milknie echo wystrzału.

Niefortunny myśliwy podbiega do leżącego kolegi. Czesław H. jest nieprzytomny, oddycha. M. zeznaje, że ranny nie dawał znaków życia. Dotyka głowy i korpusu leżącego, rozpina jego kurtkę i kosiule, lecz nie doszukuje się śladów postrzału. Jest prawdopodobnie kilka minut po godzinie siedemnastej.

Tymczasem ranny obficie broczy krwią. Rozpryskowa kula, która przeszła mu prawie udo poniżej pachwiny, rozerała tętnicę. W tym stanie łowczy może żyć najwyżej kilka — kilkanaście minut. Potrzebuje natychmiastowej pomocy. Jest zdrowym, silnym mężczyzną, co zwiększa jego szanse ratunku. Teraz liczy się każda sekunda.

Nie opodal stoi samochód Karola M. — szybki Volkswagen — Jetta. Jadąc z bezpieczną prędkością, dystans od miejsca wypadku do bram najbliższego szpitala można pokonać w niespełna czternaście minut. Ale Karol M. wybiera inne rozwiązanie. Zostawia nieprzytomnego kolegę i jedzie w kierunku odległego o kilometr leśniczówki. Obecna tam żona leśniczego zezna, iż myśliwy wszedł do domu wolnym krokiem. Był spokojny.

M. wykręca alarmowy numer telefonu wzywając pogotowie. Objasnia jak dojechać do miejsca wypadku. Następnie wykonuje kilka telefonów: do rodziny i do znajomych, po czym wyjeżdża na spotkanie karetki.

Dyspozytor stacji pogotowia ratunkowego przyjmuje zgłoszenie o godzinie siedemnastej trzydziści. Minutę później do akcji wyrusza karetka z zespołem wypadkowym. Po dziesięciu minutach sanitarka osiąga skraj lasu, gdzie czeka na nią Volkswagen Karola M. Samochody wjeżdżają na polanę. M. wskazuje lekarzowi miejsce, przysiewca latarką. Od momentu wystrzału minęło około pół godziny.

Widok jest potworny. Łowczy leży w kałuży krzepnącej krwi. Już nie oddycha. Lekarz pogotowia ratunkowego stwierdza zgon. Przeprowadzone oględziny zewnętrzne oraz późniejsza sekcja zwłok ujawniają rozległą ranę postrzałową prawego uda z całkowitym przerwaniem naczyń krwionośnych. Biegły medyk sądowy biorąc pod uwagę okoliczności śmierci oraz wyniki sekcji zwłok uznaje, że przyczyną zgonu był krwotok zewnętrzny z rany szarpanej. Włot kuli umiejscowiony był na przedniej części uda, zaś wylot na części tylnej, nieco niżej. Ułożenie ciała denata sugeruje, że łowczy przed śmiercią odzyskał przytomność i usiłował wstać. Daremnie. Pomoc przyszła zbyt późno. Na ściółce, obok leży odbezpieczony sztucer Czesława H.

Zabójca i ofiara byli trzeźwi.

Dopiero o godzinie osiemnastej dziesięć o wypadku zostaje powiadomiony Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Piotrkowie Trybunalskim. Na miejsce tragedii niezwłocznie udaje się

ekipa dochodzeniowa. Wcześniej w lesie zjawiają się żona Karola M. i prezes koła łowieckiego wezwani tam telefonicznie przez niefortunnego strzelca. Wszyscy oni zgodnie twierdzą, że głównym winowajcą jest... zabity.

Łowczy nie może zaprzeczyć.

Zaprzeczają synowie Czesława H. i myśliwi, z którymi od lat polował. Syn Marek — także myśliwy, znając surowe łowieckie zwyczaje ojca powiada, że łowczy nigdy nie opuszczał swego stanowiska przed wyznaczoną ku temu porą. Na przegubie dłoni nosił fosforujący zegarek. Obaj synowie poszukują latarki Czesława H., którą myśliwy zwyczajowo powinien mieć przy sobie, by sygnalizować poruszanie się w ciemnościach. Latarki nie znajdują, choć pamiętają, że ojciec zabrał ją do lasu.

Po zapoznaniu się z okolicznościami tragedii prokurator zarządza zastosowanie aresztu tymczasowego wobec Karola M., zarzucając mu dokonanie czynu o znacznym stopniu społecznego niebezpieczeństwa.

W toku dochodzenia Zakład Kryminalistyki Sądowej Komendy Głównej MO poddaje badaniom broń myśliwską, z której padł śmiertelny strzał oraz łuskę po wystrzelonym pocisku. Badania wykazują, że wszystkie mechanizmy sztucera funkcjonują sprawnie, co praktycznie wyklucza możliwość niekontrolowanego zadziałania broni.

Myśliwy Karol M. ma formalne zezwolenie na posiadanie broni kulowej. Z dokumentów wynika jednak, że zdobył je w trybie ekspresowym, po krótszym okresie przynależności do PZŁ, niż przewiduje statut. M. zdał egzamin selekcyjny i za wystawieniem zarządu macierzystego koła łowieckiego został właścicielem sztucera. Traf chciał, że jedną z osób, które poręczyły za umiejętności Karola M. była późniejsza jego ofiara — Czesław H.

Śmierć łowczego tylko na krótko paraliżuje myśliwską brać. Zarząd koła wydaje nakaz wstrzymania polowań indywidualnych. Zapowiadają się święta bez dziczyny. Ale nie wszyscy łowcy chcą wyciągnąć wnioski ze świeżej tragedii. Wiele twierdzi, że myślistwo to sport dla prawdziwych mężczyzn. A prawdziwy mężczyzna zawsze jest gotów ryzykować życie: wygrać albo przegrać — w amerykańskim pojedynku... Wiele stało się i tyle. Łowczemu już pomóc nie można, trzeba zadbać o żywych.

Nazajutrz po tragedii żona Karola M. zjawia się w domu zmarłego, by zaproponować wdowie przyjęcie sumy dwustu tysięcy złotych w zamian za podpisanie oświadczenia uniewinniającego zabójcę... M. najwyraźniej nie poczuwa się do winy za spowodowanie śmierci kolegi, wszelkimi sposobami usiłuje wydestakować się z aresztu śledczego. Na biurko prokuratora trafiają kolejne prośby o przywrócenie wolności Karolowi M. Wnioski te poparte są rozmaitymi zaświadczeniami. Prokuratura Rejonowa w Bełchatowie odpowiada:

„Obrona przedłożyła zaświadczenie o pobycie żony oskarżonego w szpitalu, które nie nosi cech mogących mu nadać rangę dokumentu. Nie zostało ono podpisane przez uprawnionego lekarza i nie zawiera rozpoznania choroby. O tym, że żona podejrzanego nie wymaga leczenia szpitalnego dowodzi informacja, iż opuściła ona szpital w dniu 1985.12.24”.

Kilka dni później prokurator ponownie ustosunkowuje się do stale napływających wniosków:

„Podejrzanym posiada i prowadzi gospodarstwo hodowlane, ale zatrudnia najemną siłę roboczą. Zasoby finansowe podejrzanego pozwalają w razie potrzeby na zatrudnienie dodatkowej liczby osób w gospodarstwie. Nie można zgodzić się z twierdzeniem obrońcy, że aresztowanie podejrzanego pociągnie wyjątkowo ciężkie skutki dla niego i jego rodziny”.

Karol M. jest człowiekiem majątnym, jego gospodarstwo osiąga milionowe obroty. Prokurator odrzuca więc motyw ekonomiczny wniosków i nie uchyla środka zapobiegawczego w postaci aresztu tymczasowego.

W jednym z pism włączonych do teczek z interwencjami w sprawie Karola M. znalazło się następujące uzasadnienie:

„Już przez sam fakt spowodowania śmierci swego kolegi sprawca poniósł ciężką karę moralną”.

Sezon polowań trwa. W niespełna tydzień po śmierci Czesława H. myśliwi wybierają nowego łowczego. Dla kilku hobbistów spotkanie jest okazją do postawienia nurtującego pytania: komu przypadnie w udziale broń po zmarłym? Najbardziej zapobiegliwi z wrodzoną sobie delikatnością składają synowi Czesława H. ofertę nabycia pierwszorzędnego sztucera ojca.

Burzliwe obrady dzielą łowców na dwa obozy. Jedni ostro potępiają lekkomyślnego zabójcę, inni wypuklają winę ofiary. Czterech myśliwych twierdzi, że byłemu łowczemu już wcześniej zdarzyło się opuścić stanowisko przed zakończeniem polowania. Przeczą temu najstarsi stałymi członkowie koła, którzy wielokrotnie polowali z Czesławem H. i nigdy nie byli świadkami naruszenia przez niego elementarnej zasady łowieckiej. Padają obustronne gromkie epitety. Kilku zważnionych ostentacyjnie wychodzi z sali.

Zarząd koła zdecydowanie opowiada się po stronie Karola M., który jest wprost nieocenionym działaczem. On to na potrzeby łowiectwa wydzierzał blisko hektar gruntu, dysponuje środkami transportu i pasaż dla zwierzyny. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że M. utrzymuje bliskie kontakty z prezesem.

W lutym 1986 roku zarząd koła łowieckiego wydaje Karolowi M. znakomitą opinię, mocno odbiegającą od opinii szeregowych członków koła. Dokument ten wraz z poręczeniem finansowym w kwocie dwustu tysięcy złotych uiszczonego przez rodzinę M. trafia do Sądu Rejonowego w Bełchatowie. 20 lutego 1986 roku Sąd postanawia uchylić areszt tymczasowy wobec Karola M.

Decyzja ta spotyka się z oburzeniem licznych grona myśliwych. W tym samym czasie syn zmarłego łowczego składa wniosek o wydanie z depozytu broni kulowej ojca. Prokurator obawiając się, że może dojść do samosądu, nie wyraża zgody.

13 marca 1986 roku Sąd Rejonowy w Bełchatowie uznaje Karola M. winnym nieumyślnego zabójstwa i skazuje go na karę dwóch lat pozbawienia wolności. Karol M. uważa, że wyrok jest zbyt surowy. Obrona składa wniosek rewizyjny.

ROMAN KUBIAK

Zabierz mnie stąd, będę grzeczna!

BEATA SZUSZWEDYK-KOWALIK

1.

Historia jaka wydarzyła się trzy miesiące temu w kartuskim szpitalu poruszyła całą Polskę. Wykradzenie 7-miesięcznej dziewczynki z oddziału pediatrycznego stało się powodem wielu plotek i spekulacji dotyczących domniemyanych okoliczności zaginięcia. O ile pod koniec stycznia 1986 r., prowadzący poszukiwania funkcjonariusze MO brali pod uwagę możliwość wypadku i ukrycia zwłok na terenie szpitala, pozbicia się dziecka przez podejrzanego ojca, czy też wywiezienia go za granicę, obecnie rozważana jest najbardziej prawdopodobna możliwość nielegalnej adopcji. W czasie rozmowy przeprowadzonej przez mnie kilka dni temu wypowiedź zastępcy szefa RUSW kpt. Edmunda Kiosa była cieleńko mniej optymistyczna niż trzy miesiące temu.

— W ślad za komunikatem i apelem otrzymaliśmy kilka sygnałów od społeczeństwa. Zostały one sprawdzone, ale w dalszym ciągu nie jest znany żaden konkretny motyw działania sprawcy.

Na pytanie o dalsze działania, jakie będą podejmowane, padła odpowiedź, która niespodziewanie zasygnalizowała pewien poważny problem.

— Napłynęły informacje pozwalające sądzić, że niemowlę żyje, ale zostało nieprawidłowo adoptowane.

Dosyć często zaginięcia dzieci nie są bezpośrednio związane z pragnieniem adopcji, ale z jakimś tragicznym wypadkiem, który je poprzedził. Kilka lat temu w Gdyni pijany mąż w czasie domowej awantury rzucił szklaną popielniczką w kobietę przytulającą do siebie syna. Zabite niemowlę ukryto. W kilka dni później zaradny małżonek porwał sprzed sklepu wózek z dzieckiem. Taki też mógł być powód zaginięcia 7-miesięcznej Kasi.

Swój poprzedni pobyt w Kartuzach kończyłam rozmową z pracownikami szpitala, którzy zaprezentowali krańcowo odmienny punkt widzenia niż prowadzący śledztwo. Dyrektor szpitala lek. med. M. Słachetka, odrzucając możliwość wypadku, zareagował oburzeniem na podejrzenia skierowane na personel szpitala. Co prawda, nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zostawiono na noc otwarte drzwi awaryjne, ale przedstawił swoją wersję ukartowanego porwania, która odbiegała od branych pod uwagę przez organy ścigania.

— Zarówno Szwecja jak i RFN są krajami o wyjątkowo niskim przyroście naturalnym. Biorąc pod uwagę fakt wyjątkowo późnego zablokowania dróg przypuszczam, że dziecko mogło zostać przewiezione przez granicę.

Jeden z lekarzy poruszył problem istniejący nie tylko w Polsce, ale w wielu krajach europejskich. O tej sprawie do tej pory nie wspominali inni rozmówcy. Rozważał trudności, jakie napotykają rodzice pragnący legalnie adoptować dziecko. Czy rzeczywiście jest to droga prowadząca do poznania prawdy o kartuskim porwaniu na razie nie wiadomo. Natomiast niewiele osób wie, ponieważ jest to problem, o którym wyjątkowo mało mówi się i pisze, iż występuje w Polsce zjawisko zagranicznej adopcji. Okazuje się, jest to sprawa wysoce kontrowersyjna. Oburzenie wywołuje fakt, iż polskie sieroty adoptowane są przez rodziny zagraniczne, podczas gdy

w kraju istnieją „kolejki” rodziców oczekujących na przysposobienie i legalne przekazanie dziecka.

2.

Te wątpliwości wyjaśnia mi przewodnicząca VII Wydziału Sądu Rodzinnego w Gdańsku sędzina Urszula Bożek. Przed wszystkim krzywdzące byłoby takie postawienie problemu. Trudności związane z adopcją wynikają z braku dzieci prawie wolnych. W praktyce oznacza to, że Domy Dziecka są przepełnione, ale dzieci, których oboje rodzice nie żyją, bądź są pozbawieni władzy rodzicielskiej, jest bardzo mało.

Odpowiedź na drugą część pytania była zaskakująca i smutna zarazem. Polskie rodziny z reguły pragną adoptować dziecko zdrowe, bez defektów, najchętniej niemowlę, a jeżeli jest to niemożliwe to górna granica wieku nie może przekraczać 3-4 lata. Bardzo często do Sądu Rodzinnego wpływają podania, w których znajduje się dokładny opis, jakie dziecko może być adoptowane (kolor włosów, oczu, pięć, z nieupośredzonej rodziny), bądź prośba o przysposobienie konkretnego dziecka, wybranego w zakładzie opiekuńczym. Trudno uwierzyć, ale zdarza się też, że po okresie próbnym wychowawca Domu Dziecka wraca do zakładu, ponieważ nie spełnia oczekiwań „rodziców”, bądź w tym czasie pojawia się oczekiwanie od wielu lat, możliwość urodzenia własnego potomka.

Powinno się wydawać naturalne, że największą szansę odzyskania domu mają dzieci najbardziej niepełne i koniecznie zupełnie zdrowe. Ale co z pozostałymi? Najczęściej do 18 roku życia pozostają pod opieką państwa, ale zachodzi też druga, wspomniana wyżej możliwość.

Zagranicznej adopcji podlegają dzieci upośledzone, z wadami mowy, słuchu, wzroku, cierpiące od urodzenia na epilepsję, ale także te, które w kraju nie mają szansy na znalezienie nowej rodziny. Bardzo często za granicę wyjeżdżają rodzeństwa. Trzy lata temu młode holenderskie małżeństwo zaadoptowało brata i siostrę, w tym roku przyjechali po trzecie dziecko z tej samej rodziny. Pewna szwedzka rodzina wychowująca już dwóch chłopców i dziewczynkę z Polski po kilku latach wróciła i stara się o następną dwójkę. Najczęściej rodziny te pochodzą z Holandii, Francji, Szwecji, Stanów Zjednoczonych i Szwajcarii.

3.

Przepisy dotyczące adopcji zagranicznej regulowane są przez prawo międzynarodowe, które przewiduje możliwość legalnego przeprowadzenia działań w tym kierunku na mocy dwustronnych umów zawieranych przez Polskę ze Szwecją czy Szwajcarią. Istniejąca bardzo szczegółowo przepisy określające kolejność czynności prawnych i długość okresu przedopieczynego. Przykładowo przepisy w Szwajcarii wymagają dwuletniego wspólnego pobytu dziecka i rodziców zanim adopcja zostanie orzeczona merytorycznie. W Holandii czy Szwecji okres ten jest dużo krótszy: 6 miesięcy. Jedynie przepisy w USA, a konkretnie w stanie Illinois dopuszczają możliwość rezygnacji z tego trybu postępowania w szczególnych przypadkach. Sytuacja taka zdarzyła się w zeszłym roku, gdy francuskie małżeństwo, które od kilku lat wychowywało dwójkę polskich dzieci, stało się o adopcję ich sześciomiesię-

cznego braciśka. Było to 13 dziecko pewnej rodziny mieszkającej na Pomorzu, w której matka i ojciec od kilku lat pozabawieni byli praw rodzicielskich i każde dziecko przychodzące na świat miało jakieś wady wrodzone. Sąd orzekł natychmiastową adopcję, ponieważ w przypadku 6-miesięcznego niemowlęcia pół roku okresu próbnego niewiele by zmieniło w kontaktach między nim a nowymi rodzicami, natomiast w tym czasie nieobojętne były warunki w jakich dziecko miało się rozwijać.

W czasie rozmowy sędzina pokazała mi całą dokumentację jaką muszą zgromadzić rodzice ubiegający się o adopcję. Aż trudno uwierzyć, ile starań i zabiegów towarzyszy całemu procesowi przystosowawczemu i jak skrupulatnie zbierane są dane o przyszłych rodzicach. W aktach, obok podania małżonków do sądu, musi się znaleźć zezwolenie na adopcję dzieci, wywiad środowiskowy, wyciągi z aktów urodzenia, odpis "krócony" aktu małżeństwa, dowód posiadania obywatelstwa, a także wyciąg z rejestru policyjnego o niekaralności, zaświadczenie pracodawcy o wysokości zarobków, a także referencje pewnych instytucji (np. opinia Polskiego Towarzystwa Katolickiego w Holandii).

Całym skomplikowanym procesem prawnym od początku do końca zajmuje się Wojewódzki Ośrodek Adopcji w Gdańsku. Tam kompletowana jest obszerna dokumentacja i tam też prowadzi się selekcję napływających z zagranicy propozycji. Zadaniem pracowników tej placówki jest również zebranie wiadomości o historii a nawet prehistorii rodziny, wywiad obejmujący dane dotyczące kilku pokoleń. Najważniejsze staje się ustalenie, jaki był i jest stosunek ludzi, którym zostanie powierzona polskie dziecko, do jego ojczyzny i do bieżących problemów politycznych. Jeżeli jedno z małżonków jest Polakiem lub znane są dalsze powiązania rodzinne z krajem, wówczas znacznie skracają się czas oczekiwania na orzeczenie adopcji, ale "papierkowe operacje" są nie mniej skomplikowane.

4.

Pierwszy kontakt z dzieckiem jest nawiązywany jeszcze w placówce opiekuńczej. Są to sceny czasem bardzo radosne, ale najczęściej bolesne. Szczególnie przysięła matka bardzo przeżywa spotkanie z capronowanym do adopcji malcem. Zazwyczaj pierwsze widzenie odbywa się w ogólnej sali zabaw jakiegoś Domu Dziecka. Wychowankowie nie znają celu odwiedzin, ale przecież czują, iż zbliża się kolejna szansa znalezienia normalnego domu i kochających opiekunów. Wiedzą, że to nie będą prawdziwi rodzice, ale będzie to na pewno ktoś bliski i oddany. Czekają na tę kolejną szansę na prawdziwe życie. Kiedy do świetlicy czy na plac zabaw, wchodzi ich opiekunka w towarzystwie uważnie rozglądających się obcych, reakcje bywają bardzo różne. Większość dzieci stara się być wyjątkowo grzeczną, bawi się, przytula zabawkę. Ale są też takie, które od początku starają się zwrócić na siebie uwagę: biegają, krzyczą, rzucają zabawki. Większość dzieci zbiera się przy drzwiach. Najczęściej dziewczynki jako pierwsze podchodzą do odwiedzających i delikatnie dotykają ich ubrania, ręk, twarzy, wkładają małe piastki w ich dłonie, siadają na kolanach. Po trwającej wyjątkowo długo, jak na plan zajęć, zabawie, w czasie której przyszli rodzice dyskretnie obserwują zaoroponowane do adopcji dziecko, zognają się i odchodzą.

Wtedy pojawia się najmutniejszy obraz, któremu trudno zapobiec szczególnie u maluchów. Obraz wyciągniętych do odchodzących dzieciennych rącek — *Zabierz mnie, mamo. Weź mnie ze sobą, ja będę grzeczna.*

W tym roku wyjechało do Francji 9-letnie rodzeństwo — Asia i Piotr. Z chłopcem były ciągle kłopoty: bił dzieci, tamtał meble, psuł wszystkie zabawki. Po wizycie przyszłych opiekunów zaprowadzono go do pani psycholog. Przed wejściem do gabinetu dostał od oczekującego małżeństwa pluszowego niedźwiadka. Psycholog zapytała, skąd ma takie śliczne zwierzątko. W odpowiedzi rzucił miś na biurko: — *Przebież oś i tak mnie nie weź-*

ma z tą krótszą nogą. Niech pani nie mówi, że ja kuleję. Piotruś nie mógł uwierzyć, że ci państwo o tym wiedzą i że mimo tego jutro rano przyjadą do Domu Dziecka. W nocy wychowawczyni znalazła chłopca śpiącego na parapecie okna wychodzącego na dziedziniec, w ręczce kurczowo ścisnął pluszową zabawkę.

Po kilku godzinach spędzonych w placówce opiekuńczej przyszli rodzice starają się o zgodę na wspólny wyjazd do kraju skąd pochodzą. Ale na tym nie kończy się całe postępowanie. Opiekun Prawny występuje z wnioskiem do Sądu o zezwolenie na okres proadopcynny. W tym czasie sprawa nie jest prowadzona. Przebieg aklimatyzacji kontrolowany jest przez wytypowane w danym kraju specjalne organy, odpowiedzialnik polskich służb społecznych, które przeprowadzają wywiady środowiskowe o aktualnej sytuacji rodziny adoptującej dziecko. Jeżeli wszystko układa się pomyślnie, po zakończeniu procesu proadopcynnego odbywa się rozprawa sądowa, na której adopcję orzeka się merytorycznie. Całe postępowanie, od momentu złożenia wniosku do wyjazdu na stałe, trwa około dwóch lat.

5.

Tomy akt spoczywają na biurku pani sędziny, mimo zawartych w nich tysięcy podań i formularzy, nie są tylko zbiorem bezużytecznych teksta stanowiących jedynie dokumentację załatwionych spraw. Każdy plik zezwoleń, wniosków, podań to wzruszająca historia jakiegoś dziecka, które zyskało dom i bliskich, to opowieść o dwóch młodych ludziach, którzy długo oczekiwali na spełnienie pragnień i w których domu zagodziła radość. O tym, że nie są to tony makulatury przekonano mnie szuflada pełna zdjęć, stanowiąca jakby uzupełnienie dokumentacji.

Sędzia Urszula Bożek od wielu lat zajmuje się problemami związanymi z zagraniczną adopcją. Przez cały ten czas otrzymuje listy, pocztówki i zdjęcia od rodzin, którym porządkowała. Wiele lat po zakończeniu sprawy rodziny piszą o dalszych losach adoptowanych i wraz ze zdjęciami przysyłają ocenzenia lekarskie stwierdzające, że dziecko po długiej kuracji zostało wyleczone z dolegliwości, z którą opuszczało placówkę opiekuńczą. Oglądałam te zdjęcia i muszę przyznać, że z niektórych mogłyby powstać wspinałki fotoreportaży.

Jeden z nich zaczynałby się od zdjęcia 9-letniego rodzeństwa, zdjęcia zrobionego w dzień wyjazdu do Holandii. Smutne i przestraszone dzieci stoją przed chałupą, w której się urodziły. Drugie zdjęcie, to rodzinny portret, na którym są Jacek i Dorotka z rodzicami. Tworzyli dzieci są skupione i nad wiek poważne. Dalszą część historii tej dwójki stanowią fotografie z wakacji i świąt Bożego Narodzenia. Na kolanach przebranego za Mikołaja ojca siedzi roześmiana dziewczynka. Jej brat z mamą i wielkim kudłatym psem pochylają się nad gwiazdkowymi prezentami leżącymi pod choinką.

6.

Odwiedziłam Domy Dziecka w Oruni i Oliwie. Placówki te mają maksymalną ilość pensjonariuszy, ale tylko niewielu z nich odejdzie stąd do czasu osiągnięcia pełnoletności. Dlaczego? Po prostu, wśród nich mało jest dzieci prawnie wolnych. Wyjątkowo trudna jest odpowiedź na pytanie, czy zarzut, iż sądy zbyt mało orzekają pozbawienia praw rodzicielskich, jest słuszny. Tę decyzję podejmuje się jako ostateczność, gdy zanika nadzieja na resocjalizację matki czy ojca pozostających w więzieniu, gdy wiadomo, że rodzice nie potrafią stworzyć prawdziwego domu. Czy jednak ograniczona bądź zawieszona władza rodzicielska w pewnych przypadkach nie jest jedynie półśrodkiem skazującym dziecko na lata oczekiwania na uczucie tych którzy powołali je do życia, kiedy może zostać otoczone miłością ludzi obcych, ludzi którzy podejmą trud wychowania?

Cała ta historia zaczęła się w chwili, gdy sjenitowa płyta stanowiąca okładzinę elewacji — po prostu spadła. Wisiała sobie spokojnie kilka lat — i nagle — ni stąd ni zowąd — po prostu spadła. Rozdzwoniły się telefony, rozstukały się maszyny do pisania. W ten oto sposób rozpoczął się

HOTELOWY PING-PONG

Cofnijmy się jednak pamięcią wstecz. Jest 30 czerwca 1976 r. W hallu hotelu „Centrum” kwiaty, niecodzienni goście i pełna gala. Nic dziwnego, dziś oddaje się do eksploatacji najnowszy łódzki hotel. Hotel — bez mała sztandarowy, doskonale zlokalizowany: w najbliższym sąsiedztwie znajduje się nie tylko dworzec, na który przyjeżdżają z Warszawy zagraniczni goście, ale i większość przedsiębiorstw handlu zagranicznego. Zrozumiała jest zatem rzecz, że taki budynek musi otrzymać piękny wystrój zarówno wewnętrzny jak i zewnętrzny. Dlatego też tym, czym dla kobiety jest puder firmy „Coty” — tym dla hotelu miały być okładziny elewacji wykonane ze sjenitu — minerału przypominającego granit. Jak twierdzą pracownicy Przedsiębiorstwa Turystycznego „Łódź” jest to jedyny budynek

WITOLD WERNER

Jak znaleźć winnego?

w kraju, posiadający tego typu elewację. Najbliższy znajduje się w... Moskwie i jest to gmach RWPG. Powyższe fakty mówią więc same za siebie. Cóż, inne wtedy były czasy, inne spojrzenie na finanse.

Tak więc budynek przekazano do eksploatacji, wprowadzili się pierwsi goście. W niedługim czasie na nieskazitelnej czerni ścian pojawiły się różnobarwne lizaje, zaczynające się zawsze tuż pod płytą. Przyczyniły się do tego komisie, zadzierający wysoko głowy i radzili: może to wypływa nadmiar zalewki? A może to naturalna cecha sjenitu? Nikt nie ma przecież doświadczenia z tego typu materiałem... A najlepiej będzie, jeśli użytkownik przestanie wybrzydzac — dostał przecież taki piękny obiekt — i niech po prostu umyje sobie elewację. Będzie wówczas po sprawie. Budowlani nie mają głowy do takich drobiazgów...

MIAŁY ŁATA

Aż tu 10 listopada 1980 roku około godziny 11 od elewacji odpadła pierwsza płyta i z hukiem rozbiła się o dach. Już w kilka dni później zebrała się komisja, w skład której weszli m. in. przedstawiciel użytkownika — Przedsiębiorstwa Turystycznego „Łódź”, generalnego wykonawcy — Łódzkiego Kombinat Budowlanego „Śródmieście” oraz inwestora zastępczego jakim była Dyrekcja Inwestycji Miejskich nr II. Oczywiście zażądano od wykonawcy bezwzględnego usunięcia usterek. I w tym momencie zaczyna się ów hotelowy ping-pong: gra, w której — jak wiadomo — najważniejsze jest oddanie piłeczki.

Budowlani — z wrodzonym sobie czarem stwierdzili, że oni już właściwie nie do tego nie mają, bo okres rękojmi — który trwa trzy lata — minął właśnie w ubiegłym roku. Jak to? — zdziwili się inwestor — przecież żądaliśmy od was usunięcia wykwitów na elewacji! I to nie kilka dni temu, lecz tuż po odbiorze technicznym, a więc z pewnością w okresie rękojmi! Odpowiedź jednak brzmiała: no to udowodnijcie nam, że wykwyty miały związek z odpadnięciem płyty!

Ruszyła zatem z miejsca biurokratyczna machina. W kilka miesięcy później, przy ping-pongowym stole pojawia się nowy partner. Jest nim projektant, który w piśmie skierowanym do użytkownika stwierdza, że... cała kamienna elewacja w każdej chwili grozi odpadnięciem!!!

SYTUACJA STAŁA SIĘ NIEPRZYJEMNA

Bo z jednej strony interes przedsiębiorstwa i miasta: w Łodzi mamy stały deficyt miejsc hotelowych, wynoszący około 200-160-tek w czasie każdej doby. Zamknięcie hotelu zwiększyłoby tę liczbę o dalszych 400 miejsc. Na to ani miasto, ani przedsiębiorstwo nie może sobie pozwolić. Z drugiej zaś strony — bezpieczeństwo wielu, wielu osób i ryzyko katastrofy budowlanej o

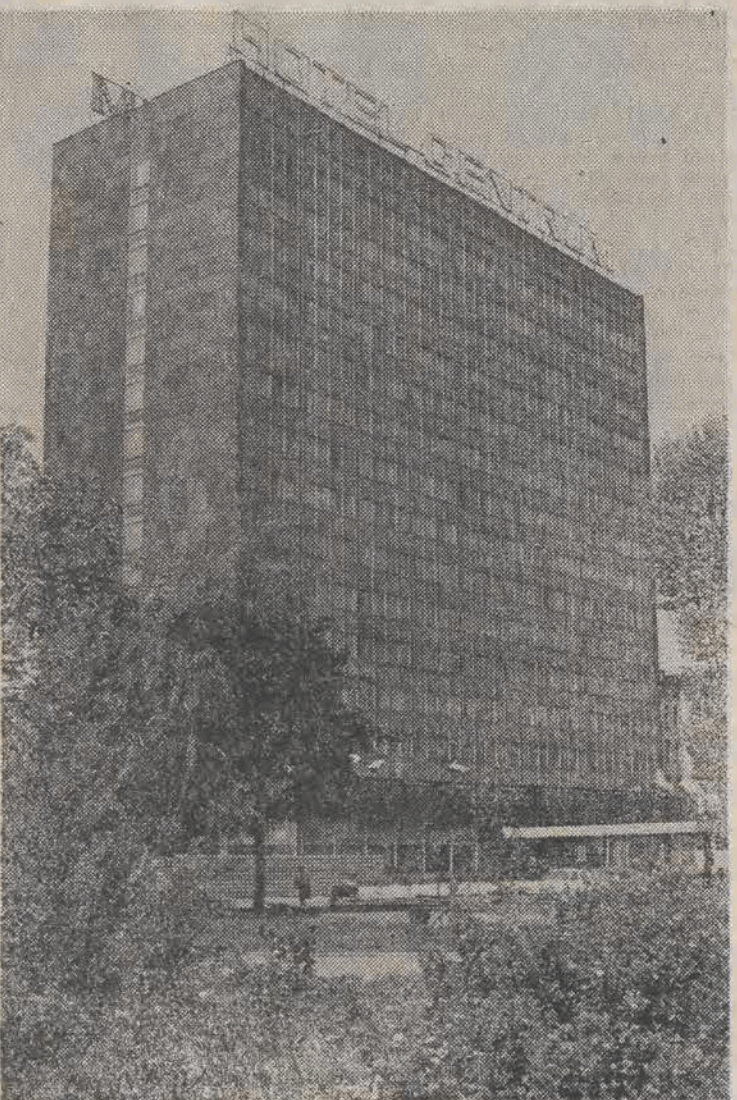


Foto: Grzegorz Gałasiński

nieobliczalnych skutkach. A może nie jest tak źle? Może to tylko strachy na lachy? Pojawiają się więc następni gracze: eksperci z Politechniki Łódzkiej i Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Kombinat Budowlanego „Kombud — Prokam” z Krakowa. Ci pierwsi wykonali dokumentację na różnego rodzaju zabezpieczenia przed spadającymi płytami. Opis techniczny kończą jednak stwierdzeniem, że gdyby nagle oderwały się wszystkie płyty — co wcale nie jest niemożliwe — to i tak święty Boże nie pomoże...

Krakowski „Prokam” podszedł do zagadnienia w sposób naukowo-sportowo-wyczynowy. Zatrudnił bowiem grupę alpinistów, która przy okazji treningu sprawdziła stan zamocowania płyt. Wyniki były zaskakujące dla obu stron: około 50 procent płyt było odspojonych! Co więcej, kilkanaście z nich alpinści wręcz wypychali na swoje miejsce! Od wypadnięcia dzieliły je zaledwie milimetry!!! Wnioski tej ekspertyzy przytaczam w całości:

„Bezpośrednie przyczyny obecnego stanu technicznego to:

- a) niewłaściwy materiał użyty na kotwy oraz niewłaściwy kształt kotew,
- b) nieodpowiednia zalewka,
- c) brak dylatacji poziomej”.

W tym miejscu

POZWOLĘ SOBIE NA DYGRESJĘ

ktoż być może pozwoli Czytelnikowi na zrozumienie dość skomplikowanej sytuacji prawnej uczestniczących w inwestycji przedsiębiorstw. Otóż generalnym wykonawcą całego zadania inwestycyjnego był Łódzki Kombinat Budowlany „Śródmieście”. Za koordynowanie całości robót brał „lekką ręką” kilkuprocentową dopłatę do wszystkich robót. Jako generalny wykonawca mógł zlecić pewne, nietypowe roboty innym wykonawcom. I tak też się stało. Okładziny kamienne wykonywały Szydłowieckie Zakłady Kamienia Budowlanego, natomiast rusztowanie, z którego je ułożono, wypożyczyło Przedsiębiorstwo Gospodarki Maszynami Budownictwa. Żeby sprawa nie była zbyt prosta, inwestorem nie było Przedsiębiorstwo Turystyczne „Łódź”, lecz Dyrekcja Inwestycji Miejskich nr II. I aby obraz był pełny dodam, że w myśl obowiązujących wówczas przepisów, inspektorzy nadzoru (będący na etatach DIM) mieli za zadanie nadzorować inwestycję jedynie od strony finansowej; cały nadzór techniczny pozostawał w rękę wykonawcy i jedynie on ponosił zań odpowiedzialność.

Wróćmy jednak do naszej historii. Nietrudno zgadnąć, że nie można było znaleźć winnego, ani — tym bardziej — chętnego do usunięcia usterek. Nic dziwnego: stawka była gruba miliony.

PO DŁUGICH TARGACH

Szydłowieckie ZKB zgodziły się zdjąć okładzinę, lecz... po pierwsze: nie za darmo (choć udowodniono im, że kotwy, którymi mocowali płyty nie były wykonane ze stali nierdzewnej — jak tego wymagała dokumentacja — lecz ze zwykłej), po drugie: z rusztowania — które im ktoś (kto?) postawi i po trzecie: jedynie z niskiej części budynku. Sprawa dwóch, ponad 40-metrowej wysokości ścian nadal pozostała otwarta.

Tymczasem w marcu 1986 r. PT „Łódź” otrzymało decyzję, w której nakazuje się:

- 1) całkowite wyłączenie z użytkowania pomieszczeń objętych w całości lub w części strefą zagrożenia upadkiem płyt (np. sala konsumpcyjna, kawiarnia, sala bankietowa, pomieszczenia obróbki i przygotowania potraw, itp.),
- 2) wykonanie zabezpieczenia stropodachu części niskiej i zjazdu do pomieszczeń gospodarczych w poziomie piwnic oraz otoczenia wokół budynku,
- 3) zdjęcie wszystkich płyt okładzinowych z całej powierzchni elewacji,
- 4) opracowanie ekspertyzy stanu technicznego odsłoniętych części ścian szczytowych.

W uzasadnieniu decyzji czytamy m. in.:

„Dalsza zwłoka w zdjęciu płyt może spowodować katastrofę budowlaną o trudnych do przewidzenia skutkach, w związku z czym niezbędne jest całkowite i natychmiastowe wyłączenie z użytkowania najbardziej zagrożonej części parterowej budynku.

W kwietniu 1986 r. postanowiono jeszcze raz zbadać stan okładzin. Jako jedną z tańszych i najbardziej miarodajnych metod wybrano metodę termowizyjną. Z grubsza — polega ona na bardzo dokładnym zmierzeniu temperatury poszczególnych płyt. W ten sposób można określić, jak gruba warstwa powietrza znajduje się między ścianą a okładziną. Przedsięwzięcia tego podjął się Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Instalacji Sanitarnych i Gazowych z Radomia. Potrzebował do tego celu m. in. podnośnik z koszem — taki, jakiego używają brygady wymieniające żarówki w ulicznych latarniach. Podnośnik zgodził się wypożyczyć Zakład Energetyczny Łódź — Miasto, tym bardziej, że pomiary i tak byłyby wykonywane nocą. Załadali jednak 100 l paliwa — wiadomo, jak bardzo napięte są bilanse paliwowe we wszystkich przedsiębiorstwach. Ponieważ PT „Łódź” również nie posiadało paliwa w nadmiarze, a i sprawa była poważna, wystąpiło więc do Urzędu Miasta Łodzi o przydział owych 100 litrów oleju napędowego. Pomimo poparcia urzędu — CPN... odmówił wydania paliwa!!! Zła wola — czy brak wyobraźni?

CAŁA TA SPRAWA

nie ma jeszcze zakończenia. Nie mnie rozstrzygać, kto zwinął; robi to Państwowy Arbitraż Gospodarczy. Fakt pozostaje faktem: w samym sercu miasta stoi budynek, z którego w każdej chwili może posypać się deszcz kamiennych płyt o masie ponad 80 kg każda. I choć nie istnieje bezpośrednio niebezpieczeństwo dla przechodniów, to odpadnięcie okładziny elewacji z pewnością nie pozostanie bez znaczenia dla samego budynku. Faktem jest także, że na placu boju pozostało jedynie Przedsiębiorstwo Turystyczne „Łódź”, które być może będzie musiało zapłacić około 50 mln zł — a więc tyle, ile mniej więcej wynosi jego roczny zysk — za czyjeś niedbalstwo czy niedopatrzenie.

Osobnym zagadnieniem jest także sam hotel: czy po ademonstowaniu płyty wróci na swoje dawne miejsce, czy też todzianie będą musieli przyzwyczajać się do nowego wyglądu budynku?

Będziemy z uwagą śledzić dalszy ciąg tej historii. Z niecierpliwością oczekujemy, komu w końcu nie uda się odbić piłeczki w tym hotelowym ping-pongu...

P.S. Znaleźli się wreszcie wykonawcy, którzy są skłonni zdjąć okładzinę elewacji. Są nimi alpinści ze Spółdzielni Rzemieślniczej w Fabianicach.

Wózek

Stary wózek
którego szkielet
pamięta ciepłe ciało dziecka
którego ramiona
tuliły mu jak skrzydła
chroniące przed burzą
stół smutny
chyba umrze
kocha go stary jaśmin
gdzieś mu biały kwiat

☆☆☆

Godzina spotkań
to czas dzielony na dwoje
Godzina spotkań
ukradzioną z zegara
którego wskazówki
zatrzaskują się między
czasem gotowania
obiadu
a gwiazdą spadającą
zbyt szybko
by pozwolić jej
rozstrząsać się na progu domu.

☆☆☆

Żyję trzy razy
w tobie
w twoim dziecku
i swoim istnieniu
Jestem jak kalejdoskop
złożony z trzech instancji
Wasze odbicia
tworzą witraż domu.
Żyję trzy razy
ty, ja i nasze
dziecko.

Stawomir L. Wysocki

mój dzień

mój dzień
zaczyna się światłem
w judaszach na strychu

mój dzień
wypełnia tanie inwalidzkiej
laski
i stuk
rozgadanych czołonek
na milczącym papierze

mój dzień
jest nadzieją
że napiszę wiersz o tych
którzy nie muszą wspierać się
na kawałku wygiętego drewna
i idą przez życie
z godnością

mój dzień
gaśnie
gdy ciskam w ogień
zmieci kule
na których pokreśliłem
myśli nieokreślone

i wtedy przeklinam
mą chorobę
poezję
i błogosławieństwo
jej istnienie

A.O.

po lewej młody bóg
z gnijącymi stopami
oblanymi grynspanową krwią

dalej człowiek
jeszcze posagowo spojrzenie
które porazi błysk skalpela

mędrzec pobruźdony
z prawej
mądrością innych
skręcony o połowę

za nim
arteriograficzny strzęp
jękami piano
wita sprawiedliwą

pusty wózek przy drzwiach
na stojaku heparyna
ścieka
ti ti ti

białe biel najbliższa
życie odchodzi w ożeró
wastygła
na granicy drugiej prawdy

N owo ukazujące się
książki Wydawnictwa
Łódzkiego obejmują
coraz to szersze
krytyki tematyczne
i rozszerzają wa-
chlarz prezentowanych autorów.
Przykładem tego jest najnowsza
— oczekiwana z dużym za-
interesowaniem — seria „Człowiek
i jego cywilizacja”, w której
ukazały się dotychczas prace
Claude'a Levi-Straussa i
Waltera Ullmana. Już wcześniej,
bez znaku wspólnej serii, ale
zawsze ze słowem „historia” w
tytule, poczęły się ukazywać
prace poświęcone szeroko po-
jętej problematyce history-

W skład tej części wchodzi
również dwie rozprawy nie
mające charakteru biograficz-
nego, a zawierające syntetyczne
rozważania dotyczące spornych
problemów rozwoju polskiej
myśli ekonomicznej. W omawia-
nych szkicach, jak i w innych
swych pracach J. Górski w spo-
sób wyraźny i udokumentowany
wykazuje znaczną samodzielność
i oryginalność rozumowania
wczesnych twórców polskiej
myśli ekonomicznej. Autor ukazuje
w wielowymiarowy sposób
proces kształtowania się tych
poglądów, co stanowi istotny
wkład do poznania tradycji pol-
skiej kultury ekonomicznej.

W tym zakresie może uchodzić
pochodzący z małego miasteczka
na Morawach w dawnej mo-
narchii austro-węgierskiej —
Józef Schumpeter, który pod
wpływem głębokich studiów
nad Marksem, stworzył własną
wizję procesu rozwoju gospodar-
czego „napędzanego” innowa-
cjami wprowadzanymi przez
dynamicznych przedsiębiorców.
Jednakże Schumpeter nie był
w stanie uzupełnić tej wizji
odpowiednią teorią. Poza tym
kiedy jego wizja badawcza co-
raz to bardziej wypełniała się
zwyryfikowaną treścią, w ekono-
mii burżuazyjnej nastał czas
„rewolucji keynesowskiej” i te-
oria Schumpetera została usu-
nięta w cień, aby rozpocząć
swoją nową żywot w latach
ślesiedziestych, kiedy teorię
Keynesa uznano za nierealistycz-
ną. Odpowiedź na pytanie o
stanie i kondycję obecnej ekono-
mii zachodniej próbuje dać
autor w eseju pod zmienionym
tytułem „Czy nowy kryzys
współczesnej ekonomii burżu-
azyjnej?”

Szeroki wachlarz problemów
i wielowartośćowe rozważa-
nia znajdują się w przedstawia-
nej książce nie poddają się łat-
wemu streszczeniu. Natomiast
pozwalają Czytelnikowi na do-
konanie swobodnego wyboru
zgodnego z jego zainteresowa-
niami, co należy również za-
liczyć do następnych pożytków
płynących z przeczytania i prze-
myślenia tej książki.

Na zakończenie jeszcze kilka
słów o autorze tej interesującej
publikacji. Prof. Janusz Górski
— uznany autorytet wśród pol-
skich historyków myśli ekono-
micznej — już ponad 20 lat
związany jest różnorodnymi
wzmacniającymi i kondycją ekono-
mii naukowymi. Należy przypomnieć,
że przez kilka lat piastował go-
dność rektora Uniwersytetu
Łódzkiego oraz że wypracował
całe pokolenie łódzkiej nauko-
wej kadry ekonomicznej.

STANISŁAW MIKOSIK

Janusz Górski, *Z historii myśli
ekonomicznej. Studia i materiały*,
Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986,
s. 314 wraz z indeksem nazwisk
opracowanym przez Zofię Józefo-
wicę.

Pożytki z historii myśli ekonomicznej

cznej, autorstwa Jerzego To-
polskiego czy Andrzeja Feliksa
Grabskiego. Ten nurt rozważań
oraz to znakomite grono autor-
skie zostało ostatnio wzbogacone
zbiorem studiów i szkiców
Janusza Górskiego, pod wspólnym
tytułem — „Z historii my-
śli ekonomicznej”. Książka o-
bejmuje wybrane studia i eseje
dotyczące polskiej i powszechnej
myśli ekonomicznej, powstałe
na przestrzeni lat 1956—1981.

Część pierwszą dotyczącą pol-
skiej myśli ekonomicznej, o-
twiera rozprawa ukazująca do-
robek Mikołaja Kopernika, któ-
rego osiągnięcia w nauce ekono-
micznej do dziś dnia są aktu-
alne; jak np. jego prawo o wy-
pierzaniu pieniądza lepszego
przez gorszy. Sława Kopernika
astronoma przyniósł mu i jego
zasługi jako ekonomisty. I
dlatego ich przypomnienie umo-
żliwia uzupełnienie całości obra-
zu sylwetki tego wszechstron-
nego człowieka polskiego Odro-
dzenia.

Następnie został przedstawio-
ny wkład w rozwój piśmiennic-
twa ekonomicznego wniesiony
przez Józefa Wybickiego — zna-
nego bardziej jako autora hymnu
Legionów, późniejszego hymnu
narodowego, niż z rozważań
o czynnikach sprawczych roz-
woju gospodarczego. Ponadto w
odrębnych esejach scharaktery-
zowano poglądy ekonomiczne:
Stanisława Staszica, Wojciecha
Gutkowskiego — pierwszego
polskiego socjalisty utopijnego,
oraz Henryka Kamińskiego i
jego „Filozofię ekonomii mate-
rialnej”.

Kultura ekonomiczna spo-
łeczeństwa nie jest bowiem ty-
m samym, co kultura polityczna,
która jest ciągiem całych wieków
i jest owocem doświadczenia
społecznego narastającego przez
pokolenia. Często można spot-
kać się z poglądem, że niski
poziom świadomości ekonomicz-
nej naszego społeczeństwa wy-
nika z braku tradycji przejętej
od przodków. J. Górski prze-
konująco obala ten pogląd i
daje wiele przykładów isto-
tych i twórczych wkładów Po-
laków do ogólnej skarbnicy wi-
edzy ekonomicznej. Należy jed-
nak pamiętać, że na świadomo-
ść ekonomiczną społeczeń-
stwa oddziaływały nie tylko do-
robek nauki, lecz także prakty-
ka działania gospodarczego.
Wiemy z doświadczenia, że teo-
ria może dość daleko odbiegać
od praktyki. Polska myśl ekono-
miczna miała znaczne osią-
gnięcia, ale nie zawsze przeni-
kały one do praktyki i stawały
się nawykami w codziennym
gospodarowaniu. Uświadomienie
tego faktu i pobudzenie do re-
fleksji nad aktualnością tej
sprawy stanowi jeden z poży-
tków płynących z lektury części
pierwszej.

Czytelnik części drugiej, obej-
mującej zagadnienia powszech-
nej myśli ekonomicznej, może
zapoznać się m.in. z ciekawymi
losami koncepcji i teorii, któ-
rych twórcy nie doczekali się
pełnego uznania lub pozostali
w cieniu innych. Potwierdzeniem
tego faktu jest przebieg rece-
pcji poglądów Michała Tuhan-
a-Baranowskiego i Józefa Schum-
petera, którzy należeli do pierw-
szych ekonomistów burżuazyj-
nych wprowadzających naukę
Marksa do ekonomii niemark-
sistowskiej. Pozwoliło im to z
jednej strony na stworzenie no-
watorskich i nieortodoksyjnych
konceptów, lecz z drugiej strony
ich idee nie zostały od razu
przez ekonomię burżuazyjną do-
cenione i zrozumiane.

STANISŁAW MIKOSIK

Janusz Górski, *Z historii myśli
ekonomicznej. Studia i materiały*,
Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986,
s. 314 wraz z indeksem nazwisk
opracowanym przez Zofię Józefo-
wicę.

Poezja brzydoty

„Biblioteka Poetycka” Wyda-
wnictwa Łódzkiego wzbogaciła
nas o nowy tomik poezji. Jest
nim Józefa Andrzeja Grocho-
winy MIMOSRÓD. Po przeczy-
taniu 27 zamieszczonych tam
utworów nasunęło się pytanie:
Za jakie wartości czuje się od-
powiedzialny ich autor, co ma
do ofiarowania tym, którzy we-
zmą tomik do ręki? Lektura
wierszy nie była ani łatwa, ani
przyjemna, a skomplikowany
sposób obrazowania przypomni-
ał pełne niespodzianek wędrow-
ki po wertepach. Tę oryginal-
ność formy wykorzystywał Gro-
chowina do przekazu postaw
nieuprządkowanych, chaosu i
bezsensu, który, według niego,
panuje powszechnie na świecie,
gdzie wszystko jest nie na swo-
im miejscu i niezgodnie z prze-
znaczeniem: „koszule w mali-
nach”, „miłość w kuble na
śmieci”. Zdaje się, że nie daje
on sobie rady z tym bałaganem,
skoro stwierdza gorzko:

„jak to się stało
że Ziemia przypomina kupe
gnoju w której
toną już dwuletnie dzieci
spychane opiekunką
dłonią ze ścian
dziesięciu przykazań”

Faktycznie jak to się stało?
A jak to się stało, że zamor-
dowano Sokratesa? Chyba nie
tyle zmienił się świat, ile my
niewiele o nim naprawdę wie-
my. Niepokoję egzystencjalne
Grochowiny to nie nowe zjawis-
ko we współczesnej poezji. Nie
wnosi on wiele nowego poza
niespodziewaną metaforą pełną
dysonansów, zgrzytów, iscie-
dadaistycznych skojarzeń. My-
śli jego gnają jakby na ślepo

„Wyskocz przez
okno rzeczy ułożą się same”.

Wiersze wyrażają więc w pierw-
szym rzędzie bunt przeciwko
normalnemu, przeciętnemu ży-
ciu oraz nieustanny niepokój:

„nie ma we mnie średniego
spokoju...
więc jestem sam — i nigdy
nie pójde
za furą normalnego życia
za górą zaprzętą w
roboczego walcu”

Wypowiadając postulatystwo
szarej codzienności jest jedno-
cześnie tragicznie samotny:

„jak bardzo jesteś sam
wie tylko guzik
od twojego płaszcza”

Niezadowolony poety z faktu,
że na świecie nie króluje do-

bro, przeradza się w tęsknotę
do przejawów jakiegokolwiek
życiowości. Chce o niej pisać.
Brak jej paraliżuje go jako
człowieka. Gdzie okiem sięgnąć,
wszędzie panoszy się obłuda i
fałsz. W drastycznych, mocno
nakreślonych i chyba dziwacz-
nych obrazach (np. „dlaczego
przemoc, nędza i krzywdy jak-
że często drażnią nasze narzą-
dy seksualne”), wyraża gorzko-
ść i oburzenie z powodu zaniku
wszelkiej moralności. W jednym
z wierszy ze zdziwieniem pyta:

„jak to się stało
że Ziemia przypomina kupe
gnoju w której
toną już dwuletnie dzieci
spychane opiekunką
dłonią ze ścian
dziesięciu przykazań”

Faktycznie jak to się stało?
A jak to się stało, że zamor-
dowano Sokratesa? Chyba nie
tyle zmienił się świat, ile my
niewiele o nim naprawdę wie-
my. Niepokoję egzystencjalne
Grochowiny to nie nowe zjawis-
ko we współczesnej poezji. Nie
wnosi on wiele nowego poza
niespodziewaną metaforą pełną
dysonansów, zgrzytów, iscie-
dadaistycznych skojarzeń. My-
śli jego gnają jakby na ślepo

przed siebie:
„orzechowe łódki
unoszą ich (artystów Z.K.)
jak im się adaje Wisłą
Alkohol
do kanału La Manche i dalej
Morza Śródziemnego basen
dlaczego nie basen
w jednym z polskich szpitali
lub przytułków”

Nie może pisać o dobroci, sko-
ro panują „barbarzyństwo i a-
sytizm”, W każdym więc pra-

wie jego utworze dominuje cy-
nizm, negacja, pesymizm, ża-
łosna złośliwość, odwrócenie się
od praw kierujących życiem
ludzkim, obyczajów i dotych-
czas uznanych wartości. Pyta-
nie: czemu służy bunt, wyraża-
ny różnorodnymi sposobami tak
w formie jak i treści, pozosta-
je bez odpowiedzi. Staje się on
sztuką dla sztuki, prowadzi do-
nikąd. Życie rejestrowane przez
autora „Mimosrodu” sięga
swoim poziomem nihilizmu, a
jego świat jest kaleki, robaczy-
wy, zgnyły. Tworzy on go ta-
kim i brzydki się nim. Zdziwila
zaskakująca rozgrywką metafo-
ryczną niezwykle ruchliwą wy-
obraźnią, dziwacznymi zestawie-
niami, np.: „świnia niebieska
chora na różę”.

Nie można odmówić Grocho-
winie umiejętności wiązania ze
sobą najbardziej niesamowitych
obrazów oraz odwagi w snuciu
brutalnych, wręcz brzydkich wi-
zji, ale także nie można nie wi-
dzieć niezwyklej bogactwa ję-
zyka. Potrafi on zdobyć się
również na piękno, prostotę,
świeżość spojrzenia.

Za najciekawszy wiersz, choć
trudny w odbiorze, uważam
„Witraż”. Ołów jest elementem
witraża, ołowiem uśmierca się
ludzi i kaczki. Hyperbolicznym
lukrem łączy poeta witraż ze
światem żywym, a jednocześnie
sacrum z profanum. Pogmat-
wane zaś stany psychiczne bo-
hatera lirycznego przekazuje
nie tylko poprzez oryginalny do-
bór słów, ale także niezwykle
chaotyczny ich układ.

Józef Andrzej Grochowina
jest niewątpliwie poetą o du-
żych możliwościach, ale odno-
szą wrażenie, że nie wypracował
jeszcze w pełni własnego
stylu i nie oderwał się od po-
staw typowo debiutanckich.

ZOFIA
KOZŁOWSKA

Józef Andrzej Grochowina,
Mimosród, Wydawnictwo Łódz-
kie, Łódź 1985, s. 62, „Bibli-
oteka Poetycka”.

Z półki recenzenta

DOPÓKI ŻYJESZ

Jerzy Gałuszka napisał interesującą książkę,
i nie tylko ze względu na jej wartość akcję
umiejscowioną w czasach nam tak bliskich i
do tego niezwykle ważnych i dramatycznych,
ale po prostu dlatego, iż znakomicie przedsta-
wił popłatane losy dwóch głównych postaci,
którzy są bohaterami powieści. Akcja toczy się
w momencie przełomowym, tuż po wprowa-
dzeniu stanu wojennego, kiedy to w jednej z
kopalin węgla kamiennego grupa górników po-
stanawia nie wyjeżdżać na wierzch. Tak więc
sytuacja jest więcej niż dramatyczna, bo ci na
dole żądają spełnienia przygotowanych przez
siebie postulatów, natomiast ci na górze tych
żądań spełnić nie mogą. Pikanterii, a jedno-
cześnie niezwykłości całej sprawie nadaje fakt,
iż dwaj ludzie — jeden tam na dole, drugi tu
na górze — okazują się dawnymi znajomymi,
których, jak to bywa w polskich losach, poro-
żniło niegdyś życie. Kochali jedną dziewczynę,
jeden był partyzantem, drugi się został wciel-
ony do armii niemieckiej, obaj mają za sobą
pogmatwane drogi, które teraz doprowadzają
ich do tego właśnie miejsca. Partyzant jest
przewodcą strajkujących górników, ten drugi
jest lekarzem wojskowym. W młodości nie mo-
gli znaleźć wspólnego języka, nie potrafili się
do siebie zbliżyć, czy uda się im to teraz?
Kiedy dzielą ich jeszcze więcej niż w tamtych
latach? Ale o tym czytelnik może dowiedzieć
się z książki.

Jerzy Gałuszka dobrze wyważył racje obu
bohaterów: nie zdyskredytował przywódcy straj-
kujących górników, ani nie uczynił z lekarza
nosiciela agitacyjnych deklaracji. Dlatego
książkę czyta się z zainteresowaniem, a jej
treść przekonuje.

Jerzy Gałuszka: *Dopóki żyjesz*. WL 1986.
Str. 196. Cena 100 zł.

PRZED I PO MAJU

Oczywiście chodzi o maj 1926 roku. Marian
Romejko — oficer, świadek tamtych wyda-
rzeń — ze skupiającą historią kreśli tło
polityczno-społeczne zamachu, który zapoczą-
tkował nowy, niechlubny rozdział w historii
Polski międzywojennej (Brześć, Berezę Kartu-
ska, pacyfikacja wsi, tłumienie zrywów prole-
tariatu). Zresztą, co niedowzmacznie wypływa
z lektury, autor sugeruje, że wydarzenia ma-
jowe legły u podstaw klęski wrześniowej 1939
roku, klęski militarnej i politycznej.

Książka „Przed i po maju” mimo iż jest
należadawana datami, faktami, nazwiskami, zo-
stała napisana językiem wartkim i prostym, o-
kraszoną anegdotą, co jeszcze podnosi jej
walor czytelniczy.

Marian Romejko: *Przed i po maju*. MON
1986. Str. 636. Cena 400 zł.

SALAMANDRA

Tę książkę polecam szczególnie, bowiem jest
to opowieść o tym, jak człowiek dotknięty ka-
lectwem może pokonać nie tylko swoją cho-
robę, ale przede wszystkim siebie samego w
walce o miejsce „po tej stronie życia”. Elżbieta
Anna Lubińska napisała ją z autopsji, bowiem
od dzieciństwa walczyła ze swoją chorobą, któ-
ra w ostateczności przykula ją do wózka in-
walidzkiego. Lecz najpiękniejsze w tej opo-
wieści są te fragmenty, które mówią nie o
rezygnacji, ale o życiu wśród innych, o zna-
leźniu własnego miejsca, o przystosowaniu się
do otoczenia i do otaczającej rzeczywistości.

Elżbieta Anna Lubińska: *Salamandra*. WL
1986. Str. 280. Cena 190 zł.

NA KOGO KOLEJ?

Otrzymałmśmy interesującą opowieść Luigi Pi-
randellogo noszącą tytuł „Na kogo kolej?”. W
skrócie: jest to rzecz o miłości, powiedziałabym
o typowym klasycznym układzie, gdzie młoda
kobieta zostaje wydana za mąż za starego męż-
czyznę, który — według obliczeń i nadziei ro-
dziny panny młodej — nie powinien zbyt dłu-
go żyć, a umierając zostawi młodej wdowie
wielki majątek. I jak to bywa w tego rodzaju
sytuacjach, starzec okazuje się nie tylko być
długowieczny, ale piekielnie przewrotny i zło-
śliwy. Dodajmy do tego, że rzecz została na-
pisana z niezwykłym talentem, z ogromnym
poczuciem humoru, z tempem, które nie po-
zwala na odłożenie książki bodaj na chwilę.

Przełożył Stanisław Kasprzysiak.

Luigi Pirandello: *Na kogo kolej?* WL 1986.
Str. 152. Cena 160 zł.

RYBY SERGIO FERNANDEZA

W serii „Proza iberamerykańska” ukazała
się ciekawa powieść meksykańskiego autora
Sergio Fernandez pt. „Ryby”. W skrócie jest
to opowieść o tym, jak pewna kobieta mie-
szkająca w Rzymie pragnie opętać swoim ero-
tycznym kapłanem. A więc nawet jak na nasze
przyzwyczajenia rzecz dość niezwykła, a chwi-
łami budząca w ludziach głęboko wierzących
nawet sprzeciw. A sam tytuł? Ryba — to
znak używany przez pierwszych chrześcijan ja-
ko symbol Chrystusa, ryba — to symbol mi-
łości. W tej powieści ryba, to tłumiona na-
miętność, która nie może zakryć pełnym
głosem, nie może nigdy być spełniona.

Przekład Andrzej Nowaka.

Sergio Fernandez: *Ryby*. WL 1986. Str. 142.
Cena 150 zł.

E. IW.

Na progu życia w sztuce

Tegoroczny IV Ogólnopolski Przegląd Spektakli Dyplomowych Szkół Teatralnych ma być za sobą. Warto było, jak sądzić, śledzić go z uwagą i to nie tylko dlatego, aby sprawdzić poziom aktorskiego rzemiosła, z jakim absolwenci szkół teatralnych wkraczają w dojrzałe życie w teatrze. Pojawiało się bowiem przy okazji przeglądu parę problemów istotnych i znamienitych. Podczas tego festiwalowego tygodnia mieliśmy do czynienia z przedstawieniami bardzo różnorodnymi.

Abstrahując od ich wartości artystycznych i sprawności wykonania, a skupiając się na celu, dla którego zostały przygotowane, tzn. na zamierzeniach pedagogów i reżyserów (w wypadku każdego ze spektakli dość oczywistych) podzielić je można na dwa rodzaje. — przedstawienia zrealizowane przede wszystkim z myślą o pokazaniu możliwości warsztatowych młodych ludzi pretendujących do miana aktora i przedstawienia będące spektaklami dojrzałymi z przemyślaną koncepcją reżyserską, w których absolwenci spełniają funkcje już nie przedmiotu reklamy, ale jednego z ogniw całości scenicznego świata.

Nie chcę dyskryminować żadnego z tych dwóch sposobów realizacji przedstawień dyplomowych. Oba mogą dać efekty interesujące, pod warunkiem, że w pierwszym przypadku nie będzie to tanie porywactwo, a w drugim aktryzacja, z której wynika wprawdzie reżyserska, zdołająca się na niezbędną pokorę i, co oczywiste, spektakl będzie dziełem reżysera-pedagoga dużej miary. Ale tego życzyć by sobie należało w obydwu wypadkach.

NADMIAR SZTUBACKIEJ KOKIETERII

to to czym przede wszystkim oszołomiło nas przedstawienie „Wieczoru Trzech Króli” przygotowane przez Halinę Gryglaszkę z uczniami krakowskiej szkoły. Pomyślane zostało jako zabawa z włączającymi się granicami między sceną i widowiskiem, przy pełnej spontaniczności aktorów, wymyślających na poczekaniu dowcipy i aluzje i usilnie starających się robić wrażenie rozbrajanej hasty, stylem gry naśladowując komedię dell'arte. Słowem jedno wielkie szaleństwo, ale niestety nie było w nim metody i stąd nie w zabawie uczestniczyliśmy, ale w beznadziejnej i chaotycznej, niegdyś szybkie tempo akcji jeszcze to wrażenie zamętu potęgowało. Aktoży, którym jeszcze wiele do profesjonalizmu brakuje, zagubili się kompletnie i ograniczyli do płaskiej blazony i karykatury. To nachalne epatowanie młodocia czy raczej sztubactwem

wypadło fatalnie. I raz jeszcze potwierdziła się, dziś już ponoć mało odkrywcza, paradoksalna prawda, że spontaniczność w teatrze musi być rzetelnie i drobiazgowo przygotowana.

SZKOLNA POPRAWNOŚĆ W WARSZAWSKIM WYDANIU

Mowa o dwóch dyplomach warszawskich — „Ich czworo” w reż. Andrzeja Łapickiego i „Przy stole” wg „Wesela” Antoniego Czechowa, „pracy” studentów roku dyplomowego Wydz. Aktorskiego pod kierunkiem Mał. Komorowskiej (cytat z programu).

Oba te przedstawienia mieszczą się dokładnie w opisanym wcześniej typie przedstawień „pokazowych”, właściwie nie tyle spektakli, co po prostu uczniowskich egzaminów składanych przed komisją. Już sam wybór tekstu Zapołskiej, z którego dziś chyba niemożliwe jest zrobienie przedstawienia „o czymś”, wystarczająco dosadnie sugeruje potraktowanie go wyłącznie jako dobrego materiału dla aktorskiego popisu. Tego wrażenia nie zmienił nawet interesujący pomysł na rolę Mandragory (zwykle pomijanej przy realizacjach scenicznych), nie tyle młodopolskiej „syntezy ludzkich dusz” co komentarza i przewodnika z ironicznym dystansem, słowami didaskaliów objaśniającego typy i akcje. Pozory życia zyskiwał ten spektakl wyłącznie dzięki spójności i wyeksponowaniu sytuacji komicznych dobranej z talentem i zmysłem. Wyszliśmy o jednym tylko przekonaniu — oglądaliśmy dość sprawnych aktorów i pobawiliśmy się nieco. Tak, Zapołska wydaje się bardzo zabawną.

„Przy stole” było następnym materiałem popisowym. Jednoaktówka Czechowa opracowana przez Mał. Komorowską dowcipnie i efektownie miała tę jedną podstawową wadę, że stawiała aktorem zadania wyjątkowo proste, by nie rzec prostackie, zadania z którymi z powodzeniem uporać się może student drugiego roku. Był to nie spektakl, a szereg niewymyślnych, acz zabawnych (znowu!) etud aktorskich. Połączenie tych indywidualnych „produkcji” w całość widać nastręczało czasem kłopoty, bo po silnym zastrzyku dowcipu następowała jakaś pustka, grube szwy pekały, a zaróżniona smiechem widownia szukała motywacji dla tego oklapięcia, ale za chwilę znów wszystko scalała piorunująca dawka komizmu.

Warszawskie przedstawienie udowodniło, że polski teatr wzbogacił się o paru zdolnych aktorów komediowych. Takie zaszufladkowanie już na początku kariery?

OPOWIEŚCI NA TEMATY POWAŻNE I KILKA SPRAW NA MARGINESIE

Skończmy tymczasem z komedią i zwróćmy uwagę na dwa spektakle przygotowane przez Eugeniusza Koriną, „Czerwony kogut leci wprost do nieba” wg prozy M. Bułatowa w wykonaniu studentów wrocławskich i „Ballad o Ostatnich” wg Gorkiego, Łódzkiego Wydziału Aktorskiego. O „Balladach...” w swoim czasie pisałam, dlatego mówić będę przede wszystkim o przedstawieniu wrocławskim. Bardzo dobra adaptacja Koriną, oryginalna i z rozmachem potraktowana scenografia Pawła Ogińskiego, swoim bogactwem i soczystością przypominała nieco staropolskie realizacje Dejmkę, chorwackie melodramaty Koriną prowadząca aktora wzdłuż ścieżki wytyczonej drogi i wreszcie aktoży z wiarą w sens tego, co robią i pełnym zaufaniem do reżysera. To nie są puste słowa ani zła kulis wydobytą wieść, że ufnosć czuje się oglądając spektakl. To samo zresztą pisałam kiedyś o „Balladach o Ostatnich” przez inny przebieg zespołu przygotowanych. Tak jest już, widać, charyzmą obdarzony sam reżyser. Ale wróćmy do „Czerwonego koguta...”

Wszystkie wymienione przeze mnie elementy przedstawienia składają się na grand spectacle o wielkiej poezji i sile jakiejś magicznej. Urok złych namietności rodem z ciemnego ziemskiego bytowania i światła marzeń i pragnień. Jeden w ostrym żółtym i czerwonym świetle, drugi w błękitno-księżycowej ciemności i ciszy, i znów ten pierwszy brutalnie triumfujący. Trochę to może brzmieć banalnie, tak samo banalnie jak każde tłumaczenie poezji. W tym wszystkim aktoży ze ściśle określonymi zadaniami, zadaniami mierzonymi na siły każdego z nich. I tu mógłby ktoś postawić zarzut — owszem jest to sukces reżysera, ale czy aktorów? Ci młodzi ludzie są trzymani w tak ściśle określonych ramach, że trudno powiedzieć coś o ich rzeczywistych możliwościach.

A następnie przedstawienie tego zespołu „Księżniczka Turandot” ujawniło dość duże braki warsztatowe aktorów. To nie ja mówię, to hipotezytęzmy myślowy przeze mnie oponent. Dla mnie „Czerwony kogut...” jest sukcesem wspólnym. Sukcesem współpracy reżysera z aktorami, którzy wykreślili z siebie własnych celów i aktorów umiających poruszać się w granicach swych wyznaczonych i opanowujących naturalną (w tym wieku i w tym zawodzie) skłonność do popisu. Zgadzałam się natomiast co do „Księżniczki Turandot”, w tym przedstawieniu aktoży puszczeni na trochę zbyt szerokie wody improwizacji częstokroć mocno przeszarżowywali, nie znajdując oparcia w słabo nakreślonych

ramach koncepcji reżyserskich. Ale to zarzut wobec niesamodzielności wrocławskich aktorów, nie wobec spektaklu Koriną.

W artykule „Zdolni dwudziestolenni” (Express Ilustrowany z 17 kwietnia) pani Maria M. Poulain oznajmia kategorycznie: „...najsłabiej wypadli studenci z Wrocławia”. Dziwi mnie niepomnie taka arbitralność sądów wydawanych w czasie trwania przeglądu, dziwi mnie jeszcze bardziej zdanie następne, z omawianym przedstawieniem nie chyba nie mające wspólnego — „tracił („Czerwony kogut”) oczywiście pretensjonalnością i mocno nieświeżym zapachem studenckiej awangardy lat siedemdziesiątych”. Zdać mi się, że jeśli już cokolwiek na tym przeglądzie „traciło zapachem studenckiej awangardy” to było to krakowskie przedstawienie „Niewiarygodnych przygód Koziołka Matołka”, spektaklu tyleż urokliwego co pozornie buntowniczego, z wdziękiem kpiarskiego i nie budzącego nie poza kpnię i trochę gorzką kontestacją. A zatem pani Maria M. Poulain doszukuje się, jak sądzić, analogii nie istniejących.

A skoro już wspomniałam o „Marli i Woyzecku”, to może i o tym spektaklu słów kilka. Odebrał już zasłużone laury na festiwalu w Ales i obok obydwu realizacji Koriną jest następnym z serii świetnych reżysersko spektakli. A z aktorami Łódzkimi dzieje się tu rzeczy podobne jak w wypadku Wrocławian. Pierwszą część przedstawienia jakby posiekano na epizody, mocno zagęszczoną, trzymając aktorów w karchach działań. W drugiej części reżyser dając im dłuższe partie tekstu, monologii, zwalniając tempo, zwiększa jednocześnie reżysersko swobody. I tu ujawnia się beznadziejność aktorów, są niepewni, wahający się, poróżnieni, fałszywie nuty (może z jednym wyjątkiem — naprawdę dobrej roli Woyzecka). Całemu spektaklowi nie wychodzi to na dobre, bo zariera się interesujący pomysł przeniesienia ciężaru przedstawienia na osobę Marli. Łódzka Maria nie potrafi wyżyć zdecydowanie na pozycję dominującą.

PARĘ UWAG KOŃCOWYCH

W tym roku przegląd wypadł dość słabo pod względem organizacyjnym. Zabrakło jakiejś imprezy towarzyszącej, która by monotonię tego teatralnego maratonu ożywiła, uwzględniła element dyskusji, wymiany wrażeń, zaangażowała aktorów i widownię, a tym samym wyprowadziła przegląd z ciasnego kanału mechanicznego pokazywania i oglądania, z jakiejś źle pojętej kameralności. Taką inspirującą imprezą był w roku ubiegłym Międzynarodowy Staż Młodych Krytyków Teatralnych. Nie chce przez to sugerować, że następne tego typu przedsięwzięcia powinny mieć równie duże międzynarodowe ambicje, niechby były nawet skromne i zamykające się w kręgu naszych krajowych doświadczeń, a już poszerzyłyby horyzonty tego sympatycznego i niewątpliwie potrzebnego festiwalu.

Była wprawdzie w tym roku bardzo nieśmiała jaskółka, zwłastu pomysł polegający na zaproszeniu do udziału w przeglądzie (poza konkursem) spektakli przygotowanych przez studentów młodszych lat, co dałoby możliwość pełniejszej oceny pracy poszczególnych szkół. Niestety pomysł ten, jak się zdaje powstał chyba nie z inicjatywy komitetu organizacyjnego, bo efekty sprawiłyby smutne wrażenie przypadkowości. Po prostu w środku przeglądu, jak diabeł z pudełka, wyskoczyło przedstawienie studentów II roku krakowskiej szkoły teatralnej, pokazywane publiczności bez komentarza. A ten wydawał się potrzebny, by umieszczyć spektakl na odpowiedniej płaszczyźnie, nastawić widownię na właściwy odbiór i uzasadnić pojawienie się „Peer Gynta” na łódzkiej scenie.

Nie tylko to było niedopatrzeniem. Jest jeszcze jedna kwestia, jeżeli już owa idea się pojawiła, to należałoby ją zrealizować z całą konsekwencją, zaprosić co najmniej dwa zespoły studentów II czy III roku z różnych uczelni i wybrać troskliwie rzeczywiste najlepsze i najbardziej reprezentatywne propozycje. Tylko wówczas miałyby to jakiś sens, a tak słowa Aliny Obidniak, przewodniczącej jury (wygłoszone na zakończenie przeglądu) o dokładniejszym przyjrzeniu się poczynaniom uczniów brzmiały trochę jak dorabianie ideologii do faktu przypadkowego zaistnienia. Tyle o podstawowych niedomogach organizacji.

Trzymam jeszcze w zanadrzu sprawę, której rozwiązanie bardzo mnie zabolowało. Otóż jako dodatkowy punkt programu, towarzyszący ogłoszeniu wyników, przewidziano zaprezentowanie po raz drugi „Ballad o Ostatnich”.

Chyba liczone, że będzie to ładny gest pożegnany gospodarzy, ale zabieg ten był błędem fatalnym. Aktoży świeżo po finałowych emocjach rozprężeni i nieskupi, kameralny spektakl przeniesiony z malej salki Teatru Studyjnego na dwukrotnie większą scenę Teatru Nowego, słowem galimatias i kłeska, efekt szkodliwy, bo dający publiczności, której większość nie oglądała wcześniej „Ballad...”, fałszywe wyobrażenie o tym pięknym przedstawieniu. Myślę, że właśnie w tym ostatnim dniu przeglądu powinno się znaleźć miejsce dla „Peer Gynta”.

Ala koniec z łalami i pretensjami, czas na powtórzenie werdyktu jury. Główną nagrodę otrzymał spektakl „Przy stole” wg „Wesela” A. Czechowa przygotowany przez studentów PWST w Warszawie pod kierunkiem Mał. Komorowskiej. Poza tym przyznano 11 wyróżnień indywidualnych, które otrzymały:

- Maria Duda, Grzegorz Sikora, Andrzej Zieliński, Mariusz Żaba (PWST Kraków).
- Andrzej Niemirski i Ideofons Stachowiak (Wrocław).
- Katarzyna Dawiak, Hanna Wrycza, Piotr Polk, Piotr Rzymyszkiewicz, Piotr Stęka (PWST w Łodzi).

EWA WESOŁOWSKA

Do udziału w Festiwalu zaproszone będą 23 wytwórnie filmowe, ośrodki telewizyjne i inne instytucje realizujące filmy. Prezentowane będą ponadto filmy społecznie i politycznie zaangażowane z krajów socjalistycznych.

Jego celem jest prezentacja dorobku polskiej twórczości filmowej z ostatnich dwóch lat, podejmującej problematykę społeczną i polityczną, zwiększenia roli filmu krótkometrażowego w edukacji politycznej i kształtowaniu postaw społecznie zaangażowanych oraz aktywizacji środowiska filmowego do głębszej penetracji problemów społeczno-politycznych i ideologicznych.

Poza konkursowym przeglądem filmów przewiduje się odbycie, w jednym z łódzkich kin, przeglądu filmów fabularnych podejmujących problematykę społeczno-polityczną, otwarte dla publiczności pokazy filmów uczestniczących w Festiwalu, przeprowadzenie sympozjum na temat wykorzystania filmu w procesie kształcenia postaw społecznych, wystawę książek społeczno-politycznych połączoną z kiersmaszem oraz wystawę plakatu politycznie zaangażowanego.

W sumie mieszanka obyczajowa, przyprawiona amerykańskim humorem i starannie zrobiona. Już pewnie w trakcie realizacji z zamiarem zagarnięcia kilku „Oscarów”, którymi oprócz aktorów nagrodzono film jako całość oraz reżysera. Posażąc za najlepiej adaptowanego scenariusz odpowiada precyzyjnej estetyce tej pozycji i dobrze świadczy o wrażliwości literackiej realizatorów.

TOMASZ KUBIK

„Cznie słowa” — film prod. USA w reż. Jamesa L. Brooksa.

Kronika kulturalna

W DNIACH 12—16 maja br. przebywał w Łodzi na zaproszenie „Arlekina” Miejski Teatr Lalek z Karl-Marx-Stadt.

Niemieccy goście prezentują łódzkiej publiczności widowisko pt. „Krzesiwo” — Martina Mognera wg. H. Ch. Andersena, w reżyserii Manfreda Slopfa, scenografię Petera Gemarusa de Keppera, z muzyką Manfreda Blanka.

Z WIZYTY W Jugosławii powrócił zespół PTL „Arlekin”. Łódzcy lalkarze byli gośćmi Lublińskiego Teatru Lalek. Po występach w Lublianie zespół odbył tournée, grając w Bugojno, Sarajewie, Tuzli i Brčku. Ogółem zaprezentowano 10 spektakli sztuki pt. „Ludowa Szopka Polska”, w reżyserii Stanisława Ochmańskiego.

Prezentacjom artystycznym towarzyszyły dyskusje z widzami oraz spotkania z przedstawicielami środowisk artystycznych, upowszechnieniowych i władz administracyjnych. Podkreślano na nich wielokrotnie rangę i poziom polskiej sztuki lalkarskiej. Wiele mówiono o potrzebie, celowości i chęci współpracy.

W DNIACH 5—8 maja 1986 r. PTL „Pinokio” wziął udział w kolejnym Biennale Sztuki dla Dziecka w Poznaniu. Łódzcy lalkarze zaprezentowali tam „Krakowiaków i Górali” Wojciecha Bogusławskiego z muzyką Jana Stefana w reżyserii Wojciecha Kobylińskiego i scenografią Alego Bunscha oraz kwy Przemyskiej. Spektakl ten otrzymał najwyższe nagrody na XII Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Lalek w Opolu oraz Srebrną Łódź 1986 r.

W DNIACH 8—11 grudnia 1986 roku odbędzie się kolejny, już dziewiąty Festiwal Filmów Społeczno-Politycznych. Będzie on miał charakter ogólnopolski i stanie się miejscem spotkania twórców i teoretyków filmowych z działaczami społecznymi i politycznymi, nauczycielami, animatorami życia kulturalno-oświatowego.

Romans współczesny

Film jako najnowszy rodzaj sztuki spowodował spustoszenia w szeregu pisarzy. Ich sytuacja przypomina coraz bardziej status północnoamerykańskich Indian żyjących w rezerwatach, którzy albo kulturowo w plemiennym gronie swoje magiczne obrzędy albo wchodzą w cywilizowane społeczeństwo rezygnując z tradycyjnych wartości.

W epoce, w której żyjemy „szary człowiek” zalewany jest potokiem informacji, a to o decydujących ofensywach na froncie irańsko-irackim, a to o najnowszych romanach książkowych Monaco, i mało go obchodzi fikcyjne, powieściowe frustracje ambitnych jednostek.

Film szybciej reaguje na zmieniające się potrzeby widzów, a poza tym należy do najłatwiejszych w odbiorze form kultury masowej. Tak

więc biblioteki tracą czytelników, którzy wolą iść do kina lub posiedzieć przed telewizorem, a domowy księgozbiór równie dobrze może być zastąpiony półkami z kasetami wideo. Nie jest to stan, który należy potępiać, bo sponsorzy sztuki filmowej nie nawołują przecież do palenia książek. Tyle tylko, że wyobraźnia człowieka z czynnej zmienia się w bierną, wartość w papkę, a sztuka w kicz.

Ten przydługi wstęp wcale nie oznacza, iż chcę generalnie dyskredytować kino: w jego kulturowym imperium przecież nierzadko mamy do czynienia ze zjawiskami godnymi uwagi i estetycznej aprobaty. Świadczą o tym festiwalowe palmy, nagrody i inne trofea.

Najcenniejsze z nich (a może tylko najpowszechniej reklamowane?) rozdziela amerykańska Akademia Sztuki Filmowej. Amerykańskie „Oscary” przeważnie dla amerykańskich filmów mają wpływ na hierarchię w światowym kinie i zdają się przekonywać o primacie zaocennej sztuki filmowej. Ale czy przekonują?

W 1984 roku at pięć statuetek „Oscara” przypadło „Cznie słowem” w reżyserii Jamesa L. Brooksa, który dotąd znany był z filmów telewizyjnych. Przeciętny powieściowy Larry'ego McMurtry'ego miał powiedzieć: „Najpierw trzeba zakochać się w temacie a potem cierpliwie walczyć z trudnościami. Nie miałem najmniejszej wątpliwości. Moja reakcja na książkę była głęboka, emocjonalna. Wiedziałem, że muszę zrobić ten film”.

W istocie film trzeba uznać za niezły. Jak się ma do książki McMurtry'ego, nie znając jej, trudno powiedzieć. Tak czy inaczej Brooks chyba właściwie uchwycił tempo współczesnego życia, w którym jest miejsce i na śmiech i na łzy. „Cznie słowa” nie są ani komedią, ani melodramatem: film łączy obie te konwencje w nierozważalną całość. W chwilach, kiedy na ekranie pojawia się Jack Nicholson jako były astronauta, który przy okazji

swolich odczytów podrywa pałenki, publiczność wybucha niepoohamowanym śmiechem; ale kiedy umiera na raka Emma (w tej roli Debra Winger) na sali kinowej prawie syczący słochoy.

Jack Nicholson obdarowany „Oscarem” za najlepszą, drugoplanową rolę męską w tym filmie jest w zasadzie postacią główną — widz czeka na jej pojawienie się na ekranie. Właśnie dzięki Nicholsonowi film nie zmienia się w sentymentalny romans, a staje się wcale ciekawym obrazem, wobec którego trudno przykładać konwencjonalne miary.

O kolejnym „Oscarze” dla filmu za najlepszą, pierwszoplanową rolę kobiecą dla Shirley McLaine mógł zdecydować prestiż aktorki i jej poprzednie dokonania: w „Cznie słowach” nie stworzyła przecież nazbyt olśniewającej kreacji.

Romans pozbawiony tkliwości oraz rozdzierających scen utrzymany jest w konwencji higieniczno-sportowej, tyle że z udziałem przedstawicieli starszego pokolenia. I wzrusza z uwagi na zręczność w kreowaniu typowych sytuacji i brak

zawłkości psychologicznych, co jest manierą większości np. polskich filmów.

Z kolei obraz niezbyt udanego małżeństwa Debra Winger, filmowej córki Shirley McLaine, która tuż się z mężem po różnych campusach z coraz większą ilością dzieci na karku ma jedynie wartość socjologiczną, gdyż poza nazbyt historyczną Debrą w roli zdradzonej żony i nie rozumianej córki nie wnoszą nic nowego.

W sumie mieszanka obyczajowa, przyprawiona amerykańskim humorem i starannie zrobiona. Już pewnie w trakcie realizacji z zamiarem zagarnięcia kilku „Oscarów”, którymi oprócz aktorów nagrodzono film jako całość oraz reżysera. Posażąc za najlepiej adaptowanego scenariusz odpowiada precyzyjnej estetyce tej pozycji i dobrze świadczy o wrażliwości literackiej realizatorów.

Wacław Solski, ur. w 1897 roku w Łodzi, niedawno uśmiercony przez krakowskiego profesora (już w 1976!) cieszy się najlepszym zdrowiem, jak doniósł mi znajomy, który odwiedził pisarza w tym roku, w Nowym Jorku, gdzie od wielu lat mieszka.

Właściwe nazwisko: Pański, syn łódzkiego lekarza medycyny. W „Moich wspomnieniach” (Paryż 1977) wyznał: „zmieniłem nazwisko na Solski, żeby nie przysparzać rodzinie kłopotów moimi politycznymi wyczynami, już w latach dwudziestych”. W Łodzi chodził do Gimnazjum Polskiego (Im. Kopernika), wyjechał stąd w 1914, był w Polsce w 1960, i właśnie ten pobyt w rodzinnym mieście ewokował w nim wspomnienia rozsute w wierszu-poemacie „Dym”; wyjmujemy z tomu „Dym. Wiersze osobiste”, wydanego przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie (1980).

Wiersz jest tak czytelny, zawiera mnóstwo realiów

WACŁAW SOLSKI

Dym

Oto meldunek o jednym dniu
Spędzonym w rodzinnym mieście
Po latach wędrówek po świecie.

Nikt mnie nie zapraszał ani na mnie czekał
Widywałem to miasto często we śnie
Ale nigdy na jawie
W ciągu lat czterdziestu i pięciu.

Po drodze w Warszawie rozpełtała się burza
Błądziły później po niebie ironiczne błyski
Ale w Łodzi zastałem szarożółty poranek
Pogodny niby paciorek
Łuźno wiszący na nitce.

Wiem ja dobrze co nie
Ale nie wiem co tak
Choć wierzyłem, że wiem. I znam słodcy bunt.
Jak również jego cenę. Tu, w Włodzowskim Łasku.
Zrywało się i kładło między karty zielenika
Trawy wiotkie i drżące, niby baletnice
Ostatnich akordów. Oraz puszyste liście.

A na łące, pół-lysej, przegnębionej miastem
Chwytałyśmy przedziwnych kolorów motyle
I przekliwiali szpilką. Otóż ich żywe barwy
Zaprzagnąłem odtworzyć, bo to był pierwowzór.

Tu gęstniały do bólu w żrenicach
Szeptem nad stawem w Helenowie
W dreszczach w teatrze na Cegielińskiej
W przyjaźni bez kropli zawiści

Wróciłem, żeby spojrzeć w oczy
Samemu sobie.

Przechodnie wymachiwali nogami
Nie patrząc na stopy, ufając że stopy
Zaniosą je tam, dokąd dąży
Do łobu, do szynku, do żony
Do dzieci, do samotnej izby. A tobie wara.
Rozkuliwaj się jeśli chcesz, ale bez nas.
My, podnosząc kolana
Stąpamy, stąpamy, stąpamy
A tyś jest dla nas przezroczyśty
Jak lza.

Tramwaje, tramwaje, tramwaje
Tak samo jak wtedy pisały na zakrętach
Może nawet dnośniej, żelazniej
Bo starsze. A czy wicie, panowie i panie
Ze w tym mieście elektryczne tramwaje
Kursowały kiedy jeszcze w Warszawie
Chodziły tylko konne. Nie do wiary, a fakt.
Sam sprawdziłem, w wieku lat pięciu
W czasie wizyty w stolicy.
Ze wszystkich stron otwarte, włosenne, rozgwarne
Pełne pocentkowanej na confetti Warszawy.
I dzwon donośnie dzwonił. Woźnica,
Nie żaden motorniczy ciągnął go za sznur.
(Istniał wówczas warszawski wujaszek
Łysawy, dobrotliwy, głupawy,
Cały w świecących złotych okularach
Grosik, mówił, pamiętajcie
Dać należy biednemu. Biedny też człowiek.
Kupi kromkę chleba.)

I jeszcze dodam, skoro już o tramwajach
Ze tylko u nas, w naszym mieście
Tramwaje nosiły kolorowe numery.

Pomyśl tylko, jakież to epokowe odkrycie?
Spostregasz z oddali, stojąc na przystanku
Czy żółta trójka zmierza
Prośkutko w stronę cmentarza
Czy biała jedynka co się
Ku ponurym Bałutom kieruje
Albo zielona czwórka. Ta, wiadomo,
Do parku w Helenowie na łódki.

Numery dziś te same. Ale bez kolorów.
Skasowali. Bo jeśli
W Paryżu nie wprowadzono tej mody
To i u nas się obejdzie.

Moja szkoła. Teraz też szkoła.
Gimnazjum męskie. Coś mnie w gardle ścisła
Kancelaria gdzie wtedy. „Ja tu kiedyś, w tej szkole...”
Łypniecie okiem. Czy czasem
Coś się za tym nie kryje?
„Jak pan chce na podwórko
To jedynie zgoda dyrektora”.
(Na ścianie kiedyś trzy wieszce
Dziś pojedynczy Kopernik).

Kroczę na dziedzińcu bez żadnej zgody
Cóż tam będę ludzi fatygował
No tak. Nie się ten plac nie zmienił.
To właśnie kiedyś uprawiałem zabawę
Która się nazywała sam przeciwko wszystkim.

topograficzno-urbanistycznych, łatwych do zlokalizowania
na mapie miasta, że nie wymaga zupełnie komentarza.
Jedynie dwa wyjaśnienia. Postać Rembala: „Przypominał
trochę Andrzeja Radka z „Szyfrowych prac” —
pisze w „Moich wspomnieniach”. Pólsierota, syn praczki, w ich
latach szkolnych był socjalistą, członkiem podziemnego
koła młodzieżowego, kierowanego przez
łódzką organizację SDKPiL. Jego biografię Solski
przetłumaczył w powieści „Rysy twarzy”. Pannę
Helę („Nazwisko jej zachowuję dla siebie”) po raz
pierwszy zobaczył na Piotrkowskiej, przed cukiernią
Roszkowskiego. W czasie trwania urzeczenia Helą napisał
opowiadanie pt. „Życie” (tytuł wzięty od
Maupassanta), wydrukował je „Kurier Łódzki”
— przyszły bibliograf tej twórczości ustali rok i numer gazety.
Wacław Solski, zanim został pisarzem, miał
się w swoim bogatym i barwnym życiu rozmaitych zajęć
i profesji. W swoim autobiograficznym

Wylatywałem pędem podczas wielkiej pauzy
Pierwszego pięścią w bok, drugiego za włosy

Trzeciego w kark, a jak dogodnie stol
To kopniaka w siedzenie. I dalej
Jeszcze dwóch. Jeszcze trzech. W poczuciu ich słusznej
sprawy

Poszkodowani za mną! Wala mnie pod płotem
Gdzie się da, bez litości.

A mnie śmiech rozpiera. I nazajutrz znowu
I później podobnie, latami
Też sam przeciwko wszystkim. Więc pewnie dlatego
Musiałem zobaczyć podwórko.

Z kamienie sterczą wycieńczone cegły
Bo w tym mieście niczego nie remontują od wieków.
Do szarego nieba wyciągają ramiona
Błagalnym gestem równie szare domy
Ramiona, rdza upstrzone, choć ze stali.

Niegdyś na tych szynach spoczywały balkony
Wiszące, niby łozę, nad Piotrkowską.
Piękny był z nich widok! Ale ze starości
Spadały z trzaskiem na chodnik, więc ich nie ma.
Tylko szyny zostały, aby w niemym krzyku
Wolać o pomstę do nieba.

Park Kilińskiego. Kiedyś Mikołajewski
Od cara Mikołaja. W nim — małe wagary.
Większe — w Rudzie, za miastem. Lub w Fabianicach
Bilard w mrocznym lokalu. Kazik zielone sukno
Rozpruł kijem. A podejrzanie na mnie. Potem w szkole
W trakcie wielkiej wojny śniegowej
Ciężką kulą trafiona poszła z brzękiem szyba
To mnie i za to. Niewinnie. Bo znowu on.
Czyżym dziś jeszcze za to miał do niego żal?
Po pół wieku? Nie, chyba z powodu Helenki.

„Zaklinam Cię, bądź sobą!” Tak jej napisałem
W nocnym, długim, tragicznym, nie wysłanym liście.

Podmuchał i zapach wiatru te wspomnienia ożywił
Albo może uśmiech bratków na klombie.
Pośmiać by się z nich, a trudno. Nawet to rozczuła
Że Helenka miała białą czapkę, wózekową
Matka jej zrobiła. Na ślizgawkę.

Aleja Kościuszkii, niegdyś Promenada.
Ten dom? Ten sam. Przez bramę
Aż na drugie podwórko. Tam okno na szczycie
Prościej mówiąc — na strychu. Bardzo niskie.
I pokój też niski. W szybie okna
Błysnęło miedzią słońce i zgasło. Na strychu
Mieszkał Rembał z tomami Marksa
Pierwszy na mojej drodze rewolucjonista
Już w piątej klasie gimnazjum. Tylko że później...
Nie, o tym nie trzeba. To ma być wspomnienie
O łódzkim Rembału z Promenady

Prześladywałem tam na twardym tapczanie
(Wszystko miało twardo. Najbardziej wspomnienie)
Z papierosem „Lux” z zielonego pudełka
Razem chwytałyśmy palące gwiazdy z nieba
Wszystko było radosne i proste
I droga wyznaczona raz na zawsze.
Były też łzy wzruszenia
Wskutek odtworzonej przyjaźni, kiedy się raz zachwiała.



Rys. Janusz Szymański-Glan

wierszu potrąca o miasta-metropolie, w których przebywał:
Moskwa i Berlin, Paryż i Londyn. Dorobek autora
„Dymu” jest okazały (pisze także w języku angielskim).
Wydał sześć tomów opowiadań, pięć powieści, zbiór
reportaży („Między Chicago i Wenecją”), cytowany tom
wspomnień, pisze wiersze, uprawia publicystykę, napisał
kilka sztuk teatralnych, granych ponoć przed wojną w
Paryżu i w Brukseli. „Bibliografia dramatu polskiego
1765—1964” nie notuje ich.

Jako że urodził się w Łodzi, w różny sposób
(m.in. literacki) wraca do niej.
Jest autorem interesującym. Wydawnictwo
Łódzkie winno nawiązać w nim co rychłej współpracę —
żadna z jego książek nie ukazała się w kraju.

Przypomniał: STANISŁAW KASZYŃSKI

Stawiał przy szybie budzik jak był w domu
Niebieski budzik, blaszany
Żeby się nie wspiąć na strych bez gwarancji
(Cztery piętra ze stromym plusem).

Nie ma w oknie budzika. Na gzymsie pod oknem
Kręci łebkiem gołąb. No cóż, kiedy stąd pójdziesz?
Idę. Tu już nie ma. Ani tu, ani nigdzie.

IX

Przechodnie, przechodnie, przechodnie
Szurają po chodnikach nogami
Ani jeden tu nie żył kiedy ja tu żyłem
Twarze mają nijakie, bez ust i bez oczu
Zamiast tego bardzo mocne podbródki
Z dołu do góry, z dołu do góry, właśnie że tak
Mają prawo. Ja tu żadnych praw nie mam.
Mogę tylko rozmawiać z cieniami.

X

I oto jestem w moim dawnym pokoju
W mieszkaniu przy ulicy Moniuszki pod płatem
Gdzie teraz funkcjonuje przychodnia dla niemowląt.
Pielegniarka —
Ale wpięty o jej oczach. Są kobiety
Które bez odczynnika potrafią przeczytać
Napis sympatycznym atramentem. Te kobiety
Najłatwiej poznać po oczach. „Niech pan
Posiedzi sam w swoim pokoju
Pewnie pan chciał”. I zamknęła drzwi.

„A więc najpierw muzykalne rytmy
To rozgłosne, to cichące niby echa
A kiedy we mnie minęły
Powstały obrazy — fragmenty.

Ojciec na progu pokoju, pochylony
Przychodził tak czasami. Nic nie mówiąc
Stał chwilę i odchodził z uśmiechem.

I zaraz carski laps, bo obrazy bez związku
Miał na sobie gumowe palto.
Znalazł w stole brata bibulę
Nielegalne broszury, wezwania
Antoniego zabrali do więzienia na Miłszu.

Stół był pod oknem. Na parapecie
Wycinałem własnym tajnym piśmem
Symbole odwagi, poświęcenia i siły woli
I jeszcze innych zalet charakteru
Żeby wiedział czego się trzymał.
Tamże, na parapecie, wyciąłem Jej litery.

Nie ma żadnych śladów. Gęsta farba
Zatopila wszystko. A gdybym
Posłał wtedy ten list?

Nie spełniłem, mówię do parapetu okna
Wyłobionych obietnic, danych samemu sobie.
A gdzie tak długo byłam? Wiele stolic
Figuruje w moim życiorysie.
Moskwa i Berlin, Paryż i Londyn
Nowy Jork i pomniejszych miast na tuziny.
Widziałem kiedyś
Małego psa, biegł środkiem pustej ulicy
Naraz przystanął. Skręcił w inną.
Wrócił, znów się zatrzymał i usiadł.
Ale tylko na chwilę. Czekając co zrobi.
Wkrótce pobiegł przed siebie. Czy nie wszystko jedno?
To było w Barcelonie, a może w Madrycie.

XI

Później już tylko migawkowe zdjęcia.
Scentrowane koło roweru. Krzywe.
Kręcił się między dwoma kawałkami kredy
Trzeba podkręcić szprychy tam gdzie kredowe plamy.

„Tak rzecze Zaratustra” w niebieskiej oprawie.
Nie czytałem. Znudzilo mnie. Ale
Udałem się z Zaratustrą na deptak
Na Piotrkowską, ażeby wszyscy widzieli
Jakich wyżyn sięga moja lektura. Jednakże
Przechwylił mnie tam mój starszy brat Antoni
Odebrał Zaratustrę i wysmiał. Straszny wstyd.

Jeszcze inne, z dzieciennych lat.
Wielka radość że dwa goździki w donliczce
Przebiły lakierowane powłoki
I wytrysły wiśniową koronką.

XII

W Nowym Jorku, w trochę gorszych lokalach
Są grające szafy. Weiskasz pieniądź
I stanowcza, bezwzględna tupa
Chwyta płytę i kładzie ją gdzie ma być.

I mnie przenosi wielka łapa
Z kraju do kraju, z lat do lat
Z ogrodów na wypaloną ziemię
To ona mnie wyniosła z mojego pokoju
I pchnęła w kierunku dworca.
Spiesz się! Twój dzień się skończył!
Spiesz się, bo nie zdążysz na pociąg!
Wraca do twojej szóstej ojczyzny!

W Łodzi zapada zmrok. Puścilej na ulicach
W kinach pokazują polskie dzieła
Choć publiczność wolałaby Chicago
Argentynę lub Paryż. Tak jak wtedy.
Jak ja wtedy marzyłem, aby choć raz w życiu
Wjechała winda na setne piętro w Ameryce!

Marzenia niezliczalne mijają bez bólu.
Boją mocno te, które się spełniają.

Tuż przed godziną 14.00 próbuję dostać się do gmachu telewizji na Woronicza w Warszawie. Na pytanie: — gdzie mogę znaleźć redaktora Pijanowskiego? — portier robi zdziwioną minę i odpowiada pytaniem na pytanie: — a kto to jest? Ze zrezygnowaniem macham ręką i szukam innego informatora. W biurze przepustek nie doś, że wiedzą „kto zaz”, to na dodatek czeka już na mnie wypisana przepustka. Tylko pozazdrościć organizacji!

Pokój „Jarmarku” znajduję bez większych kłopotów. W pokoju — jak w małym muzeum — zgromadzono mnóstwo pamłetek z różnych „Jarmarkowych” imprez. Prawie pół pokoju zajmuje wielka, sztuczna

nigdzie nie mogę dostać, a chcę zbudować gokarda...
 „Kocham Tańca Łyskawke. Wiem, że nie gra on już w zespole Papa Dance, ale ja zawsze będę wiedziała, że on jest w tym zespole. Kocham go i uwielbiam. Proszę Panię Krzysiu! zaprosić go do Videoteki i biagam proszę puścić teledysk „Te głupie strachy”. Napisałam 493 razy że go kocham...”
 Rzeczywiście. Do listu dołączony jest plik kartek wyrwanych z zeszytu, na których — dziecięcym pismem od góry do dołu nie tylko „Kocham Tańca z Papa Dance”.

Godzina 15.15. Kandydatów nadal brak. Wszyscy zaczynają się już denerwować, że wypadnie punkt z programu. Wreszcie o 15.30 gruchnęła wiadomość: JEST!!! Gdy do pokoju

wchodzi red. Edyta Krassowska ze „Studia 1”.
 — Kochani, kończcie już, bo musimy nagrywać!
 — Przecież robimy tak szybko, jak tylko możemy. Jeszcze chwileczkę, dobrze?
 Odpowiedzią jest przyzwalający uśmiech. Widać Krzysztof Szewczyk „działa” nie tylko na małolaty...
 Jest kilka minut po szesnastej. Koniec przygotowań do programu. Wracamy do pokoju i aby gość się nie nudził do chwili rozpoczęcia emisji, Włodzimierz Zientarski proponuje mu obejrzenie video.
 — Na co pan ma ochotę?
 — Najlepiej puścić mi jakąś muzykę. Ale nie takie trąbki i działy jak na górze. Najlepiej muzykę poważną, o, może być „Kapela z Chmielnej”...

gu minuty. U mnie przynajmniej...
 Studio wygląda jak rupleciarnia. Czego tu nie ma! Stare instrumenty muzyczne, które zamiast strun mają sznurki, lampy, zegary, telefony, kuiry i Bóg wie co jeszcze.
 Trwa żmudne ustawianie świateł. Gdy już jako tako były ustawione, do studia weszła pani scenograf.
 — Zadnych kolorowych świateł! W ogóle nie za dużo światła. Ma być jasno, ale przedmioty w studio mają być wymodelowane światłem! Rozumiecie?
 Ja — szczerze mówiąc — nie. Ale specjaliści od oświetlenia chyba tak, skoro znów zaczęli biegać z długą tyczką i kręcić reflektorałmi.

Zabarwione jazzem przeboje Sade

GRZEGORZ WALENDA

Już niejeden wykonawca z kręgu muzyki rozrywkowej odniósł sukces komercyjny tylko dlatego, że odważył się sprzeciwić obowiązującej w danym okresie modzie, prezentując odmienne brzmienie lub całkowicie inny — od królującego na listach przebojów — styl. Podobnie było w przypadku Sade Adu, chociaż o popularności tej ciemnoskórej piosenkarki zdecydowały przede wszystkim talent i wysoka jakość muzycznych produkcji, a dopiero później fakt, że jej utwory odbiegały klimatem od większości nagrań goszczących dwa lata temu na brytyjskiej liście bestsellerów płytowych. Nagrywając piosenkę „Your Love Is King”, która miała znaleźć się na jej pierwszym singlu — nastrojową kompozycję pop z elementami jazzu i muzyki soulowej — wokalistka nie marzyła o tak oszałamiającej karierze. „Nie sądziłam — mówi Sade — że „Your Love Is King” będzie miał takie powodzenie wśród nabywców singli. Myślałam, że najwyżej będziemy cieszącą się uznaniem grupą albumową, a osiągnięcie celu nie nastąpi szybko”.

Naprawdę nazywa się Helen Folasade Adu, a rodzicami jej są Angielka i Nigeryjczyk. Do Anglii przyjechała po raz pierwszy, gdy miała 6 lat, niedługo po tym, jej matka rozstała się z mężem. Podobno była wtedy bardzo mroźna zima; ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, a mała Sade i jej brat czuli się zagubieni w nowym otoczeniu. „Przybyliśmy z dwiema walizkami... — wspomina piosenkarka. — Mój ojciec nie chciał nas puścić, a więc musieliśmy uciec w nocy. Matężństwo (matki) się rozleciało i wszystkie jej marzenia legły w gruzach. Była bardzo nieścisliwa...”. Mieszkali początkowo w Essex, gdzie matka Sade przygotowywała się do zawodu pielęgnarki. Tu też wyszła ponownie za mąż. Później rodzina przeniosła się do Clacton — miasta położonego na północny-wschód od Londynu.

Po skończeniu 17 lat Sade postanowiła się usamodzielniać. Nie od razu jednak znalazła dla siebie odpowiednie zajęcie. W Londynie rozpoczęła naukę w szkole artystycznej, próbowała też swoich sił — niestety bez powodzenia — jako projektantka mody, aby wreszcie zostać modelką. Karierę estradową rozpoczęła od występów z grupą Pride, grającą w stylu jazz-funk. Z Pride pracowała do chwili podpisania — tym razem już jako solistka — kontraktu z firmą „Epic”. Pierwszym jej samodzielnym nagraniem był wspomniany singel „Your Love Is King”. Po nim zarejestrowała utwór „Smooth Operator” i inne piosenki, które ukazały się na płycie „Diamond Life”.

Podczas gdy słuchacze zachwycali się ciepłym głosem piosenkarki i klimatem nagrań, krytycy szukali przyczyn ogromnego zainteresowania Sade, która przecież w krótkim czasie stała się najpopularniejszą wokalistką w Wielkiej Brytanii. Tygodnik muzyczny „Melody Maker” w 1984 roku aż dwukrotnie umieścił jej zdjęcie na okładce. Po raz pierwszy, gdy przedstawiał wschodzącą gwiazdę, a następnie, po kilku miesiącach, już z podpisem „Pierwsza dama”.

Wydaje mi się, że źródłem powodzenia nagrań 26-letniej Sade należy szukać w ich komunikatywności. Udało się jej połączyć jazz, pop i „czarną muzykę” w sposób przystępny dla masowego słuchacza. Poza tym debiut solowy Sade zbiegł z okresem, w którym melomani szukali oddechu od wszechobecnych elektronicznych bębnow i syntezatorów. Alternatywą były m. in. takie kompozycje jak „Hello” Lionela Richie, „Careless Whisper” George’a Michaela, czy też wreszcie utwory z longplayu „Diamond Life” — tym bardziej odmienne, że zachaczające o jazz — taki „nocny” jazz do słuchania przed zaśnięciem. „Oczywiście jest element jazzu w tym co robimy — mówi Sade — ale jest to tylko zabarwienie wynikające z faktu, że jesteśmy pod wpływem tego, czego słuchamy, a ja słucham sporo prawdziwego improwizowanego jazzu”.

Muzyka z płyty „Diamond Life” przypadła słuchaczom do gustu, o czym świadczy chociażby wysoka pozycja na listach bestsellerów. Wspomniany longplay szybko osiągnął nakład 1 mln egzemplarzy, a przecież w dalszym ciągu znajduje nabywców w wielu krajach. Nawet hermetyczny rynek amerykański znalazł się pod urokiem piosenek ciemnoskórej wokalistki. W ubiegłym roku jej „platynowy” album znalazł się na piątym miejscu najlepiej sprzedawanych płyt jazzowych w USA, a także dostał się do pierwszej piątki tamtejszej listy „czarnej muzyki” i zestawienia najpopularniejszych longplayów muzyki pop. Także mały krążek z przebojem „Smooth Operator” cieszył się za Oceanem dużym powodzeniem, osiągając wysoką pozycję w kategoriach „pop”, „czarna muzyka” i „współczesna muzyka dla dorosłych”. Przedstawiciele amerykańskiego przemysłu muzycznego orzekli, że Sade była najciekawszą „nową artystką” ubiegłego roku i przyznali jej nagrodę Grammy.

Na pewno współtwórcami sukcesów Sade są muzycy z jej zespołu. Stuart Matthewman, który jest autorem — wspólnie z Sade — większości piosenek, gra na saksofonie i gitarze. Instrumenty klawiszowe obsługuje Andrew Hale, a basistą jest Paul S. Denman. Również Hale i Denman są współautorami niektórych kompozycji, jak chociażby utworu „Cherry Pie” — jednego z płyt „Diamond Life”, pod którym podpisał się cały zespół. Warto dodać, że teksty Sade pisze przeważnie sama, a tylko w komponowaniu muzyki pomagają jej koledzy z grupy akompaniującej.

Zwykle gdy jakiś młody artysta odniesie sukces, wszyscy starają się odkryć skąd czerpie inspirację. W przypadku Sade nawiązywały się skojarzenia z wokalistką Billie Holiday. Sade jednak nie jest tym porównaniem zachwycona. Podobne opinie tylko ja denerwują, gdyż — jak twierdzi — gdyby brzmiała jak ktoś inny, to czułaby, że oszukuje swoich słuchaczy. Uważa, że śpiewa inaczej niż Billie Holiday i wszelkie próby znalezienia podobieństw nie mają sensu. „Dlatego ludzie porównują mnie z Billie Holiday? Dlaczego nie z Freddie Mercury?”.

Kilka miesięcy temu ukazał się w sprzedaży drugi album Sade, zatytułowany „Promise”. Piosenkarce towarzyszą — podobnie jak na debiutanckim longplayu — Matthewman, Hale i Denman oraz muzycy grający m. in. na instrumentach dętych i perkusyjnych. Już otwierająca płytę kompozycja „Is It A Crime” utwierdza nas w przekonaniu, że mamy do czynienia z kontynuacją stylu, z jakim zetknęliśmy się słuchając poprzednich nagrań piosenkarki. Po niej następuje znakomity — moim zdaniem — utwór „The Sweetest Taboo”, przy którym można tańczyć, golić się, czytać, spać... Słowno piosenka na każdą porę dnia i nocy. Prawdziwy przebój. Reszta nagrań — może jeszcze za wyjątkiem również bardzo udanego „Never As Good As The First Time” — nieco mniej przebojowa, ale posłuchać warto. Wszystko brzmi tu tak jak powinno, tylko może już nieco mniej „odważnie” niż w 1984 roku. Dziś nagrania Sade nie kontrastują specjalnie z tym, co dzieje się na muzycznym rynku, ale przecież nie jest to ich wada. Stałym wielbicielom utworów z longplaya „Promise” na pewno się podobają, a sądzę, że i inni melomani wkrótce się do nich przekonają. Na początku kwietnia album znajdował się na drugim miejscu najpopularniejszych płyt długogrających w USA tuż za longplayem „Whitney Houston”. Tymczasem w Wielkiej Brytanii — nieco później m. in. również w USA i Francji — wielbiciele Sade mogli oglądać piosenkarkę w szeroko rozreklamowanym filmie „Absolute Beginners”, w którym wykonuje kompozycję „Killer Blow”.

Jak się robi „Jarmark”

palma, która ma podstawową zaletę: nie wymaga podlewania. Bo kto by na to znalazł czas? W tej scenografii „robi” za chwilę: cała obwieszona jest papierowymi lańcuchami (zrobiły je niewidome dzieci — informuje mnie Wojciech Pijanowski). Poza ogromną ilością plakatów, fotografii i wycin-ków prasowych, na ścianach wiszą adidasy, bokserskie rękawice, narty, ba, jest nawet wianek, który otrzymał w prezencie Krzysztof Szewczyk (czyżby straciła — dla Krzysztofa — jakaś jego wielbielka?). Słowno — istny jarmark.

Wojciech Pijanowski siedzi nad ogromną stertą listów. W chwili, gdy przesympatyczna dziewczyna wnosi następną ich porcję, widzę jak włosy stają mu dęba.

— Dostajemy tego kilkaset sztuk dziennie. Najgorsze w tej całej robocie jest to, że trzeba je wszystkie przeczytać...

Ponieważ chwilowo i tak nie mam nic lepszego do roboty, pomagam najpierw otwierać koperty, następnie czytać i sortować. Wiem, że cudzych listów nie należy czytać, nie mogę się jednak oprzeć pokusie zacytowania kilku z nich. Oczywiście interpunkcja i ortografia są oryginalne!

— Wojtku, zapytaj Krzysztofa, czy mógłby mi wystać swoją fotografię. Bardzo was proszę kochani (proszę)...

— Mam 9 lat. Często oglądam wasze programy, jednak nie zawsze mam czas by do was napisać...

— Naszym zdaniem miś Krzysztofa powinien mieć na imię PARAFENYLODUAMINEK...

Zdaje się, że autorami (autorami?) tego listu były osoby, które dopiero poznają chemię organiczną... Dochodzi godzina 14.30. Na razie nie ma ani jednego kandydata na najcieńszego Polaka. Wracam więc do korespondencji.

— My kochamy się w Tobie (to do Krzysztofa — przyp. W. W.), a ty nie wiesz o kogo chodzi, nie znamy się, a szkoda. Nie wiemy co robić. Nie możemy tak dłużej żyć. Jesteśmy przynębione, nasze serca złamane są miłością do ciebie...

— Mam do pana taką prośbę (tym razem adresem jest Włodzimierz Zientarski) czy mógłby mi pan załatwić kółko do wózka akumulatorkowego, bo

wszedł Władysław Szczepaniak, od razu zrobiło się jakby cięsniej. Ktoś usłusznie wskazał mu fotel, by usiąść, lecz on wybrał krzesło. Nie miał bowiem najmniejszej szansy, by się wcisnąć pomiędzy oparcia (sic!).

Gdy już chwilę odpoczął, Włodzimierz Zientarski zaproponował mu obejrzenie pracy w studio. Po korytarzu i schodach idziemy bardzo powoli: gość „Jarmarku” męczy się nad wyraz szybko. Korzystając z okazji, pytam co się stało ze skądinąd doskonałym programem „1500 sekund wielkiego sportu”.

— Wróci na antenę i to jeszcze w tym roku. Od września bowiem II program telewizji ma każdą środę poświęcony będzie tylko i wyłącznie tematyce sportowej. W wielogodzinnym bloku znajdą się transmisje, teleturnieje, filmy sportowe itp. Chcemy także prezentować nowe, nie znane jeszcze w kraju konkurencje. Będzie więc miejsce także dla „1500 sekund”.

Po drodze mijamy znajome twarze: red. Ninę Terentiew oraz przeuroczą „Panią Małgosię”. O mały włos uklonilibyśmy się im; w ostatniej chwili uświadomiłem sobie jednak, że to nie ma najmniejszego sensu...

Dochodzimy wreszcie do sali magnetowidów EPS, gdzie od dobrych kilkunastu minut Krzysztof Szewczyk i Wojciech Pijanowski przygotowują muzykę do wieczornej części „Jarmarku”. Gdy wchodzimy — od razu robi się tłok. Jęk krzesła uświadomił mi fakt zajęcia miejsca przez pana Władysława.

— Uff, ale się zmęczyłem... Bo ja jestem niezwykajny chodząc po schodach...

Po raz pierwszy w życiu mam możliwość oglądania programu telewizyjnego jednocześnie na pięciu ekranach. Mogę nawet wybierać: albo czarno-biały, albo kolorowy. W pewnej chwili obraz „siada”.

— Co jest?
 — Wajcha się zacięła!
 — Co, siły nie masz? Pan go popchnie z tyłu! — to do gościa.

Pomoc na szczęście jest niepotrzebna. Już wyobrażam sobie Pijanowskiego popchniętego — nawet lekko — przez najcieńszego Polaka...

Do — i tak zatłoczonej ponad wszelkie normy — sali

Takiego życzenia nikt się nie spodziewał, toteż do 18.30 będzie siedział przy herbatce i gapił się w ścianę.

Korzystając z chwili czasu, większość „Jarmarkowiczów” „wyskakuje” do domu na obiad. Na odchodnym gość prosi Wojciecha Pijanowskiego:

— Panie, tam w żuku przed bramą czeka moja żona. Niech pan jej powie, że trochę tu posiedzę.

— W żuku?
 — A w żuku. Bo ja się w inny samochód nie mieszczę...

Jeszcze tylko ustalenie godziny próby i w pokoju zostaje sam na sam z Jerzym Łancutem — kierownikiem produkcji, zwanym pieściotłiwie „Managiem”. To właśnie on jest mózgiem „Jarmarku”. On musi dbać o to, by wszystko „grało”. Nawet teraz, gdy inni zjadają obiad w domowym zaciszu, on musi czekać na przedstawiciela pewnej firmy polonijnej, który ma dostarczyć kosmetyki będące upominkami dla gości dzisiejszego programu. Jest w ciągłym ruchu: wchodzi, wychodzi, rozmawia naraz przez trzy telefony, załatwia jednocześnie kilka spraw — inni mogą „nawalić” — on nie. Tuż po 18.00 wpada do pokoju jak bomba:

— Gdzie grubas?

— Nie mam pojęcia! — odpowiadam zgodnie z prawdą.

— Cholera, przepaść jak kamień w wodę...

Na szczęście wszystko się wyjaśniło: poszedł zapłacić 2000 zł za nieprawidłowo zaparkowany samochód... Zbliża się godzina, o której powinna zacząć się próba. Idę więc do studia. Już z daleka dobiega mnie... warok spalinywej pily do ciecia drzewa. Po chwili wszystko cichnie i słyszę najpierw sygnał czasu, a następnie test stereo.

Odruchowo spoglądam na zegarek: do „pełnej” godziny brakuje jeszcze kilku minut. Czyżby zepsuł mi się zegarek? Na miejscu wszystko się wyjaśniło: to tylko człowiek-orkiestra (w cywilu — instruktor aerobiku z Golubia-Dobrzyń, Jacek Pokornowski) ćwiczył przed programem...

Cwiczę również dwóch młodych, wesółych ludzi. Ci dia odmiay grają w „Zoskę”.

— Szybkość, zwinność, prostota, elegancja i 2 kilo to cię-

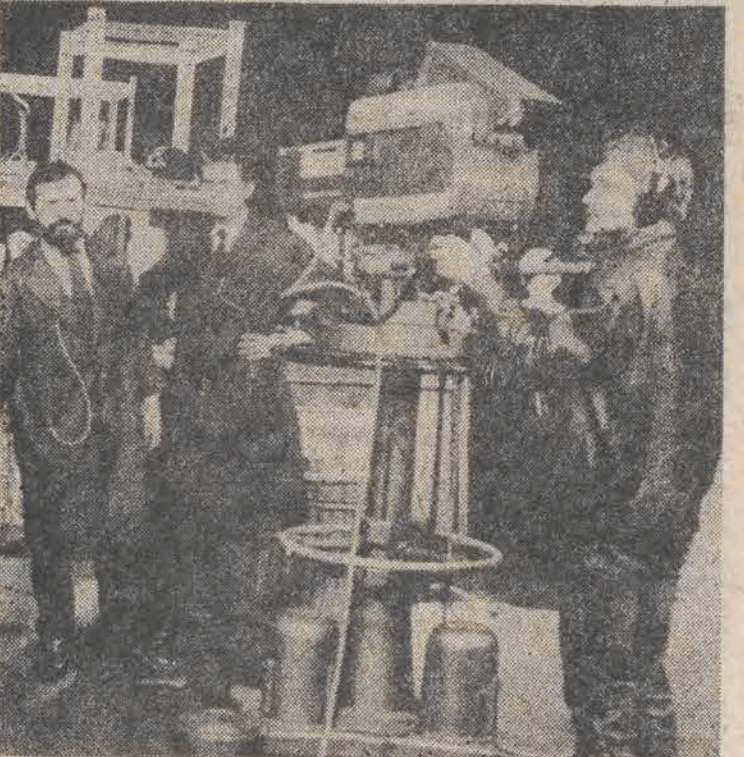


Foto: Witold Werner

Polemiki • Listy • Opinie

CZŁOWIEK POTRZEBUJE ZIELENI

W miarę, jak rozrastała się Łódź i aglomeracja, kurczyły się obszary dawnej Puszczy Łódzkiej, porastającej jeszcze do początków ubiegłego stulecia znaczne obszary Wysoczyzny Łódzkiej. Po znikających powierzchniach leśnych pozostały tylko nazwy, mówiące o składowości i typach lasów, jakie niegdyś tutaj rosły: Dąbrowa, Chojny, Rokicie (wierzba rokita), Polesie itd. Pozostało również kilka pomników przyrody: dąb „Kosynier” w parku im. Adama Mickiewicza na Julianowie, zabytkowe dęby w parku „Źródlika I”, dąb z Paradyża przy ul. Piotrkowskiej 175.

„Na piękno każdego miasta składa się jego naturalne położenie, rozplanowanie, architektura i szata roślinna. Łódź, pięknego położenia naturalnego nie posiada; rozbudowywana była bezplanowo, nie posiada też architektury, a żywą zieleni dziwnie wśród murów fabryk i domów ukryła. Dlatego też Łódź, uważana jest ogólnie za miasto brzydkie — i jak twierdzą niektórzy, beznaście brzydkie. Czy jednak istotnie oblicze Łodzi nigdy stać się „przystojnym” nie może?”

Pytanie to stawiał sobie autor artykułu pt. „Szata roślinna Łodzi” w numerze specjalnym „Kurjera Łódzkiego”, wydanym z racji Wschodniego Zjazdu Ogrodników Miejskich w Łodzi, we wrześniu 1934 r.

Tego roku (1934) ukończono, uroczyste otwarto i oddano do użytku publicznego ogród miejski na terenie kolonii mieszkaniowej przy ul. Sanockiej. Poza tym urządzono ogród jordanowski na Radogoszczu oraz „16 skwerów, z których na specjalną uwagę zasługuje niedawno założony skwer „perełka Łodzi” na placu im. gen. Dąbrowskiego i założone w roku bieżącym skwery przy dworcach Fabrycznym i Kaliskim o wyglądzie prawie europejskim”.

W tym samym czasie trwała budowa wielkiego parku Ludowego na Zdrowiu (ogrodnik arch. St. Rogowicz), zadrzewianie ulic, a w miarę ich regulacji tworzone były zieleńce. Mieszkańcy Łodzi korzystali „z pięknego 50 hektarowego parku im. ks. J. Poniatowskiego i mniejszych, ale równie urozmaitych parków im. Staszica oraz im. Sienkiewicza”.

Jaki jest obecny stan tych zielonych komponowanych przez człowieka tworów natury, jak skwery, zieleńce i parki? Jak pielęgnowane są zielone „perełki” i skwery o prawie europejskim charakterze? Jak ocenić całość łódzkiej szaty roślinnej? Niełatwo dać odpowiedź na tak wiele i trudnych pytań.

Interwencje telefoniczne i osobiste w urzędach, organizacjach społecznych (Liga Ochrony Przyrody, Straż Ochrony Przyrody), komisjach ochrony środowiska (Stronnictwo Demokratyczne i Towarzystwo Przyjaciół Łodzi), listy do redakcji łódzkich gazet, radia oraz telewizji, są wyrazami stałej czujności i gotowości obrony każdego drzewa i krzewu. Zanieczyszczenia atmosferyczne, a głównie spaliny samochodowe oraz zanieczyszczenia z zakładniczymi przyczynami pogarszającymi warunki ich egzystencji. Dopiero drzewa prawie pomnikowe mają wartość dla krajobrazu i dla mikroklimatu.

Zieleń jest bardzo znaczącą inwestycją w mieście, którą trzeba cenić na równi z innymi, a nawet wyżej. Łatwiej odbudować pod podstaw zabytkowy obiekt, niż doczekać się wyrosnięcia dorodnego drzewa, które można byłoby uznać za pomnik przyrody. Zieleń wysoka, komponowana przez człowieka, wymaga ciągłych zabiegów pielęgnacyjnych i uzupełnień. Trawniki należy systematycznie kosić, rabaty kwietne ciągle odnawiać i pielęgnować, a drzewa przycinać i kształtować ich korony.

Mieszkańcom Łodzi i całej aglomeracji potrzeba dynamicznego wzrostu terenów zielonych o takiej organizacji i strukturze, które zaspokoiłyby potrzeby tej wielkiej jednostki osadniczo-przemysłowej. Ochroną i kształtowaniem należy nie tylko zieleni, ale całe środowisko przyrodnicze, a te zagadnienia wykraczają daleko poza sprawy pojedynczych drzew, przypadkowych i ciasnich skwerów oraz małych geometrycznych parków, choć i one są istotnymi składnikami układów przestrzennych. Już dziś należy myśleć o utworzeniu wokół aglomeracji pierścienia zieleni, rodzaju zespołu leśnego o charakterze strefy ochronnej, zapewniającej wypoczynek i relaks.

Warto wiedzieć, że w Łodzi na jednego mieszkańca przypada ok 9 m kw. zieleni, w Śródmieściu tylko 2,6 m kw, a norma krajowa wynosi 15 m kw. Te dane mówią same za siebie. Łódź pozostaje daleko za Warszawą, Poznaniem, Wrocławiem, Szczecinem, Lublinem i innymi większymi miastami.

W mieście zapyłonym, czarnym, o rachitycznych drzewkach na ul. Piotrkowskiej, zasuszonych krzewach w Śródmieściu, zasolonych trawnikach, systematycznie uszczuplanych powierzchniach parków, dbałość o zieleni jest koniecznością i potrzebą czasu. Mądrość człowieka winna łączyć się z mądrością natury, by żyli ludzie muszą żyć drzewa, gdyż cywilizacja nie może egzystować bez nich. Człowiek potrzebuje zieleni, lasu i drzew.

JAN T. SICIŃSKI

KTO CHCIAŁBY ZOSTAĆ SCENARZYSTĄ

Zaoczne Wyższe Zawodowe Studium SCENARIUSZOWE działa jako wspólne przedsięwzięcie Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi oraz Przedsiębiorstwa Realizacji Filmów „ZESPOŁY FILMOWE”.

W czasie czterech semestrów (2 lata) studenci opracowują pod kierownictwem pedagogów adaptację opowiadania, utworu powieściowego, scenariusza filmowego nowelowego, scenariusza filmu fabularnego.

Zajęcia odbywają się metodą miesięcznych zgrupowań (4 dni w miesiącu). W program studiów włączone są 2-3-tygodniowe praktyki na planie filmowym. Studentom umożliwiające zostaną bezpośrednie kontakty z twórcami filmowymi i telewizyjnymi.

Kandydaci powinni posiadać wykształcenie co najmniej średnie oraz nie przekroczyć 35 rok życia. Powinni złożyć:

- oryginalne prace literackie w trzech egzemplarzach maszynopisu (powieść, nowela, opowiadanie, reportaż, scenariusz, utwór dramatyczny) publikowane lub nie publikowane. W przypadku form większych — 1 tekst (w formach mniejszych 2-3 teksty).
- życiorys wraz z informacją o dotychczasowym dorobku twórczym.
- podanie o przyjęcie na Studium wraz z dokumentami wymagany mi do ubiegających się o przyjęcie na studia wyższe (kwestionariusz osobowy, świadectwo wykształcenia, trzy fotografie, życiorys).
- jeśli kandydat posiada stałe miejsce pracy — zgodę zakładu pracy na podjęcie studiów zaocznych.

Dokumenty oraz prace należy nadsyłać pod adresem: Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna — Studia Zaoczne — ul. Targowa 61/63 90-323 Łódź, w terminie do końca czerwca 1986 r.

Egzamin na Studium składa się z dwóch eliminacji:

I. — obejmuje ocenę prac twórczych złożonych przez kandydata (bez udziału kandydata).

II. — obejmuje: 1. pisemne zadanie scenariuszowe sprawdzające m.in. umiejętność filmowego widzenia i konstruowania dialogu, 2. egzamin ustny — sprawdzający ogólną orientację kandydata w problematyce filmowej.

Zajęcia dydaktyczne Studium prowadzone będą w Warszawie i rozpoczną się w październiku 1986 r.

Szczegółowych informacji udziela Sekretariat PWSFTvT w Łodzi — ul. Targowa 61/63, tel. centr. 74-39-43 wew. 16 oraz Sekretariat Studium Scenariuszowego PRF „Zespoły Filmowe” w Warszawie — ul. Puławska 61, tel. 45-50-24 lub 45-40-41 wew. 291.

ŁUDZIE, ŚMIEJĄ SIĘ Z SIEBIE

Polskie filmy fabularne (zwłaszcza telewizyjne) dzielą się na bardzo złe i dobre. Niestety, tych drugich jest mało i rzadko pojawiają się na dużym bądź małym ekranie. Toteż z nieufnością zasiadamy przed telewizorem w pierwszy dzień świąt, aby obejrzeć polski film Kondratiuka „Big-bang” (lub wyłączyć telewizor). Dobra obsada aktorska potęgowała mój sceptycyzm i... zostałem miło zaskoczony. Co prawda można filmowi wiele zarzucić, a to, że Janusz Gajos przypomina trochę pana Turckiego z kabaretu Olgi Lipińskiej, a to, że temat wyeksploatowany etc., ale obraz jako całość według mnie, broni się przed rozmaitymi zastrzeżeniami.

W filmie wyodrębniłem dwie warstwy. Pierwsza — to lekka farsa społeczno-obyczajowa, którą nazwałbym (parafrazując przesłanie do Ziemiian porwanego przez kosmitów pana Kazimierza) „Ludzie, śmieją się”. Druga — to już poważny dramat traktujący o sensie egzystencji ludzkości i jej postępie („Ludzie, opamiętajcie się”). Co właściwie świadczy o tym, że zaliczyłem film Kondratiuka do filmów dobrych? Po pierwsze, to umiejętnie potęgowanie nastroju — od sennie i banalnie rozpoczynającej się akcji (lądowanie UFO na chłopskim polu), groteskowych przygotowań do przyjęcia kosmitów (musimy pokazać ziemską kulturę — litry wódki, saksofon do odegrania „Sto lat”, pastuch — pan Kazimierz mający przemówić do kosmitów, jako że „zna parę języków” itp.), aż do „filozoficznych” dysput zakończonych ogólnym rozczarowaniem („pogardzili mną”, „nie zapoznałam kosmitów”). Po drugie, pseudofilozofia wywołana prawdziwą zadumą nad kondycją intelektualno-etyczną przeciętnego człowieka, nad polskością i o czym już pisałem, nad tym, dokąd zmierzamy jako ludzkość. Czy człowiek został stworzony z „gliny z dodatkami gówna”, czy nie można wszystkich produkowanych bomb „zwieźć na złom i zrobić z tego części zamiennych do maszyn”, do czego jest zdolny człowiek (do micia się mydłem zrobionym z drugiego człowieka, do Hiroszimy, Oświęcimia, Nagasaki), czym się mamy pochwalić przed gośćmi z kosmosu — przed sobą. Pytanie jest znacznie więcej. Pretekstem, aby stawiać te fundamentalne w dzisiejszych czasach pytania był przyłot kosmitów do polskiej wsi (z całym jej kulturowym). Dobry każdy pretekst, aby krzyknąć „Ludzie, opamiętajcie się”.

MAREK CZUKO

KONKURS NA PRZEKŁAD POETYCKI

Zarząd Łódzki Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej, Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich Oddział w Łodzi, Polskie Towarzystwo Ruseologiczne Oddział w Łodzi oraz Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi ogłaszają konkurs otwarty na przekład poetycki z rosyjskiej poezji radzieckiej.

W konkursie może wziąć udział każdy, kto nadesłanie zestaw trzech przełożonych przez siebie z oryginału rosyjskiego utworów poetyckich, jednakoż z wyłączeniem tłumaczy zrzeszonych w Związku Literatów Polskich, Stowarzyszeniu Autorów Polskich lub Stowarzyszeniu Tłumaczy Polskich.

Dopuszcza się możliwość nadesłania najwyżej czterech zestawów jednego tłumacza w oddzielnych kopertach opatrzonych różnymi godłami, w każdym jednak wypadku obowiązującą dołączenie oryginałów rosyjskich (maszynopis, odbitka kserograficzna lub czytelny rękopis z podaniem źródła: wydawca i rok wydania; czasopismo, numer i rocznik), aby umożliwić jury ocenę jakości przekładu.

Prace konkursowe w trzech egzemplarzach opatrzone godłem należy nadsyłać pod adresem: Zarząd Łódzki TPPR, ul. Narutowicza 48, 90-135 Łódź, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs na przekład poetycki”. W innej, zamkniętej kopercie dołączonej do zestawu należy podać swoje dane personalne, uwzględniające nazwisko i imię, wiek, zawód oraz adres.

Nadesłane prace będą ocenione przez jury, którego skład zostanie podany do wiadomości publicznej w terminie późniejszym. Sad konkursowy przyzna za najwartościowsze artystycznie przekłady następujące nagrody: I nagroda — 15.000 zł, II nagroda — 10.000 zł, III nagroda — 5.000 zł. Jury zastrzega sobie jednakże możliwość innego podziału nagród lub ich nieprzyznania.

Termin składania prac konkursowych upływa 15 października 1986 r. (decyduje data stempla pocztowego). Konkurs zostanie rozstrzygnięty w styczniu 1987 r.

Tłumacze zachowują wszystkie prawa autorskie do przełożonych przez siebie utworów. Prace nagrodzone i wyróżnione będą rekomendowane do druku za osobnym wynagrodzeniem.

Laureatom konkursu przysługują pierwszeństwo we wstąpieniu do Koła Młodych przy Oddziale Łódzkim Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich.

POMARZYĆ W... ŁAŃCUCIE

Łańcut, miasteczko słynące z magnackiej siedziby, zamienionej po wojnie na muzeum wnętrz pałacowych, leży na szlaku turystycznym prowadzącym w Bieszczady. Zamek kusi zwiedzających nie tylko unikalną kolekcją „powozów”, ale całą artystyczną atmosferą. Tradycje muzyczne bowiem, zapoczątkowane przez księżną marszałkową Izabellą Lubomirską są do dziś pieczołowicie

podtrzymywane. Turysta ma możliwość zobaczenia przepychu i bogactwa wnętrza w różnych stylach z równocześnie swobodą i lekkością w ich urządzeniu. Stare fortepiany są ozdobą każdego niemal salonu i saloniku. Śliska tła mozaikowych parkietów odbija kryształowe żyrandole. Gdzieniedzie rozrzucone w nieładzie książki i czasopisma. Na sześciu, niby przez zapomnienie zostawiony tiulowy szal. Przy klawikordzie lub fortepianie otwarte nuty z zamazystym podpisem Betka Potocka, a co najwyraźniej rzuca się w oczy, to kwiaty — piękne bukiety doposażone kolorem i kształtem do wnętrza. Te kompozycje kwiatowe postawiane w artystycznym nieładzie w wazonach i flakonach, różne w różnych porach roku są nierozdzielnie związane z architekturą i wystrojem.

Ile się jednak trzeba napracować, żeby takie ogromne wnętrza urządzić i utrzymać w czystości, tego już turysta nie zauważa. Duszą i sercem jest tu kustosz wnętrz — Jadwiga Dziubowa. Sama pilnuje każdego szczegółu. Jest też autorką tych pięknych kwiatowych kompozycji. — Żywe kwiaty stawiam zawsze w autentycznych wnętrzach, natomiast suche w neostylach — mówi pani kustosz. Suche bukiety mają przy tym naturalny kolor: czerwień, purpurę czy brąz. Róże pasują do rokoka, a fiołki do klasycyzmu, nigdy odwrotnie.

Piękno wnętrza to również ich czystość. Sprzątanie jest tutaj pewnym rytuałem, i tak jak za czasów Potockich, ostatnich właścicieli — nieodłączną częścią pałacowej egzystencji. W czasach ordynatów na początku roku wyjeżdżano za granicę i wtedy odbywały się generalne porządki. Teraz wprowadzić nikt już nie wyjeżdża, ale tradycja jest tradycją. Zaczyna się sprzątanie w grudniu, a kończy w końcu lutego, przed otwarciem sezonu turystycznego. Charakterystyczne jest stosowanie dawnych metod i narzędzi. Pracują przy tym starzy specjaliści, zatrudniani przez Alfreda Potockiego, posiadający dużą wiedzę i umiejętność w tej dziedzinie. I tak najpierw omiata się ściany i to nie nowoczesnymi odkurzacami, ale tradycyjną miotłą. Potem woskuje się parkiety, a dopiero na końcu myje wszystkie blachy kominkowe, ozdoby i porcelanę i to zwykłym szarym mydłem, któremu nie dorówna żaden proszek ani szampon.

A powracając do tych przepięknych lśniących parkietów, nikt tak nie potrafi ich zakonserwować jak stary fachowiec. Woskowa kulka rysuje na wzdłuż klepek tysiące drobnych kresiek. Potem specjalną płaską szczotką z końskiego włosia wciera wosk w drewno. Następnie trzeba powierzchnię wyfroterować, po czym błyszczącą już posadzkę przetrzeć naftą. Nafta nie chwytą bowiem kurzu i dodaje połysku. Tak samo można izolować powierzchnie starych mebli. Tak więc w starych wnętrzach stare metody sprzątania, które czasem mogą się przydać niejednej pani domu.

Chociaż widok przepychu napawa często zazdrością, przypominają się aktualne kłopoty finansowe, czy brak artykułów pierwszej potrzeby, to jednak w Łańcucie można odpocząć. Nikt przecież nie zabroni pomarzyć sobie o takim „małym, skromnym domku”.

JOANNA SOKOŁOWSKA

„MOJE WYOBRAZENIE — POKÓJ”

W związku z obchodami II Dni Kultury Robotniczej, które w tym roku będą trwały od 16 do 26 maja został ogłoszony konkurs plastyczny, zorganizowany przez RSTK, Federację NSZZ Przemysłu Lekkiego i redakcją „Naszego Życia” w Łodzi.

Na konkurs wpłynęło 14 prac twórców amatorów z terenu kraju. Jury konkursu postanowiło nie przyznać I, II i III nagrody, natomiast przyznało trzy równorzędne wyróżnienia, które otrzymali: Katarzyna Lange z Łodzi, Arkadiusz Czarny z Konina i Maria Wodzyńska z Łodzi.

Wystawa prac konkursowych prezentowana jest od 1 do 26 maja w Klubie Osiedlowym SM „Chojny”.

„CZY NIE MOŻNA BYŁO INACZEJ?”

Nawiązując do artykułu zamieszczonego w numerze 14 „Odgłosów” z dnia 5 kwietnia 1986 r. pt. „Czy nie można było inaczej?” — Dyrekcja Zespołu Opieki Zdrowotnej w Zgierzu zawiadamia co następuje:

Pacjentka ob. Maria Gralak przyjęta została po raz kolejny do tutejszego Szpitala 1985-05-28, w stanie znacznego wychudzenia i zaniechania. W czasie pobytu jej w szpitalu przeprowadzono aktywne leczenie, uzyskując po około 3 miesiącach ustąpienie doznań psychiatrycznych. Pozostawała ona jednak nadal w szpitalu przez następne 3 miesiące blokując niepotrzebnie łóżko szpitalne dla chorych wymagających leczenia szpitalnego, ze względu na całkowity brak zainteresowania najbliższej rodziny jej losem. Ponieważ coraz częściej dopytywała się o termin wypisania ze szpitala a brak było podstaw do jej dalszej hospitalizacji, lekarz leczący dr. Jolanta Gozdalska zwróciła się pismem do meża pacjentki z żądaniem zgłoszenia się do Szpitala, celem wspólnego omówienia dalszego postępowania z chora.

Mąż pacjentki zgłosił się po raz pierwszy i jedyny w przeciągu jej pobytu w szpitalu i skontaktował się z lekarzem prowadzącym. W trakcie spotkania omówiono problemy aktualnego stanu zdrowia pacjentki oraz perspektywę jej dalszego leczenia i opieki w warunkach domowych. Wspólnie ustalono termin i warunki wypisu chorej do domu.

W trakcie rozmowy mąż pacjentki nie przedstawił lekarzowi trudności związanych z dojazdem do domu. Nie ujawnił zainteresowania ewentualnym uzyskaniem przewozu karetą pogotowia. Nie wymagała ona co prawda przewozu środkami transportu sanitarnego ani asysty pracowników służby zdrowia. Mogła pojechać taksówką lub każdym innym środkiem lokomocji w towarzystwie rodziny. Przesłuchana pielęgniarka dyżurna kategorycznie zaprzeczyła, aby udzielała informacji o warunkach korzystania z karet pogotowia Ratunkowego.

Niesprzyjająca aura w dniu wypisania chorej do domu oraz pogarszanie się przez to warunków podróży spowodowały spienienie się kłopotów i napięć związanych z zabraniami przez rodzinę chorej do domu.

Lek. ANDRZEJ DRZEWICKI
(dyrektor ZOZ w Zgierzu)

LEGENDA KLANU KENNEDYCH

W serii „Wszystko o...” Krajowej Agencji Wydawniczej ukazała się interesująca pozycja: „Legenda klanu Kennedych” autorstwa Andrzeja Feliksa Żmudy. Autor ciekawie opisuje dzieje rodziny Kennedych poczynając od połowy XIX wieku. Osobne rozdziały poświęca Josephowi — ojcu, prezydentowi Johnowi, senatorom Robertowi i Edwardowi Kennedy'emu. Mamy też informacje o najstarszym z braci — Josephie — juniorze, siostrach i ich rodzinach, a także o dzieciach — nowym pokoleniu — nowych nadziejach rodziny. A jest tych potomków obecnie dwudziestu ośmiu.

Niestety, książka zawiera błędy.

1. A. F. Żmuda nie może zdecydować się, którym z kolei prezydentem był John F. Kennedy: dwa razy podaje, że 34 (s. 11, 99), potem prawidłowo 12 35 (s. 66), by wreszcie podać, iż L. Johnson został zaprzysiężony jako 35 prezydent USA (s. 148).

2. Myśli Josepha Kennedy'ego skierowane były na dzień 20 stycznia, a nie na 30 stycznia (s. 67) jako dzień prezydenckiej inauguracji syna.

3. Najbliższy współpracownik Eisenhowera to sekretarz stanu Herter, a nie Herber (s. 70).

4. Jako pierwsi ludzie na Księżycu swe stopy postawili Armstrong i Aldrin. Autor podaje, iż Irving i Armstrong (s. 85). Irving był na Księżycu w 1971 roku! (Wg Encyklopedii PWN: Irwin).

5. Lot Gagarina odbył się 12 kwietnia i trwał sto osiem minut. A. F. Żmuda podaje, iż 11 kwietnia (s. 83) i trwał dziewięćdziesiąt minut (s. 96).

6. Władze ZSRR zwolniły dwóch pilotów z RB47 a nie U-2 (s. 74). Jedyny pilot z U-2 Powers był uwolniony później.

7. Na str. 111 czytamy: „Przy końcu sierpnia rozpoczynało się XVI Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych. Atmosfera była przygnębiająca. Poglębiała ją wiadomość o nagłej śmierci sekretarza generalnego ONZ Daga Hammarskjölda, którego samolot uległ wypadkowi w Kongo”. Tymczasem w 1961 roku XVI sesja ZO ONZ rozpoczęła się 19 września, a D. Hammarskjöld zginął w katastrofie koło Ndola w Rodezji Płn. (obecnie Zambia).

8. 22 listopada 1963 roku prezydent Kennedy liczył już 46 i pół roku życia, a nie 45 lat (s. 142).

9. Pastor M. L. King został zamordowany w początkach kwietnia. Robert Kennedy w początkach czerwca — dla autora książki między jednym a drugim zabójstwem minęły trzy miesiące (s. 178), gdy w rzeczywistości dwa miesiące.

Pomimo tych braków należy wyrazić radość z wydania tej książki, która szybko zniknęła z księgarń.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

JAK ZDOBYĆ „SZMAL”?

Nie mam nic przeciwko temu, że niektórzy bogacą się, o ile czyni, to drogą uczciwą. Ale istnieją sytuacje, w których nie trzeba żadnego stosowania wysiłku, a pieniądze syją się same do rąk.

Oto przykład. Przedsiębiorstwo „Cezal”, które ma na celu rozprowadzanie przyrządów medycznych, założyło sklep, mający sprzedawać klientom te przyrządy w detalicznych ilościach. Sklep został zaopatrzony także w bloczek rachunkowy z pieczęcią, że „sklep jest uprawniony do sprzedaży pozarynkowej”. W języku handlowym znaczy to, że na każde żądanie klienta reprezentującego placówkę państwową winien jest wystawić rachunek. Tak jest w teorii, a w praktyce?

Od dłuższego czasu brakowało w Łodzi igieł jednorazowego użytku do robienia zastrzyków. Igiły takie były, ale na rynku, gdzie cena ich przechodziła wszelkie granice stosowanych marż. Niedawno takie igły pojawiły się w sklepie „Cezal”, lecz sprzedawano je wyłącznie bez rachunku i to w żądanych ilościach nieraz przekraczających kilkaset sztuk.

Pozwoliłem sobie zainteresować się dochodami osób, które kupując te igły sprzedają je na rynku. Cena jednej sztuki takiej igły w „Cezalu” wynosiła 4,20 zł. Na rynku sprzedający żąda po 25 a nawet 30 zł za sztukę. Obliczywszy, że w „Cezalu” dana osoba zakupiła 500 szt. takich igieł łatwo obliczyć, że o ile sprzedawała je nawet po 25 złotych, to zarobiła na takiej „transakcji” około 10 tysięcy złotych.

Podobnie jest zresztą z innymi drobnymi przedmiotami. Np. kamienie do zapalniczek, które zniknęły z kiosków „Ruchu”, a natomiast pojawiły się na rynku po paskarskiej cenie.

To są dwa przykłady jak niektórzy, którzy w swoim życiu nie zasmakowali pracy, żerują na społeczeństwie i jak dotychczas uchodzą im to bezkarnie.

MIECZYSLAW KOZAK

CENTRUM KULTURY MŁODYCH PRZEDŁUŻA TERMIN

Centrum Kultury Młodych w Łodzi informuje, że na prośbę zainteresowanych przedłuża termin nadsyłania prac w konkursie na opowiadanie lub scenariusz w dziale filmu, teatru, kabaretu i słuchowiska radiowego — do dnia 5 czerwca 1986 r. Przypominam, że konkurs został rozpisany wyłącznie dla uczniów szkół średnich z terenu woj. łódzkiego.

Na konkurs należy nadesłać opowiadanie o objętości do 10 stron znormalizowanego maszynopisu lub scenariusz do 15 stron, o tematyce dowolnej. Nadesłane prace nie mogą być publikowane, jak również nagradzane z wyjątkiem realizacji dokonanych w szkole. Prace oznaczone nazwiskiem, datą urodzenia, pełną nazwą szkoły, adresem domowym i szkoły — należy przesać w 4 egz. maszynopisu pod adresem: Centrum Kultury Młodych w Łodzi, 93-578 ul. Wróblewskiego 28/30 z dopiskiem „Konkurs Literacki uczniów”.

Nagrodą będzie realizacja najlepszych prac. Jury dodatkowe przyzna po 1 nagrodzie pieniężnej w wysokości 5.000 zł w kat. opowiadań i w kat. scenariuszy. Autor najlepszego nagrodzonego tekstu w kategorii opowiadań będzie miał zapewniony debiut prozatorski w serii wydawniczej „Biblioteka Centrum Młodych” w roku 1986.

O terminie rozstrzygnięcia konkursu organizatorzy powiadomią za pośrednictwem prasy, a autorzy prac nagrodzonych otrzymają powiadomienia listowne wraz z zaproszeniem na imprezę literacką i rozstrzygnięcie oficjalne konkursu.

Dyrektor
MGR EWA MILLER

WŁADYSŁAW KAMIŃSKI — POETA ROBOTNICZY

Gdyby dożył dni dzisiejszych, obchodzilibyśmy jubileusz 80-lecia jego pracy twórczej. Pierwszy tomik jego poezji „Ziemio! Ziemio!” ukazał się w roku 1936. Byliśmy sobie bliscy... zyciorysami. Urodził się (również na Chojnach) w r. 1912, był więc ode mnie trzy lata młodszy, ukończył tę samą co i ja „budę” — Gimnazjum Miejskie im. J. Piłsudskiego (tyle że dwa lata po mnie w r. 1930). Studiował na Wydziale Humanistycznym Łódzkiego Oddziału Wojskowej Wszechnicy Polskiej. Też razem z mną. Po ukończeniu Gimnazjum był przez dwa lata bezrobotnym.

Jego dorobek literacki — to 3 tomiki poezji (oprócz wspomnianego już pierwszego z roku 1936 „Ziemio! Ziemio!”) drugi — „Młodość bezrobotna” Poemat życia, Łódź 1937 i trzeci — „Traugutt”. Poemat w 75 rocznicę (śmierci — przyp. M.W.) Romualda Traugutta.

W r. 1933 Kamiński otrzymuje wreszcie pracę jako urzędnik w Izbie Skarbowej, od r. 1938 przenosi się do Rozgłośni Polskiego Radia. Od r. 1937, kiedy powstaje Grupa Literacko-Artystyczna „Osnowa” Władysław Kamiński jest jej stałym współtwórcą. „Osnowa” wydaje swój organ „Osnowy Literackie”, których ukazało się 5 numerów (ostatni — styczeń—luty 1939).

W „Osnowach Literackich” oprócz wierszy wydrukował fragmenty dwóch powieści: „Na granicy życia i śmierci” i „Dyrektor Zadruha”. Poza tym w pierwszym numerze „Osnów” (maj—czerwiec 1939) ukazał się jego artykuł pt. „Kilka słów o założeniach poezji współczesnej”.

Władka Kamińskiego pamiętam dość dobrze. Czasem chodziliśmy do szkoły razem. Mieszkał również na Chojnach, na ulicy Odyńca. Dopiero po kilku latach przeprowadził się, niedaleko zresztą, na ulicę Kraszewskiego. W szkole cechowała go skromność, nieśmiałość, jakiś „dystans” od kolegów-inteligencjaków. Zawsze uśmiechnięty, ale dziwnym uśmiechem, jakby w rodzaju „przepraszam, że żyję”. Bliskie mu było środowisko robotnicze, proletariackie. Ale również bliska była mu prostota, uczciwość. Odczuwał więc nie tylko z robotnikami, z którymi w latach bezrobocia okresowo pracował, ale i z tymi sprzed lat trzydziestu, z lat Rewolucji.

W wierszu „Zamach” pisał:

„Z dali
nadjeżdża wóz.
Na woźe sześciu żołnierzy
rubli wiezionych strzeże...
Czy tylko bomba wybuchnie?
Czujesz rytm serca?
Bije?
Co będzie:
stryczek czy kraty?
...Nadejdzie jednak
dzień zapłaty!” (...)

Podtytuł „Młodość bezrobotna” — Poemat życia przywołał na myśl los wielu ludzi tamtych lat — bohaterów „Wspólnego pokąju”.

„Znow ściełę pensję moją...
Znow mniej — znowu nie starczy...
Boję się — nie wiem — powiedzieć...
A może?... powiedzieć?... nie!... nie!...
Oczy to twoje najmilsze,
te oczy twoje kochane
same mą boleść przejrzały
te oczy zaciłowane.

Pałta, pałta nie mamy,
bielizna się wydarła,
na obiad jedno danie zjeść można
i zimno, zimno w mieszkaniu!” (...)

Poemat „Traugutt” napisany w 75 rocznicę stracenia ostatniego dyktatora Powstania Styczniowego tchnie patriotyzmem, ale i wiarą w ciągłość dzieł.

Krótki był tytuł poetycki „Osnów Literackich”, ale przecież podziwiać można ich ruchliwość, prężność, inicjatywę. Ta grupa poetycka nie czekała na subwencje, nagrody, dotacje, ale potrafiła sama sobie stawiać wymagania ambitne i popularyzujące poezję zarazem. „Poeci — wytwórcy poezji — muszą iść na ustępstwa. Trzeba odbiorcom podać poezję w jak najpiękniejszej szacie i przystępnej formie. Na wieczorach autorskich, w audycjach literackich, w poszczególnych środowiskach pracy, w ośrodkach kultury — patroli literackie winny walczyć o należne prawo dla poezji.

Przez bezpośrednie oddziaływanie można sobie wyrobić czytelników poezji, ukształtować smak poetycki i zainteresować poezją słuchaczy”... — pisał Wł. Kamiński w „Kilku słowach o założeniach poezji współczesnej” („Osnowy Literackie” 1938 nr 1).

Po wybuchu wojny, we wrześniu 1939 r. wraz z kolegami i koleżankami z Łódzkiej Rozgłośni ewakuuje się w stronę granicy rumuńskiej. Po rozbiciu transportu i rozproszeniu się radiowców udał się na północ, do Wilna i tu ślad po nim zaginął. Zostało tylko wspomnienie o człowieku — poecie, pisarzu, człowieku dobrym, szlachetnym, dobrym Polaku i zycznym koleźce.

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI

WYCHOWANIE DZIECKA

22 kwietnia 1986 r. przysłuchiwałem się audycji radiowej pt. „Cztery pory roku”. Toczyła się dyskusja na temat wychowywania dzieci szkół podstawowych przez rodziców. Sprawa dotyczyła złożenia pewnej sumy pieniędzy na drobne wydatki córki, syna za dobre postępy w nauce, prace domowe itp. itd.

Jestem przeciwny wydawaniu pieniędzy przez dzieci na same tylko przyjemności, preferowaniu jedynie dobrych stopni, płacenia za nie. Jeżeli już podejmujemy taką decyzję, to należy również potraczać za dwójki. Podobną zasadą stosuję od wielu już lat do własnego syna, obecnie ucznia kl. V szkoły podstawowej. Sprzedaj makulatury, pustych butelek staje się jedną z dodatkowych form uzyskiwania pieniędzy, składanych na książeczkę SKO. Mój syn zna wartość pieniądza i nie wydaje uciulanych groszy na same przyjemności, co więcej sam wzbrania się przed kupieniem mu słodyczy, innych drobiazgów, bowiem wie, że czasami ze skromnej renty inwalidzkiej, może zabraknąć pieniędzy na miękko i chleb. O wszystkich sprawach rozmawiam z nim, jak z dorosłym i to przynosi dobre efekty wychowawcze.

Kształtowanie osobowości naszego dziecka, jego podstaw moralnych staje się równie ważne, jak sama nauka w szkole. Sądzę, że tym właśnie problemem winni zająć się nie tylko rodzice, lecz i szkoła. Być może wówczas unikniemy w przyszłości wszelkiego rodzaju rozczarowań, niezrealizowanych, zawieszonych ambicji rodziców i dziecka. Wiadomo powszechnie i o tym się mówi od lat, że dziecko najlepiej wychowuje się przez pracę. Ale to pozostaje jedynie w sferze teorii... Praktyka prowadzi do zgola odmiennych celów wychowawczych. Gdzie tkwią bariery i przeszkody?

Cały szkopuł tkwi w tym, by nie zmarnować zapалу i chęci do pracy, zarobionych pieniędzy na spędzenie wakacji. Dziś nie ma rozmieszczeń gazet, czyściutów... Trzeba i należy pomóc dziewczętom i chłopcom, nie tylko mówić o wychowaniu przez pracę.

JAN WIŚNIEWSKI

„KTO MI ZMIERZY CIŚNIENIE?”

W związku z listem ob. Henryki Bińkowskiej dotyczącym udzielenia pomocy lekarskiej przez WSPR w Łodzi — Podstaje w Aleksandrowie k. Łodzi (dotyczy zlecenia wyjazdu nr 2345 z 1986.03.13) — opublikowanym w tygodniku „Odgłosy” nr 15 z 1986.04.12. pt. „Kto mi zmierzy ciśnienie” — przesyłamy w załączeniu oświadczenie pacjentki złożone na tę okoliczność 29.04. 1986 r.

Treść powyższego oświadczenia pozostaje w jaskrawej sprzeczności z opublikowanym listem.

Prosimy zatem o zamieszczenie w tygodniku odpowiedniego sprostowania. Nadmieniamy, że znajdująca się w aktach WSPR karta zlecenia wyjazdu potwierdza fakt dokładnego przebadania pacjentki przez lekarza, łącznie ze zmierzaniem ciśnienia i propozycją przewiezienia do szpitala.

LEK. MED. JERZY OKIŃCZYK
(Dyrektor Wojewódzkiej Stacji
Pogotowia Ratunkowego w Łodzi)

W załączeniu: oświadczenie ob. H. Bińkowskiej z 29.04.86 r.
Otrzymują: Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej, Urząd Miasta Łodzi, Łódź, al. Schillera 8, wraz z oświadczeniem ob. H. Bińkowskiej z 29.04.86 r.

OŚWIADCZENIE

Niniejszym oświadczam, że treść zawarta w artykule — „Kto mi zmierzy ciśnienie?” — Odgłosy nr 15 z dn. 12.04.1986 r. nie odpowiada prawdzie i jest niezgodna ze stanem faktycznym. W czasie wizyty zespołu lek. Podstacji Pogotowia z Aleksandrowa w dniu 13.03.1986 r. — zostałam zbadana przez lek. Janę Otawską — zmierzono mi ciśnienie, podano leki przeciwbólowe, uspokajające oraz rozkurczowe, przepisano recepty na leki oraz zaproponowano mi leczenie w szpitalu. Na propozycję w.w. nie wyraziłam zgody, co potwierdziłam własnoręcznym podpisem w karcie chorobowej.

Za zgodność stwierdzam podpisem —
ob. Henryka Bińkowska
Aleksandrow Łódzki

Obecni świadkowie:
Siemba Henryk
29.IV.86 r.

OD REDAKCJI: Publikujemy list i „Oświadczenie” jakie otrzymaliśmy z Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego zgodnie z „Prawem prasowym”. Trudno nam jednak powstrzymać się przed wyrażeniem zdziwienia, jakie ten list i „Oświadczenie” wywołują. Zdziwienie nasze bierze się z faktu, że ta sama osoba najpierw pisze list do redakcji, skarżąc się na pracę pogotowia, a następnie wszystko odwołuje. Co więcej, to odwołanie następuje po przesłaniu dwóch miesięcy. Dlaczego? Co się z tym kryje? Uważamy, że sprawą powinien zająć się Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej UML, do którego zresztą dyrektor WSPR wysłał — jak to zaznaczył — kopię pisma i „Oświadczenia”.

Nie publikujemy natomiast listu Jana Otawskiego, gdyż list ten, obok próby wyjaśnienia sprawy, zawiera insynuacje oraz narusza tajemnicę lekarską. Lekarzowi przecież nie wolno ujawniać choroby — jaką by ona nie była — ze świadomością, że może to w jakikolwiek sposób niekorzystnie wpłynąć na sytuację pacjenta.

Doliński pilnie obserwował salę. Wiele spośród obecnych na Plenum KW miało przed sobą ostatni numer Gazety, otwarty na drugiej stronie. Właśnie ukezał się komentując wydział dyscypliny PZPN stanowiący finał wydarzeń na Okęciu. Boniek i Terlecki potakiwali z wielką ostrożnością: otrzymali roczną dyskwalifikację oraz pewne kary dodatkowe. Ośmiomiesięczną dyskwalifikację ukarano Zmudę i Miynarczyka. Stosunkowo najlepiej wypadł Smolarek: dwumiesięczna dyskwalifikacja, ale zawieszona na pół roku.

Wydział dyscypliny PZPN m. in. uznał Józefa Miynarczyka winnym tego, że w godzinach nocnych w dniu 28 listopada 1980 r. wspólnie z Włodzimierzem Smolarkiem opuścili samowolnie hotel „Wera” w Warszawie, w którym zgromadzona była reprezentacja, udając się do restauracji „Adria” w Warszawie, gdzie spożywając alkohol, przebywał do godzin rannych dnia następnego.

Sprawa ta była bardzo głośna przed trzema tygodniami, zbuiwertowała opinię publiczną w kraju. Z niecierpliwością oczekiwano zajęcia stanowiska przez władze sportowe. Okazało się, że wydział dyscypliny PZPN stracił cierpliwość. Dostało się i trenerowi reprezentacji, Ryszardowi Kuleszy, który zresztą uprzednio złożył rezygnację ze stanowiska. Wydział dyscypliny postanowił nie przyjąć rezygnacji, ale po prostu odwołał Kuleszę z funkcji trenera.

W czasie przerwy w obradach więcej mówiono o tym wydarzeniu niż o samym przebiegu dyskusji.

— Bez Bonika, Zmudy i Miynarczyka leżymy kompletnie — załamany był Gnatowski. — Nie wiem, naprawdę nie wiem, czy trzeba było aż tak ostro?

— A dobrze im tak, bardzo dobrze! — bronił decyzji wydziału dyscypliny PZPN szef miejscowej cenzury, Kotowicz. — Nie zaprowadzimy porządku w sporcie, jeśli będziemy działać w rękawiczkach.

— Zaczniemy od porządków w prasie! — zaproponował Gnatowski, ale Kotowicz go zgasił: — Myślisz, że będę robił za propagandę? Wszystko chcesz zwałić na cenzurę, a sam umywa ręce? Ze tyś to niby taki cacy-cacy, nieba byś dziennikarzem przychylił, ale wcale, rozumiecie — w tej cenzurze siedzi ten drań Kotowicz, który bez kreslenia żyć nie może! Mówmy już lepiej o Boniku!

Podsześli do nich Poitawski, do którego dotarły ostatnie słowa Kotowicza.

— Widzę, że Boniek zdominował nasze obrady! A czytaliście • czym pisze Gazeta na czwartej stronie?

— Myślicie o Glazurze? — Kotowicz był po dokładnej rannej „prasówce”.

— No właśnie! Centralna Komisja Kontroli Partijnej nie elacka się teraz. Na razie Glazur wyleciał z partii za ten wielki domek letniskowy, ale na tym się nie skończy.

— Chyba powinniśmy brać przykład z góry! U nas też warto poniektórych dobrze skontrolować. A jeśli chodzi o Bonika... — Kotowicz nie dokończył, bo właśnie skończyła się przerwa. Wrócono do dyskusji plenarnej.

Głosy z terenu należały do najciekawszych. Doliński zauważył jednak, że jeśli atakowano imiennie, to nie miejscowych działaczy, ale działaczy centralnych, zwłaszcza tych, którzy nie pełnili już odpowiedzialnych stanowisk.

Atak na metody propagandy, krytyka formalizmu też były jakby zawieszona w próżni. Ani razu nie wymieniono nazwiska Gnatowskiego, choć pod adresem samego wydziału pretensje padały, w sumie jednak mało skonkretyzowane.

Doliński wiedział już od Pierwszego, że nastąpi zmiana na stanowisku sekretarza pracy ideowo-wychowawczej, bardzo był jednak ciekaw, kto zastąpi Gnatowskiego, toteż z niecierpliwością czekał na punkt: „sprawy organizacyjne”. Czekał długo, bo dyskusja przeciągnęła się do późnych godzin popołudniowych. Po jej zakończeniu podjęto uchwałę o podstawowych kierunkach pracy partyjnej.

Teraz poprosił o głos Poitawski i krótko poinformował o... rezygnacji złożonej przez Gnatowskiego. Zaproponował, aby tę rezygnację przyjęto. Jednocześnie Pierwszy zwrócił się o dokończenie, w skład Plenum i egzekutywy Dolińskiego oraz Zygmunta Millera i powierzenie temu ostatniemu spraw związanych z propagandą. Czyli miejsce po Gnatowskim miał zająć Miller.

O tej kandydaturze szepiano już przedtem, zastanawiano się jednak, czy Miller się zgodzi. Widocznie Pierwszy przełamał jego opory.

W życiorysie Millera, odczytanym przez Poitawskiego, znalazły się takie dane: urodzony w 1937 roku, pochodzenie robotnicze, wykształcenie wyższe, historyk, w partii od 1967 roku, docent, doktor, ostatnio — wykładowca historii nowożytnej na uniwersytecie.

Pytań do Millera nie było, ale w głosowaniu trzech członków KW wstrzymało się, przeciwników nie zanotowano, Doliński miał lepszy wynik: wszyscy byli za...

Po zakończeniu posiedzenia Poitawski zaprosił Millera i Dolińskiego do swego gabinetu. Sekretarka bardzo szybko podała kawę, najwidoczniej wszystko uprzednio zaplanowano.

— Czestujcie się! Chciałem, abyście się bliżej poznali, będziecie z sobą na co dzień współpracować — oświadczył Pierwszy pół żartem, pół serio.

— My się przecież znamy — uśmiechnął się Doliński. — Towarzyszu Miller publikował u nas artykuły.

— Aleście je solidnie skracali, czasem bez mojej wiedzy! — Gazeta nie z gumy, bywa, że trudno złapać autora. Nie wyrażaliście żadnych pretensji!

— Ja tam nie lubię się kłócić! Prasa partyjna to wielka podpora propagandy. Jestem za szczerą rozmową z czytelnikami. Musimy szukać nowych form kontaktu z ludźmi. I język naszej propagandy powinien się zmieniać. Dzisiaj sloganami nikogo nie przekonamy!

— Tak, tak... — przerwał Poitawski. — Z ust mi wyjęliście. W biuletynach „Solidarność” atakują nas coraz bardziej. Czasem to jest bardzo prymitywne, łatwo niektóre argumenty obalić. Musimy wyprzedzać tę propagandę i przede wszystkim bronić jedności partii. Za wszelką cenę!

Doliński z uwagą spoglądał na Millera. Jak wynikało z jego życiorysu, miał on 43 lata, nie wyglądał jednak na tyle. Buja szupryna, wysunięte czoło i głęboko osadzone oczy; szczupła figura, może nawet wyrażenie ze szczupła, wyraźnie go odmładzała. „Dobrze się trzyma” — pomyślał.

Tymczasem Poitawski przeszedł na ton bardziej bezpośredni. — Musiałem bardzo namawiać towarzysza Millera, aby się zgodził. Zastaniał się pracą naukową, bał się oderwania od uczelni, ale ja sadzę, że były jeszcze jakieś inne przyczyny jego ociągania się. Zgadłem, towarzyszu Zygmuncie?

Miller wolno mieszał cukier. Jakby namyślał się, ważył każde słowo, które miał wypowiedzieć.

— Tak, Nie będę ukrywał. Nie będę ukrywać teraz, kiedy już się stało. Przychodzi do pracy w aparacie jako ta przysłowiowa miotła. Będę musiał zaprowadzić trochę porządków i w samym wydziale i w całej propagandzie. Szeroko rozumianej. To mi nie zyska na popularności. A przecież przed nami kampania sprawozdawczo-wyborcza. Może być tak, że Murzyn zrobił swoje i Murzyn musi odejść...

— Nie patrzcie tak czarno! — przerwał Poitawski.

— Nie, towarzyszu sekretarzu, mówię całkiem szczerze. Wiem jednak, że zawsze będę mógł wrócić na uczelnię. Nie będziecie musieli szukać mi posady.

— Jak teraz muszę szukać Gnatowskiemu! Postanowiliśmy już, że pójdzie na zastępce do dyrektora „Polmożbytu”. Doliński nie chciał go wziąć do siebie, no i chyba miał rację.

— A w „Polmożbycie” da sobie radę? — Miller wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

— „Stuyvesant”... — przeczytał głośno Doliński. — Widzę, że sekretarz jest bardzo wymagający!

— Palcie, towarzyszu! To pozostałość z ostatniej podróży do RFN. Oczywiście kupowałem je w kraju. Tam ta paczka kosztuje teraz majątek — cztery marki.

— Długo byliście w Niemczech Zachodnich? Też się wybieralem, ale na razie nie mogę się wyrwać z redakcji.

— Tydzień. Tam sprawy polskie nie schodzą z pierwszych

stron gazet. Staliśmy się bardzo modni, chociaż te ich spekulacje... — machnął ręką.

Doliński spojrział na zegarek.

— Sekretarzu, przepraszam — poprawił się: — sekretarzu darujcie, ale ja muszę wyskoczyć do drukarni. Dopilnuję, aby wszystko grało.

— Dopilnujcie, dopilnujcie... A co to sami jesteście w redakcji? Wiem, wiem, pańskie oko konia tuczy! A jak oceniacie przebieg dzisiejszego Plenum?

— Mam mieszane uczucia, towarzyszu sekretarzu. Na dole mówi się daleko odważniej, po nazwisku, niczego nie owija się w bawełnę. A na naszej sali tak ciągle po staremu, w rękawiczkach jakby. Wśród członków KW jest za dużo dyrektorów, ludzi piastujących różne funkcje. Autentycznych robotników z produkcji mamy naprawdę niewiele. To się będzie musiało zmienić.

— Towarzyszu Miller podzielił pogląd redaktora?

— Oczywiście! Zauważyłem, że zawsze mówią ci sami. Mamy i tutaj etatowców, a przecież warto byłoby posłuchać i innych. Potrzebne nam takie martwe dusze?

Poitawski milczał.

W drukarni, jak zwykle, wszystko się przeciągnęło. Doliński wrócił do domu przed północą. Tutaj natrafił na niego Kazik.

— Słuchaj, tata, ganiasz i ganiasz, wcale nie mogę z tobą rozmawiać.

— Wiesz przecież, że było Plenum KW.

— Plenum, a nie ma kiedy pogadać o moim weselu. Wszystko jest dla ciebie ważniejsze. Dzisiaj był u nas Pszczoła z Majką.

MAREK ADAM JAWORSKI

Taniec w tunelu

(4)

— Co? Nie mi nie mówicie, że ma wpaść.

— Pszczoła wie, że jesteście zaganiani.

— No dobra, ale jak wy sobie wyobrażacie to wesele? Moim zdaniem trzeba to zrobić kameralnie. Nie czas na wystawne przyjęcia.

— My też tak uważamy, ale przecież w sumie z kilkanaście osób będzie.

— Słuchaj, Kazik, ja mam prośbę: róbcie wszystko tak, jak uważacie, pod warunkiem, że się góry podpisują. Niech mama weźmie forsz z PKO, ile tam potrzeba. Pszczoła ma jakieś chody na wsi, wsiadź do mego malucha, pojedź i załatw, co trzeba.

Ja teraz wcale nie mam do tego głowy. Ostatecznie to nie mój ślub. Zrozumiem mnie, człowieku!

— Nie ma wiele czasu!

— Wiem, że nie ma. I wiem też, że dzisiaj forsę to jeszcze nie zarcie. Jeśli... ja wiem... Jeśli dwadzieścia tysięcy nie wystarczy, bo tak liczę, to weźcie z książeczki więcej. Kazik, masz moje pełne poparcie, sympatię, przyjaźń, wszystko, ale nie wymagaj ode mnie za wiele. Ty wiesz, że ja chodzę ciągle niedospany? Jak długo można tak ciągnąć?

— Zrobię ci kanapkę i podam herbatę.

Kiedy Kazik wrócił z jedzeniem, nie usiłował już nawet budzić ojca. Przykrył jednak kanapki drugim talerzem, a herbatę wlał do termosu. Myślał, że może się przydać w środku nocy. Rzeczywiście przydała się, ale już na śniadanie.

— Idziesz do redakcji? — Baśka spoglądała na męża ze współczuciem. — Wyglądasz mizernie.

— Idę. A dlaczego pytasz?

— Przecież dzisiaj wigilia. Zrobiliś już świąteczny numer?

— Zrobiłem, zrobiłem, chociaż przez to Plenum musiałem wszystko wywracać do góry nogami. Dzisiaj muszę przygotować podstawowe materiały do tego numeru, który ukaże się zaraz po świętach.

— Co ty nie masz ludzi? Wszystko sam musisz robić? Jesteś nemiłosiłny, ciągle sądzisz, że bez ciebie to się cała redakcja zawali.

— Pocałuj mnie i pogratuluj wyboru. Przeszedłem bez skreśleń!

W redakcji było pustawo. Bocianowicz czekał już wyraźnie zniecierpliwiony.

— Szeffe, zróbmy szybko ten numer! Ja przygotowałem pewne materiały agencyjne.

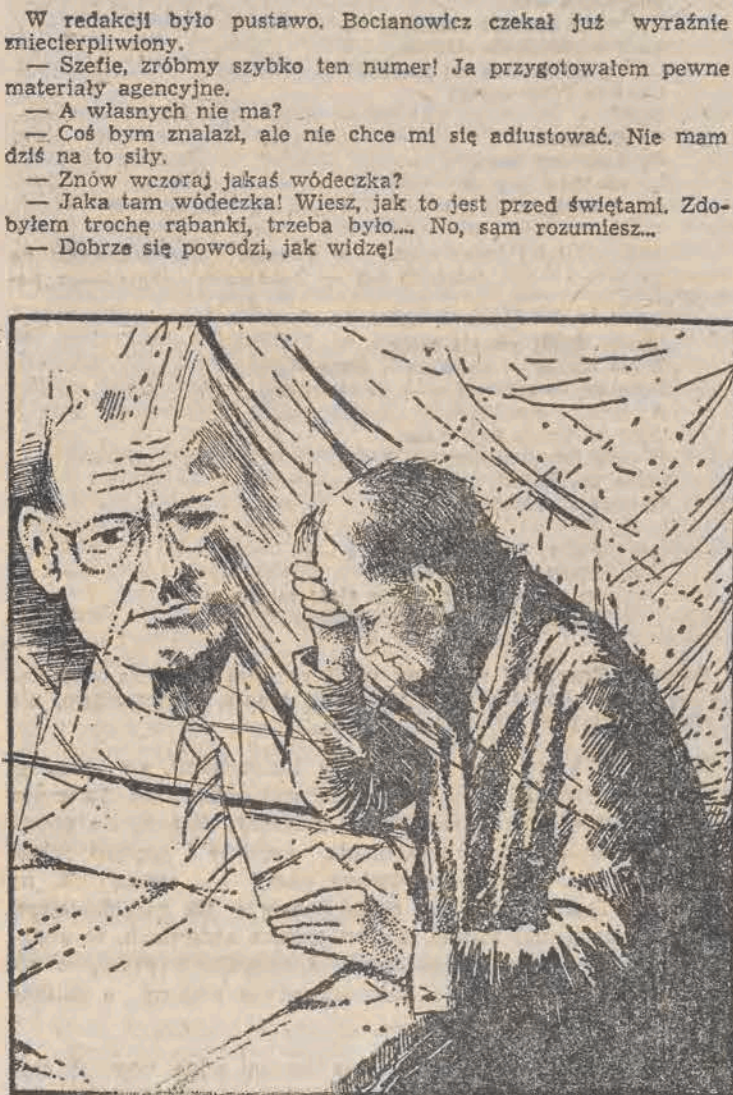
— A własnych nie ma?

— Coś bym znalazł, ale nie chce mi się adustować. Nie mam dziś na to siły.

— Znowu wczoraj jakaś wódeczka?

— Jaka tam wódeczka! Wiesz, jak to jest przed świętami. Zdobym trochę rąbaki, trzeba było... No, sam rozumiesz...

— Dobrze się powodzi, jak widzę!



Rys. Janusz Szymański-Glane

— Gdy się ma znajomości, wszystko można załatwić. Och, zapomnieliśmy! Gratuluję ci wejścia w skład egzekutywy. Nareszcie mamy naczelnego we władzach wojewódzkich. A jakie masz zdanie na temat Millera?

— Zobaczymy. Obawiam się, że ma zbyt małe doświadczenie partyjne, może narobić głupstw.

— Większych niż Gnatowski z pewnością nie narobi!

(...) Zmontowali trzecią stronę, a także przejeździ większość materiałów na kolumnę miejską. Resztę zostawili dla depešzowców.

(...) Święta, święta i po świętach. Baśka jeszcze raz pokazała swój kunszt, ale ów kunszt nie na wiele by się zdał, gdyby nie znajomości. W normalnym czasie nigdy by nie brała ich pod uwagę, ale teraz, gdy czas nie był normalny, skorzystała z pomocy matek swoich uczniów i uczennic, zwłaszcza tych matek, które pracowały w handlu. Na szczęście Doliński nic o tym nie wiedział, nie było więc powodu do kłótni.

Całe święta spędził w domu, nie przyjął żadnych zaproszeń, a i sami też nikogo nie gościli. Majka również nie przyszła, natomiast Kazik odwiedził ją w domu.

Wieczorem w drugi dzień świąt Doliński wpadł na godzinę do drukarni, by zorientować się, czy wszystko w porządku. Obawiał się, że redaktor techniczny lub depešzowiec ciągle może być „wczorajszy”, martwił się jednak na zapas.

— Panie redaktorze, jak żyje nie widziałem tu naczelnego w czasie świąt! — dziwił się stary linotypista, Wawrzyniak. — Gdy pan redaktor dłużej będzie siedział na swym stołku, to na pewno o nas zapomni!

— Niech pan nie krzacz, panie Wawrzyniak. Już tyle lat się znamy! Dziennikarzem jest się stale, a naczelnym to się tylko bywa.

— A nie strzelił pan kielicha, redaktorze? Po cichutku, nikt nie będzie widział...

— Innym razem, dzisiaj siedzę za kierownicą.

(...) — Dlaczego tak późno? — Następnego dnia otworzył mu drzwi Kazik. — Czekamy na ciebie.

— Myślisz, że tylko twój ślub mam na głowie?

— Jest pan Pszczoła!

Doliński zdjął kurtkę w korytarzu, przeczesał włosy i wszedł do pokoju. Pszczoła podniósł się z fotela.

— Przepraszam, że pozwoliłem sobie wpaść do państwa, ale musimy to i owo ogadać.

— Dobra. Cześć Gienek! Wiesz, jak to u mnie. Ledwo człowiek wstanie, a tu już księżyc na niebie. Co wy tak skromnie siedzicie przy herbatce?

— Dziekiu, ja już jestem po obiedzie.

— Ale przekąsić coś przecież możesz. Basiu, przygotuj jakąś rybkę, kielbasę, szyneczkę...

— Szyneczki to nie mamy. Nie rozpędzaj się! Ale ja proponowałam.

— Wypijesz, Gienku, kielusio? Co tu tak zimno w pokoju? Kaloryfery nawałity?

— Nie, ale jakoś skąpo dzisiaj grzeją.

— Jak skąpo, to tym bardziej sobie machniemy. To jeszcze świąteczna. Czy ty wiesz, że ja przez całe święta tylko butelkę wina wypilem? I to nie sam przecież!

— Myślałem, że wpadniecie do nas.

— Będzie jeszcze na to czas. Musiałem trochę wypocząć i odebrać się od polityki.

— Czytałem w Gazecie, że masz nowego sekretarza. Jaki jest ten wasz Miller?

— To się dopiero zobaczy. Bardziej teoretyk niż praktyk, ale może właśnie takich teraz potrzeba.

— U nas też się szykują zmiany.

— W „Solidarność”?

— Zmienia się sytuacja. Ci, co byli dobrzy we wrześniu, nie muszą być dobrzy w grudniu czy w styczniu.

— Masz kłopoty?

— Drobne. Miałem konflikt z przewodniczącym. Dostaliśmy, jak wiesz, nowy lokal. Owszem, niczego sobie. Zgadnij, jaka była pierwsza inwestycja? Blurka i krzyże. Nawet krzesła nie ma jeszcze w komplecie, interesanci stoją, ale blurka są. No i jest kasa pancerna. Poszło właśnie o te krzyże.

— Zaraz, zaraz, ciekawe to, co mówisz, ale może najpierw coś przekąsisz i strzelimy po kielichu?

Właśnie Baśka przyniosła z kuchni półmisek z mięsikiem.

— Chciałem o tych krzyżach... — kontynuował Pszczoła. — W naszym związku, tak jak wszędzie, są wierzący i niewierzący, ateści, jak wy mówicie. Ja uważam, że to, czy ktoś w coś wierzy, czy nie wierzy, to jego prywatna sprawa. Zupełnie prywatna. Mam rację?

— Mnie pytasz? Oczywiście, że tak.

— No właśnie. My w kierownictwie MKZ mamy kilku pracowników na etacie. Kiedy przewodniczący przyjmował ich do pracy, to z każdym odbył rozmowę. Ja mówię, że każdego wypowiadał. Jak ktoś powiedział, że wierzy, to jeszcze było mu mało. Chodziło mu o to, czy jest praktykujący. I tylko takich przyjmował. A ja się pytam, czy tylko ci, którzy bezustannie klepią pacierz, są porządnymi ludźmi? Mój sąsiad żadnej mszy nie opuścił, ale kiedy się schleje, to bez awantury się nie obejdzie. Zonę wali jak w bęben. A kiedyś swego syna tak pobił, że przyjechało pogotowie. Jakoś go nie posadzili, ale już wiele nie brakowało...

— Ja też znam takich. Pierwszy w procesji i pierwszy do bitki.

Przechylił. Pszczoła ciągnął dalej:

— W każdym pokoju przewodniczący kazał powiesić krzyż. W tym, w którym ja siedzę, również. Mówię do niego: „Panie przewodniczący...”

— To wy tak oficjalnie? Nie po imieniu?

— Nie proponowałem mi brudzia, to co ja będę się wychylał? Ale to i lepiej, że nie jesteśmy na ty. Więc powiedziałam do niego: „Panie przewodniczący, w związku są różni ludzie, wszystkim nam zależy, aby nasz związek był silny, liczny, a niektórych te krzyże mogą do nas zniechęcić. Nie dzielnym naszym członków”.

— A wiesz, jak on na mnie wyskoczył? „Panie Pszczoła, pan nie będzie mi dyktował! Muszę się panu dobrze przypatrzeć. Pan mi tu propagandę komunistyczną sieje! Ja w związku bezbożników nie potrzebuję!” Widziałeś go? Trzasnąłem drzwiami i teraz jesteśmy na pieńku.

— A co na to inni?

— Nie wiem, czy wiedzą, żeśmy się ścięli. Ale w moim pokoju krzyż zdjąłem.

— Jak zareagował?

— Zdjąłem dzisiaj, jeszcze o tym nie wie. I teraz ten ślub Majki. Cywilny. On mi nie pomoże. To się przecież roznieśli.

— Ale w domu u ciebie wiszą przecież święte obrazy?

— W domu to co innego. Lodzia jest wierząca i ja to szanuję.

— A nie macie konfliktów rodzinnych na tym tle?

— Nie. Owszem, kiedyś byli, ale teraz panuje pokojowe współistnienie. To znaczy ostatnio niezupełnie, bo o ślub Majki się rozchodzi. Ale Lodzia stanęła przed faktem dokonanym. Kazik ja przed takim faktem postawił.

— No, gdyby Majka nie chciała... — uśmiechnął się Doliński.

— Jasne, jasne, nie wracamy do tego. Ale jak już o tym mówimy, to ślub ma się odbyć trzeciego stycznia, w sobotę. Terasz trzeba ogadać to wesele, a tu twoja małżonka z forszą wyjeżdża...

— Co znaczy wyjeżdża? Pół na pół!

C.D.N.

Motto:

I koń by pisał wiersze
Gdyby mu dać sto złotych.
(Poeta Nieznany)

Witaj majowa jutrzeńko! Co przynosisz w nasze progi? DNI KULTURY, OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY. No, to w maju jak w maju nie leżymy żony, lecz z kurtulą z niom kawerujemy (korekta — ręce przez od tekst). W maju, oświaty kaganiec niesie w Polskę ćwok i docent mianowany. W maju, zakórniaki przeznaczamy nie na zakup pół rury, tylko na perły literatury — od tomiku wierszy (a 30 zł) po „Czterech Pancernych i Dzieła Wszystkie” J. Przymanowskiego (subskrypcja). W maju gazeta służy ludziom nie tylko do kłozeta. Serce roście patrząc na te czasy! W maju, wreszcie, są wieczory. Autorskie. Od Kłaju po Pdm w klubach, szkołach, bibliotekach, świetlicach dziennych i dworcowych, „klubokawiarniach”, remizach i strażnicach na granicach — WIECZORY. W dzień, po południu, o północy — wieczory. Księgowni upłynniały nawisy. Literaci wszelkiej maści, zrzeszeni i zagonaszcy, nabijają kabzy. Krytycy ciulają mamone. Wybitni przedstawiciele sceny polskiej młodej monologiem „być albo nie być” i „jaśnie panie podano do stołu” czytają wiersze. EJ NARODZIE, W MAJU WIECZOR AUTORSKI JEST W MODZIE!

Chlebak Stachury

„Każdy pisarz staje się zły, gdy tylko zacznie pisać dla zysku. Znakomite dzieła wielkich twórców pochodzą z czasów, kiedy musieli oni pisać bezpłatnie lub jedynie za bardzo niewielkim wynagrodzeniem. (...) Każdy kto potrzebuje pieniędzy, zasiada przy biurku i pisze książkę, a publiczność jest taka głupia, że to kupuje”.

KMPIK i CKM ZAPRASZAJĄ NA WIECZÓR DEBIUTÓW. Ha, to jest coś. Wystrzałowa impreza. Pieśń i karabin. Jednakże okazało się, że CKM to nie ciężki karabin maszynowy, tylko Centrum Kultury Młodych — instytucja (!), która patroluje łódzkie sekscesom Drodzy Tadeusza i ekscesom punków i innych szarpidurów. No, a teraz taka sprawa — debiuty literackie! Co mają to ma! Udałem się więc.

Na sali łódzkiego Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy podniosły nastroj. Pod sufitem krążyła muza poezji lirycznej, po sali młoda poetessa z bukietem kwiecia szklarniowego. Przy wejściu witali wchodzących młody pisarz wciągający na siłę (po stowie), tomiki poetyckie bohaterów wieczoru. Pisarz odzian był w czerwona podkoszulkę (podkoszulka?) z napisem „PULS”, dzinsy marki „LEVIS” i mokasy w kolorze czekoladowym. Tomiki były w kolorach: różu, groszku i fioleto. Słowy — wiadomo, czerwona. Autorzy (1 garnitur marenego, 2 stroje niedbale) w otoczeniu rodzin, potomstwa i znanych nerwowo palili papierosy marki „carmen z filtrem acetatowym a 95 zł” i „popularne bez filtra a 22 zł”. Na sali, podzieleni na sektory według przynależności klubowej, zasiadli: członkowie ZLP — 3, SAP — 4, KMP — „Wia-duk” — 10, grupy literackiej „Centaur” — 10,5 (sympatyk), innych stowarzyszeń twórczych — 3, członkowie rodzin — 7,5 (nieletni) oraz spóźnionych na autobus — 2.

Napięcie sięgnęło szczytu, gdy na sali pojawiła się ekipa Telewizji Polskiej i fotoreporterzy prasowi.

Spotkanie otworzył młody poeta, wydawca i redaktor seriali poetyckich „Wiaduk”. Ubrany na biało. Z wąsem. Stwierdził, że autorzy forsy za tomiki nie dostali, bo honoraria przekazano na cele społeczne. Książki drukowano 3 miesiące, co jest rekordem PRL. Nie wszyscy debiutanci są prawdziwi, bo niektórzy coś tam kiedyś drukowali po różnych oficynach, ale nie to ważne, tylko cel. Zapowiedział wydanie następnych tomików i recital poezji śpiewanej. Śpiewano. Po śpiewanej przyszła kolej na poezję czytana. Pewien pan anonowany jako „aktor” odegrał znakomicie monodram pt. „Jak należy czytać wiersze po skutecznie obryzdz czytanie poezji słuchającym raz na zawsze”. Popis był skuteczny.

Następnie do akcji przystąpił krytyk literatury. Kierownik Działu Literackiego pewnego szacownego tygodnika społeczno-kulturalnego (garnitur, krawat, okulary) — napadł. Stwierdził, że tak w ogóle to on nie lubi poezji współczesnej, ale musi cholernie czytać, bo taki ma zawód. Potem trochę zlagodniał i powiedział, że właściwie to on nie jest tak całkiem przeciwny, tylko dlatego, że pyta, dlaczego w tym kraju wszyscy piszą wiersze i w dodatku chcą je drukować. Tu popatrzył wynownie na zebranych, a zwłaszcza jednego, który jako szef amatorskiej grupy literackiej dostarczył w ostatnim dziesięcioleciu do redakcji 184,5 kg wierszy. Odpowiedzi nie otrzymał, załamany więc zakończył swój wykład optymistycznym akcentem: brak papieru.

Drugi krytyk (bez krawata, wasy) łagodnie ripostował. Pochwalił, zachęcił, odnalazł wartości. Młodził się wyraźnie do młodego poety (39, safari, braki w ubraniu), który znał Stachurę i pono ma w domu chlebak Idola. Innym też kadził, a na konie przyznał, że i Krytyk Pierwszy nie jest taki zły, tylko się umówił, że jeden będzie napadał a drugi bronił. No i tak wypadło. Czyli wszystko to lipa.

Są trzy rodzaje pisarzy. Najpierw ci, co piszą, nie myśląc. Piszą z pamięci, w oparciu o reminiscencje, albo wprost przepisują z obcych książek. Ta klasa jest najliczniejsza. Druga to ci, co myślą w czasie pisania. Myślą aby pisać. Jest ich bardzo wielu. I wreszcie grupa trzecia to ci, co pomyśleli, zanim przystąpili do pisania. Piszą dlatego, że myślą. Nader rzadkie zjawisko.

Następnie zgłoszono z sali wniosek, by delikwent sam przeczytał swoje wiersze, bo Najety Artysta sknocił. Wniosek przedłożył. Młoda poetka (21, kwiecie) siedząc na podłodze przeczytała swoje wiersze niedbale. W wierszach cierpiała. Na podłodze przećwinała. Młody poeta (39 safari, zęby) przeprosił zebranych, że jest wyjątkowo trzeźwy, po czym przeczytał psalm o wodce (anty), paszkwił na wieszca (1 słowo wulgarnie), wiersz filozoficzny (1? bez tytułu) (2 wyrazy obce — łacina). Młody poeta (38, marenego) przeczytał wiersze dekadentki o końcu świata. Dwóch poetów nieobecnych — usprawiedliwionych, nie czytało. Wykorzystał to Krytyk Drugi i przeczytał.

W ożywionej dyskusji głos zabrał Szef Amatorskiej Grupy Literackiej (brak danych, garnitur), który zgłosił postulat o przyznanie młodym poetom przed debiutem: mieszkania, pensji i priorytetu w wydawnictwach. Powstałe kontrowersje na temat wielkości powierzchni mieszkalnej i wysokości uposażeń przerwało kierownictwo KMPiK, które kończyło pracę. Ponieważ wcześniej salę opuściła ekipa telewizyjna i prasowa, zebrani też opuścili.

Słowo ludzkie jest najtrudniejszym materiałem. Zdola pisarz dla swego przelotnego uczucia znaleźć najwłaściwsze słowa, będzie ono żyło w nich wieki i w każdym wrażliwym człowieku ożyje na nowo.

Po spotkaniu odbył się w pewnym lokalu gastronomicznym kat. III turniej jednego wiersza „O chlebak Stachury” — zwyciężył poeta znający Idola wierszem zaangażowanym:

Poszła Jola do przedszkola
Aby wypić piym Lugola.
LUDZIE, DO KONCA MAJA BLISKI!

ANDRZEJ CEZARY SAWCZENKO

W tekście wykorzystałem uwagi „O pisarstwie i stylu” Artura Schopenhauera w tłumaczeniu Jana Koprowskiego.

NR 20 (1468), XXIX, 17 MAJA 1986 R.

Felieton pe- symistyczny

Terapia, czyli baba-żyła

Stanowny Panie Redaktorze.

Przed wszystkim pozdrawiam Pana i cały Zespół bardzo serdecznie po dłuższej nieobecności. Nie zdążyłem wcześniej uprzedzić, bowiem w ostatniej chwili dokooptowano mnie do niewielkiej ekipy kuracjuszy, która udawała się na krótkie, 6-tygodniowe wczasy lecznicze do Szwajcarii. Nawet się dziwięm, nieco, bo niby dlaczego akurat ja, ale potem, gdy okazało się, że ktoś na górę nazwiska pomylił, a miał jechać „Zycyliw” — na zmianę składano było już za późno. Stałbym nie pisał, bo cenzura u nich strasznie ostra, a pocztą fatalnie pracuje.

Najważniejsze, że wróciłem cały i zdrowy, czyli — jak to mówią u nas w sanatorium — veni, vidi, vici. Ale więcej już nie dam się namówić. Nerwy sobie tylko szarpałem (zamiatam je podłeczny...), bo też rycho okazało się, że „Zytnie” nikt kupił nie chce, suszerek do włosów także, ręczniki i „Bisepol” w ogóle nie idą... Nie otworzyłem więc sobie ani konta w banku, ani zegarka szwajcarskiego nie kupiłem, a sery są u nas znacznie tańsze.

Na szczęście mam to już za sobą. Gdy zobaczyłem u nas, w poczekalni sanitariusza Józia, to się tak wzruszyłem, ręce mi tak latać zaczęły, że stary, dobry Józio profilaktycznie zaspokoił mi i kaftan, i herbatkę przyczyszczającą „Paracelsus”. Ale poza tym — nikt mnie nie witał! Nie liczyłem co prawda na bramy triumfalne i orkiestre, ale tych kilku facetów powinno jednak sprzed telewizorów choć na chwilę się poderwać! Ale nie, to nie pisał Pankracy ich zatrzymał. Stuchali w sali klubowej jakiegoś wykładu. Przypomniałem z tyłu, a tu prelegent z waskiem coś zawiłe tłumaczył, planuje rozwiązać, na małej tablicy bagroli. — Witaj Stefanie, długo cię nie było — magister B. zaledwie zerknął w moją stronę, tak uważnie jowił każde słowo spod tablicy. — Co tam Szwajcarii, opowiesz później, tu gość arcy-ciekawe historie o oszczędnościach energetycznych opowiada... Rozczuliłem się po przesłannym salce, kilku doświadczonych kuracjuszy kiwnęło mi przyjaźnie, po czym też zamieniali się w słuch. A Wasik tokiwał zawzięcie.

— Mówimy o rezerwach, szukamy ich wszyscy. I one są, istnieją, tylko dezydentem palcem się nie chce kiwnąć! — grzmiał prelegent z zaimprovizowanej trybuny. — Ot, przykład pierwszy z brzegu, dotyczący zarówek oświetlających numery poszczególnych poszycji. Mają panowie przybory szkolne, tak jak problem? To proszę przedwieźć działania razem ze mną...

Patrzyłem po ludziach z niedowierzaniem. Ta sala słynła zawsze „z burzy mózgów”, z ciekawych platkowych dyskusji! Nie było mnie parę tygodni, a tu stare wygi, z wieloletnim stażem, wyciągają karnie zęzyty w trzy linie czy krótkie i notują jakiegoś fakty, z których nie wynika, leczy, które nie nie mówią, dane, które nie nie zmienia. Co tu się dzieje! A tamten tylko wody ze szklanki słobną i wałk dalej!

— Więc jak mówię: średnia moc zainstalowanej przy takiej tabliczce zarówki wynosi 25 watów, a najmniejsza produkowana w kraju zarówka ma moc 15 watów. Gdyby więc każdą wymienić na tę słabszą, a z powodzeniem wystarczającą, to w sumie otrzymalibyśmy: 10 watów pomnożone przez 36 tysięcy numerów łódzkiej aglomeracji i jeszcze raz pomnożone przez 49 województw. Nawet zakładając, że wszystkie są tak małe, jak nasze. To jaki wynik otrzymamy koleży? Kto już obliczył?

— Siedemnaście milionów sześćset czterdzieści tysięcy watów! — ryknął spod ściany Prezes (faktycznie był chyba księgowym w jakiejś spółdzielni, ale musiał się u nas schronić, bo mu „Jr-cha” po nogach deptała).

— Tak jest, brawo kolego — pochwalił go prelegent z miną, jakby wspólnie wynaleźli koło albo nową drogę do Indii. — Czyli ponad 17 megawatów. Tyle mocy gnie, zużywa się niepotrzebnie. A teraz: na oświetlenie ulic Łodzi potrzeba sześć i pół megawata, czyli zaoszczędzonej energii wystarczyłoby na iluminację trzech dużych miast! Triumfował. I sala kiwała głowami z uznaniem. Już chciałem wstać i wykrzyknąć, że to znane sprawy od lat, wszyscy o tym wiedzą, teoria się zgadza, tylko w praktyce nie ma kto całej operacji przeprowadzić i tak dalej. Ale nie zdążyłem. W

drzwiach pojawiła się siostra Halinka i z wyplekami na twarzy oznajmiła wczem i wczem: — Już się zaczęło! Pokazują te kulturyści!

Najwyżej pięć, sześć sekund zabrano kolegom straszenie krzesła oraz prelegenta wraz z jego planszami. Ruszyłem i ja do sąsiedniej sali telewizyjnej. W korytarzu naśladowałem się na ordynatora Łysola, uśmiechniętego, zadowolonego wiece.

— No, witam na starych śmieciach, panie Stefanie. A jak się panu podoba nowa terapia? — Te wykłady? No, takie sobie... — Nis, nie, to nie wszystko pan jeszcze wie. Tylko ja mam program telewizyjny na cały tydzień i tylko ja te rodzynki wybieram, wie pan: „Zwierzyńlec”, „Kamienne tablice”, „Losowanie Express Lotka”, a przed nami Wyścig Pokoju, potem zaczyna się mecie. Oni mi się na każdy wykład przed takimi programami zgodzą. Ale spójrz pan na te panienki!

A na ekranie, na jakimś podium poruszały się w rytm muzyki barchyńscy faceci poubierani w... damskie, dwuczęściowe kostiumy kąpielowe.

— Co to jest? — ryknąłem.

— Mistrzostwa Europy w kulturystyce, pan i panów — szepnęła stojąca obok, rozmarzona i nieprzytomna Halinka. — Zaraz będzie ta Holenderka, ma najlepszy pas barłowski, ale trochę słabe tydki. — I ta Angielka — pięknie ma rozbudowany mięsień szeroki piersi...

Faktycznie, mięsień to miała, bo piersi — wcale. Jakies naoliwione kosmary przechadzały się miarowo, wypinały mięsień podłaski i łody. Strasznie Wysunięte szczyty, wytrzeszczone oczy, bez grama wdzięku, kobiecości, lekkości, finenzji. Kobiecy — żyły...

— Musiałem wczoraj swojej przyjaźni — ordynator odciągnął mnie na bok. — Za torbami z kaszą i maką w kuchni znalazłem ukrytą małą sztangę i handle. Ja jej, cholera, dam „body building”! No, wie pan, niki jeszcze jestem silniejszy, bo potem może być za późno...

STEFAN ŻYCIOWY

2

Gdzie jest wasz kryzys?

Są ludzie, którzy przez całe życie nie opuszczają swojej wioski, w której się urodzili, dzielnicę w wielkim mieście, miasteczka, i są tacy, których coś niesie po świecie. Kochają podróżować. Otóż owi podróżnicy lubią też pisywać listy. Właśnie dzięki tym listom, ci pierwsi, którzy sami podróżować nie lubią, mogą dowiadywać się o tym, jak żyją ludzie w innych częściach naszego globu. Na dodatek wymyślono jeszcze telewizję i dzięki temu ci pierwsi, którzy podróżować nie lubią, mogą nawet nie wychodzić z domu, aby dowiedzieć się nie tylko, co słychać na świecie, ale i jaka jest i jaka będzie pogoda. Ceni się jednak bardziej tych drugich, którzy kochają podróżować i wysyłać listy z tych podróży. Dzięki tym listom dowiadujemy się też o tym, jak dawniej bywało.

Oto na przykład Raymund Durand w latach Powstania Listopadowego 1830 roku był w Warszawie konsulem francuskim. Do jego obowiązków należało pisywanie raportów w Warszawie o tym, co dzieje się w Królestwie Polskim. Te raporty zachowały się w archiwach francuskiego MSZ i Robert Bielecki je odnalazł, odnalazł też potomków Raymunda Durand, opracował jego życiorys oraz raporty a „Czytelnik” wydał to w 1980 roku. Raymund Durand był pracownikiem francuskiego MSZ i jako urzędnik musiał pisywać obiektywnie i prawdziwie, gdyż jego korespondencje były podstawą dla podejmowania decyzji w sprawie Powstania Listopadowego w Polsce oraz wpływały na kształtowanie polityki francuskiej wobec Rosji. Tu bujać nie można było. Tak więc Raymund Durand pisał w swojej pierwszej korespondencji:

„Przedwczoraj, w poniedziałek, około godziny siódmej wieczorem wybuchło powstanie, którego projekt otoczony był największą tajemnicą. Rozpoczęło się ono, jak się wydaje, w szkole wojskowej, znanej pod nazwą Szkoły Podchorążych”.

Wzruszyło mnie owo, „jak się wydaje”. Jak Raymund Durand nie miał pewności, to zaznaczał. Niczego nie zmyślał. Skrętnie zbierał informacje i je przekazywał. Znał ich wagę. Gdybyśmy chcieli kształtować obraz Polski na podstawie dziś prasowych korespondencji zagranicznych dziennikarzy do swoich redakcji, to mielibyśmy zupełnie fałszywy obraz naszego kraju i nas samych. Nie jest to mój wymysł. Miałem okazję posłuchać pewnego Francuza, który przez kilkanaście dni przebywał w Polsce i to w różnych miastach i był u różnych ludzi. Tuż przed powrotem do Francji zwierzył się.

— Ja to sobie wszystko zupełnie inaczej wyobrażałem. To wcale nie jest tak, jak piszą u nas w gazetach. Gdzie jest ten wasz kryzys? Gdzie mnie nie przyjmowano, tam stoły były zastawione i wcale nie było widać, że wy nie macie co jeść. Po co wam nasza pomoc? Albo z tą benzyną. Nasłuchałem się, że u was nie ma benzyny, że motoryzacja umiera, a tu wszyscy niemal jeżdżą samochodami. Nawet do pracy. To znaczy, że macie benzynę. Nie nie rozumie.

Jestem w stanie to zrozumieć. Francuski podróżnik zapewne nie wie, że w Polsce obowiązuje zasada, „zastaw się a postaw się”. Gdyby zaproszono go na wiejskie wesele to by dopiero oczy mu wyszły na wierzach z wrażenia. Takie wesele, na którym jest tylko 100 gości, jest małe. Zresztą Francuz, który cieszył się, że w Polsce trochę schudnie, przyniósł z niejakim zdumieniem, że przyniósł trzy kilogramy. W biednej Polsce!

Inny cudzoziemiec zaproszony został do zakładowej stołówki na śniadanie. Ucieszył się z tego ogromnie, gdyż chciał bardzo wiedzieć, jak u nas jadają robotnicy. Nie dowiedział się, gdyż podano mu najpierw półmisek wędlin, później śledzia w śmietanie (bez wódki niestety, a wiadomo, że Polak nie jada śledzia w śmietanie bez popicia małą czystą), jajecznicę na bekonie oraz... flaki. Oh zrozumiał, że tak podejmuje się u nas gości, ale nie omieszczał powiadzić, że robimy źle, bo robimy wobec cudzoziemców złą propagandę. Tłumaczono mu, że my sami mniej zjemy, a nie pozwolimy, aby gość, w dodatku cudzoziemiec, nie był po staropolsku podjęty.

— A kryzys, gdzie jest kryzys? — machał rozpaczliwie rękoma cudzoziemiec. Gazety trzeba oczywiście czytać, ale myśleć też trzeba. Gdyby inny cudzoziemiec pomyślał, to nie przyjechałby do Poznania w opancerzonym samochodzie i przeciwpożarnym kombinie nie ubrzojony w liczne aparaty pomiarowe. Chyba, że reklamuje ten drogi zachodni sprzęt. Ale my mimo, że gościnni, na taki luksus już pozwolić sobie nie możemy. Chyba też nikt tego od niego nie kupi. Choć zupełnie nie byłbym tego taki pewny. W końcu, to u nas ludzie grali w „tysiąc złotych” wierzając, że gdzieś w chmurach dobry Pan Bóg ma zgromadzone miliony złotych, aby obdzielić nimi wszystkich Polaków, którzy się na tę grę dadzą nabrać. I ten — smutny niestety — fakt pozwala sądzić bez pudła, że kryzys trwa nadal.

WITOLD BOROWY

3

Sport

Papierowe tygrysy

Tegoroczny Wyścig Pokoju nie budzi jakos większego zainteresowania. Te jazdy na czas, ściganie się po ulicach miasta w kółko, jak to było choćby w Warszawie, nie są ani specjalnie widowiskowe, ani fascynujące. A sport przecież powinien być widowiskiem i fascynować, interesować, porwać.

Poza tym nasi kolarze też jakoś nie jadą najlepiej. Rozpiewali nas sukcesami z ubiegłego roku i teraz mamy niedosyt. Może dopiero znacznie coś się dziać w Wyścigu Pokoju — marzyliśmy sobie — gdy ruszy z Kutna do Poznania. Ale to jeszcze przed nami.

Wróćmy więc do piłki nożnej. Wprawdzie na boiskach pusto, piłkarze mają zastuszone, choć wcześniej w tym roku, urlopy, ale sprawy piłkarskie nie schodzą ze szpalt gazet. Oto „Przegląd Sportowy” odmówił relacji z ostatniej kolejki rozgrywek ligowych, kiedy już karty były rozdane i każdy klub wiedział, co ma w ręku. Zresztą sprawozdawcy piłkarscy przestrzegali, że mogą się dzieć cuda na stadionie i warto, aby PZPN uważnie się temu przyglądał. W PZPN posłuchali rady dziennikarzy, co się u nas rzadko zdarza i zmontowali „brigady tygrysów”. „Tygrysy” z takiej brigady to — jak wiadomo — chłopcy nieustraszone, którym nikt nie da rady, a one — te wspaniałe chłopcy — kochają nade wszystko i wyłącznie prawdę i za tę prawdę to one, te kochane tygrysy, dadzą się porządnie pokroić, posolić i w ogóle. „Tygrysy” rozjechały się po Polsce i zaczęły patrzeć. I cóż one zobaczyły?

Nie mogą sobie odmówić przyjemności, aby nie zacytować kilku trafniejszych sformułowań z komunikatu PZPN, który 2 maja 1986 roku w Warszawie wspólnie z przedstawicielami GKKFIT poddał analizie opinie wyrażane publicznie m.in. na łamach prasy o nieprawidłowościach w ostatnich spotkaniach ligi piłkarskiej oraz sprawozdania delegatów i obserwatorów ostatnich kolejek rozgrywek ligowych z ramienia PZPN, czyli właśnie rzeczonych „tygrysów”.

I cóż dała ta analiza? „Posiadane informacje — głosi dalej Komunikat PZPN — nie dają podstaw do weryfikacji rezultatów spotkań, ale pozostawiają szereg spraw wymagających dalszych wyjaśnień. PZPN będzie kontynuował prace analityczne”.

Każdy, kto ma coś do powiedzenia w tej sprawie może do 15 lipca 1986 roku nadesłać na adres PZPN swoje uwagi i spostrzeżenia. W wyniku tej pracy PZPN przedstawi propozycje „odpowiednich zmian regulaminowych, mających na celu zapewnienie w pełni sportowego charakteru rozgrywek”.

Komunikat PZPN został natychmiast oprotostawiony. W krakowskim „Tempie” ukazał się krótki komentarz pod znamennym tytułem: „Papierowe tygrysy chowają głowy w piasek...”. W tym malutkim komentarzu „Tempo” stwierdza: „A przecież wystarczyłoby popatrzyć chłodnym okiem na grę GKS Katowice w pucharowym spotkaniu z Górnikiem i porównać je z fignowymi meczami tej drużyny z Bałtykiem i Stalą”. Poza tym „Tempo” pyta: „Jakich dowodów trzeba, aby ukarać tych którzy rokrocznie zamieniają finisz ligi w jedno wielkie targowisko?”

Tygodnik „Piłka Nożna” cytując wypowiedź „tygrysa PZPN”, Andrzeja Moroczka: — Wszystko było w porządku. Przecież walczyli od pierwszej do ostatniej minuty. — Chodzi o mecz Zagłębie Lubin — ŁKS wygrany przez Zagłębie 2:0. I opinie anonimowego kibica: — Jeśli nawet się dogadali, to przynajmniej prawdziwie udawali, że grają uczciwie. — Kiedy — jak się okazuje — widzi inaczej.

Krzysztof Mętrak na łamach tejsz „Piłki Nożnej” napisał: „wiadomo że handel sędzią na całego i wiadomo, że PZPN schowa głowę w piasek”. No bo Mundial, a przed Mundialem i tak dalej, i tak samo. Zawsze przecież jakiś pretekst się znajdzie, aby nie zrobić tego, co zrobić trzeba. „A jednak — napisał Krzysztof Mętrak — ...a jednak ktoś kiedyś musi przerwać wieloletnią fikcję wprowadzającą tak wiele ziej krwi do naszego futbolowego światka”. No, właśnie, kto to zrobi?

Specjaliści twierdzą, że już w kwietniu wiadomo było, kto i jakie miejsca zajmie w I lidze, kto ją opuści. Zdecydowano bez udziału piłkarzy. Oni mieli tylko zagrać wcześniej i gdzie indziej rozdane role. Pięknio, to ale żeby było prawdziwie trzeba jeszcze drobności — trzeba dowodu, że tak było. A tego dowodu właśnie brakuje. Kto więc go zobędzie? Kto zrobi porządek? Pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

A w Poznaniu wygrał Olaf Ludwig. Nasi byli poza pierwszą trójką.

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15

Ogromny traktor Budrysa ścigał z goliźny zrębu stuletnie sosny i układał je wzdłuż drogi leśnej. Na środku zrębu Karas palił wielkie ognisko i wrzucał do niego gałęzie i czubki sosen. Człowiek musiał najpierw uporządkować las, aby posadzić nowe drzewa.

Maryn zeskoczył z kłaczy, puścił ją wolno i podszedł do ogniska. Zobaczył go Budrys, zatrzymał traktor i też ruszył w kierunku Maryna, który już zdążył usiąść przy ognisku na dwóch podsuniętych sobie pod tyłek grubych dragach. Dopiero, gdy zbliżył się Budrys, także i Karas odważył się przykucnąć przy ognisku.

— Pan już nie jest strażnikiem łowieckim — odezwał się Budrys.

— Tak. Dlatego tu przyjechałem — wyjaśnił Maryn.

Bez słowa wyjął z raportówki dużą kopertę, otworzył ją i tak samo bez słowa zaczął wrzucać do ogniska fotografie, oświadczenia, cały materiał, który kiedyś zebrał przeciw kłusownikom.

— To już nie musimy być pana przyjaciółmi? — upewniał się Karas.

— Nie.

— Na pewno?

— Na pewno, panie Karas. Spaliliśmy przy was wszystkie dowody.

— Dlaczego? — wtrącił się podejrzliwie Budrys.

— Ponieważ przestałem być strażnikiem łowieckim i nic mnie nie obchodzi, co się dzieje w lesie.

— I pistoletu też pan już nie ma — zauważył radośnie Karas.

— Nie mam.

— To teraz możemy panu dać nauczkę za pobicie i za strach — podjudzał się Karas.

— Tak — uśmiechnął się Maryn.

Ow uśmiech rozłożył Karasia. Rozejrzał się. Zobaczył sekaty kij i chwycił go, aby nim uderzyć Maryna. Ale ten zerwał się jak sprężyna, złapał za jeden z dragów, na którym siedział, bo niczego w tej chwili bardziej nie pragnął jak dać tym dwóm ludziom nową nauczkę. W walce na drągi i kije był kiedyś najlepszy. Wprawdzie — dawne to czasy — lecz przecież pamiętał wszystkie konieczne w takiej sytuacji ruchy obronne i atakujące.

Budrys chwycił kij trzymany przez Karasia i wyrwał mu go z ręki.

— Nie bądź głupi, Karas. Czy on by tu przyjechał tak spokojnie, gdyby się bał twojego kija?

Maryn usiadł przy ognisku.

— Zaden z was nie trafił na milicję ani do sądu — rzekł. — Oczekiwałem wdzięczności, a nie kija, panie Karas. I za to, że odwołał pan swoje oświadczenie, też nie miał pan żadnych kłopotów. Dostałem majątek po Horście Sobocie i będziemy musieli żyć obok siebie przez długie lata.

— Są takie miejsca w lesie... — zaczął Karas.

Dokończył za niego Maryn:

— ...takie miejsca, gdzie jak pana zawłokę, nikt już pana nie znajdzie do końca świata.

Budrys znowu usiadł przy ognisku, z kieszeni wypłamił kurtki wyjął chleb ze słoniną w zatłuszczonym gazetowym papierze.

— Pan nie pogardzi kawałkiem chleba, panie Maryn? — zapisał grzecznie.

— Nie pogardzę.

— A ty Karas?

— Nie chcę — odburknął tamten. Żałował, że dał sobie wyrwać kij i nie mógł się zemścić na Marynie. Ale pilnie słuchał, co do Maryna mówił Budrys.

— Stary Horst dał panu cały majątek. Nie Weronice, lecz właśnie panu. To był wariat, nie taki jednak, aby oddawać majątek biele komu. Dlatego tak sobie myślę, że w panu coś jest, co on odkrył, ale innemu nie tak łatwo zauważyć. Gadają, że pan potrafi się zmieniać w wilka. Tylko stare baby wierzą w takie głupstwa. Pan jest gorszy od wilka.

— Tak.

— I na to zwróciłem uwagę, że dobrze się pan czuje w lesie, choć przyszedł pan tutaj z miasta. Pan jest tak jak i my: leśnym człowiekiem.

— Szkoda, że o tym nie wiedział stary Horst. Nie dałby mi swego majątku — uśmiechnął się Maryn. — Nienawidził lasu i leśnych ludzi.

— To prawda — przytaknął Marynowi i wręczył każdemu po kromce chleba ze słoniną. — Dlatego zastawił na pana pułapkę.

— Jaką? — zainteresował się Karas, z którego już uleciał gniew i zaczął odczuwać coraz większą ciekawość wobec dawnego strażnika łowieckiego.

— Tę kobietę w domu, Weronikę... — powiedział cicho Budrys.

— Wszyscy ją mieli... — pogardliwie wzruszył ramionami Karas.

— Ja nie miałem — odparł Maryn.

— I to pana szczęście — oświadczył z powagą Budrys. — Bo kto ją miał, już od dawna uciekł stąd, gdzie go oczy poniosły. To mściwa bestia. Wilk nie jest tak groźny jak wilczyca. Z nadszedełtego Tarchońskiego tylko strzępy zostały, które lekarze musieli zszywać. A gajowy Wzdrega to nie ruszał się bez strzelby, w końcu stchórzył i wyniósł się gdzieś indziej. Rozbierz się Karas, pokaż panu Marynowi szramy na ciele. Mnie też ich nie brakuje. Nigdy, panie, nie chodzę sam koło domu Horsta Soboty.

— Ja jej nie gwałciłem — stwierdził Maryn.

— Tarchoński też jej nie gwałcił. Ani Wzdrega. Ale ją trzy-maliśmy, kiedy ją Kulesza brał na siłę. I pan był przy tym, panie Maryn. Nie trzymał jej pan, lecz był pan przy tym. I ona nigdy panu tego nie daruje. Pewnego dnia zada panu taki ból, że będzie pan był jak zwierzę po postrzale. Sobota nie był głupim człowiekiem. Zostawił panu swój majątek, dał mu jednak strażnika. Gdy ona zauważy, że pan się pobratał z leśnymi ludźmi, że pan z nimi chlebek z słoninką, obrzydnie panu ta darowizna.

— To znaczy, że ten chlebek i ta słoninka...

— Tak, panie Maryn. To nasza zapłata za przyjaźń. Ona panu tego nie daruje — zachichotał.

Karas powiedział przykładając dłoń do piersi:

— To nieprawda, co powiedziałem, że wszyscy ją mieli. Ja wtedy nie byłem w lesie. I niech jej pan to powtórzy, panie Maryn, jeśli można o to poprosić. Znała mi całymi dniami nie sypia, bo powiada, że w każdej chwili dach się może nam nad głową zapalić. Niech pan stąd wypędzi tę wilczycę.

— I niech pan sprzeda kłacz, panie Maryn. Nie będzie pan już nią jeździł po lesie — doradził Budrys. — Na wszystko się o zgodzi, ale nie pozwoli być w lesie. Bo tak ją wychował stary Horst.

Wielki las

45

ZBIGNIEW NIENACKI

— To mój dom i mój sad — powiedział Maryn. — Darował je mnie, a nie jej.

— Wszyscy wiedzą, co chciał dopisać u rejenta. Ze ją panu darował razem z domem i sadem. A to znaczy, że i pana jej darował. Bo tylko ją kochał naprawdę.

Maryn wzdygnął się. Nie tak dawno usłyszał te same słowa od Weroniki. Powiedziała mu, że jeśli komuś darowuje się dom, sad, kobietę, kłacz, psa, to jak gdyby tym wszystkim rzeczom i istotom darowało się ich właściciela. Przez tę darowiznę stał się niewolnikiem domu, sadu, tej kobiety.

— Niech pan wypędzi stąd tę wilczycę — prosiła powtórzyła Karas.

Maryn w milczeniu wytarł w chusteczkę zatłuszczone palce, w milczeniu skinął głową obydwu leśnym ludziom, wskoczył na kłacz i pomknął w las. Kłacz znowu zanosiła go na Topnik, potem na Nieżywe i Zgniłe. Zdawał sobie sprawę, że coraz mniej rozumie ze spraw, które go ogarnęły. Na zrębie przy ognisku czuł raczej Budrysa i Karasia, przemawiało do niego podejrzenie, że Weronika mści się na wszystkich, którzy spowodowali jej kalectwo kobiecie. Czy zapominała, że Maryn nie ruszył się od stołu, gdy ją chwycił Tarchoński, Budrys i Wzdrega, a Kulesza wsadzał jej sterczącego członka? Nie, to nieprawdopodobne. Za bardzo ją dręczyła tamta sprawa. Mówiła Marynowi o miłości wielkiej, czystej i prawdziwej, patrzyła w oczy po psiemu, ale czy to było szczere? Naprawdę, nie ją nie obchodziło, że obcy człowiek wziął cały majątek po Horście Sobocie?

Wrócił przed zmrokiem na spienionej kłaczy i zanim wszedł do mieszkania, bardzo długo wycierał jej boki wiechciem słomy. W kuchni pojawił się chmurny i milczący, choć ona zdawała się tego nie zauważać. Zbliżyła się do Maryna, delikatnie dotknęła jego ramion, zadrżała w twarz.

— Nie ci się nie przytrafiło — stwierdziła. — Ale nie jedź więcej do lasu i nie zadawaj się z leśnymi ludźmi. Jest we-wsi do kupienia nowa dwukółka. Zaprzęgniemy do niej kłacz i będziemy odtań jeździć we dwoje. Do sklepu, a nawet do miast.

— Nie — odparł. — Kupię drugiego konia. Nauczę cię na nim jeździć. Będziemy razem pędzić przez wielki las.

— Przecież wiesz, że nie powinnam chodzić do lasu...

— Właśnie o to mi chodzi, żebyś zaczęła w nim być. Wzruszyła ramionami i zaczęła podawać sutą kolację. Znowu sama nie jadła, tylko usiadła po drugiej stronie stołu i patrzyła na niego.

— Spotkałem Karasia i Budrysa. Spalili ich zdjęcia, żeby czuli się bezpieczni.

— Zemścić się na tobie...

— Budrys wspominał jak to Tarchoński i Wzdrega trzymali cię, a Kulesza gwałcił.

Zacisnęła usta, trochę przybladła.

— Tarchońskiego pokasała wilczyca. To samo stało się z Budrysem. Wzdrega uciekł stąd. Pozostałem tylko ja. Siedziałem wtedy przy stole i patrzyłem jak się wyrwywasz z ich rąk, jak rozchyła się twój szlafrok, obnażają się twoje piersi i brzuch, Budrys rozwiierał nogi, a Kulesza rozpał rozporek.

— Po co mi to przypominać?

— Przestał jeść, odsunął się z krzesłem od stołu, przykniął powieki, odrzucając do tyłu głowę.

— Bo pamięć o tej chwili dziwnie na mnie działa. Podnieca mnie. Miałas pełne nienawiści oczy i gdybyś mogła to być nas pokasała, wydrapała oczy, jak prawdziwa wilczyca.

— Myślałam, że jednak choć trochę wierzysz w miłość wielką, czystą i prawdziwą.

— Zgaduję, co mnie czeka. Jaką zemstę gotujesz dla mnie? Nie boję się wilczyce. Nie boję się leśnych ludzi. Gdybyś coś więcej o mnie słyszała, wiedziałabyś, że rzadko bywam przerażony.

— Pytam cię znowu: po co o tym mówisz?

— Bo chcę, żebyś się mnie bała. Tak jak teraz ze strachu ściskała kolana. Mówiła mi, że powinienem wypędzić z tego domu tę wilczycę, jak cię nazwali. Ale to głupie. Ten dom i sad tak naprawdę jest tylko twój. Ale ja póty tu będę bezpieczny, dopóki ty będziesz się mnie bała. Nocą i dnem ściskała kolana.

Wolno podniosła się od stołu. Wolnym krokiem ruszyła do drzwi. Otworzyła je, odwróciła głowę i zanim poszła do siebie na górę, powiedziała do Maryna:

— Niewielu rzeczy się boisz, Józwa. Ale przecież miłości to się lekasz...

Poczuł się jak spoliczkowany. I po co mu to było? Dlaczego rozpoczął rozmowę na ten wstrętny temat? Cemu ją dręczył? Naprawdę uwierzył w gadanie Budrysa i Karasia o wilczycy, o groźbie podpalenia domu, o strachu Wzdregi? Jeśli ta dziewczyna była wilczycą, którą powinno się wypędzić, to nie stało na przeszkodzie, aby pojechał do rejenta i przepisał na nią dom i sad, odszedł stąd tak jak to powinien uczynić przyzwoity człowiek. „Do diabła” — pomyślał. — „Czyżby las i mnie zaczął odbierać duszę?”

Wykapał się i poszedł do sypialni. Weronika już tam była, choć spodziewał się, że po upokarzającej rozmowie skryła się w swoim pokoju na górę. Leżała okryta pierzyną i spała, albo udawała, że śpi. Rozbierając się miał uśmiech na twarzy, bo

pomyślał, że jeśli nie śpi, z trwogą ścisła uda i kolana. Czuł się zmęczony całodziennym pobytom w lesie, wypalił w łóżku papierosa i zaraz zgasił światło. Tym razem z oknem głośno huczał las i zagłuszał szmer oddechu Weroniki. Był niemal pewien, że rozumie mowę lasu, słyszy od niego o jego wrogości i nienawiści, ale także o tym, że ma w nim jedynego przyjaciela i dlatego, dopóki zostanie tutaj, nigdy nie zasnę uczucia samotności. Głos lasu pomógł mu zasnąć tak spokojnie, jak nigdy dotąd, zapomnieć o kobiecie, która leżała obok. Nie wiedział, że szum drzew leśnych wygnał z niej sen i sprowadził myśli, które aż przerażały swoim okrucieństwem. Wyobrażała sobie, że oto zabija Maryna, ale nie potrafiła wymyślić w jaki sposób tego dokonać, aby umierał długo i w męczarniach, błagalnie patrząc w jej oczy. Dlaczego ją dręczył wspomnieniem tamtej chwili w leśniczówce? Do czego chciał ją zmusić, gdy wspominał, że pozostał jedynym nie okaleczonym zemstą świadkiem jej kobiecej hańby? Dlaczego był zły, kiedy ona stawiała się dla niego dobrą i uległą, a nawet zachęcała go, aby ją wziął siłą? Kazał jej być dumną, wyniosłą, pogardliwą. To prawda, co jej powiedział, że ona nie rozumie mężczyzny. Jakże bowiem pojąć człowieka, który pragnie sprowadzić na siebie nieszczęście i to z jej ręki? Cemu to jej ręce miały być takie upragnione? „Śpi ufnie jak małe dziecko” — pomyślała. — „A przecież mogą wstać, pójść do kuchni, wziąć noż i przebić go we śnie”.

Przypomniała jej się Leśniakowa i jej gadanina. Czy naprawdę mężczyźni tęsknią za pierśmi i krocem, bo urodziły ich kobiety? Rozpięła guziki w dekoltcie swojej nocnej koszuli, wsunęła tam swoją dłoń i namacała dużą twardą pierś. Co stało na przeszkodzie, aby unieść się na łokciu, pochylić nad mężczyzną i jak w usta niemowlęcia włożyć mu w wargi sutkę tej piersi? Samą myśl o tym, że będzie ją ssał, pil z niej życie — choćby wymyślone, wymyślone — wprawiała jej ciało w rozkoszne drżenie, a dotyk własnej sutki dawał dziwną przyjemność. Ze zdumieniem zauważyła, że kolana i uda same rozchylały się. Odnosiła wrażenie, że tam, między nogami, stała się otwarta i gdyby ten mężczyzna teraz w nią wszedł, stałoby się to bez bólu. Zrobiło jej się gorąco i odrzuciła z siebie pierzynę, zadzierając koszulę aż do brzucha. Ale ten mężczyzna spał, posapując głośno i to ją tak rozniewało, że znowu zaprzagnęła wziąć noż i zranić go śmiertelnie, jak gdyby tylko to mogło zaspokoić jej pożądanie.

Jak długo tak leżała na wpół naga w słabym działy świetle księżycowego blasku? „Wilkołak” — tak o nim powiedziała Eryka. I nie mogła się opanować, aby — nie wyciągnąć ręki i palcami dotknąć jego krótko ostrzyżonych włosów na głowie. Chyba nie obudził się, więc przekreśliła się na bok, uniosła na prawym łokciu i lewą dłonią coraz śmielej głaskała jego szorstkie sterczące włosy. Potem opuszczała jej palców, w których zaczynała odczuwać mrowienie, zeszusnęła się na jego czoło. Zatrzymała dłoń na powiekach zamkniętych oczu i serce zabiło jej strachem, gdy pod palcami poczuła drżenie rzęs. Obudził się więc. Przestrach przegonił jej dłoń na jego nos i później na usta. Palce wyrzuciły — jak się jej zdawało — wilgotne i lepkie wargi jak u niemowlęcia. A wówczas strach w niej zniknął, rozzerwała na piersiach koszulę, podsunęła się bliżej mężczyzny i sutkę lewej piersi wsunęła między jego wargi.

Zaczęła ją ssać jak dziecko. To było rozkoszne i takie dobre, bo przecież dawała mu siebie, swoje życie. Jej lewa dłoń znowu zaczęła pełzną po jego ciele. Ze zdumieniem dotknęła malutkiego guziczka męskiej sutki, zadziwiła się, że jest coś niezwykle ciekawego i podniecającego w odkrywaniu tajemnic męskiego ciała — nie wiedziała o tym w małżeństwie z Kuleszą. Jej dłoń i jej palce otwierały przed nią jakiś nowy świat, wyczuwała wysokie sklepienie męskich żeber, potem zapadnięty brzuch o twardych mięśniach, zupełnie inny brzuch niż jej, Weroniki. On wciąż ssał ją wolno, czuła nie tylko jego wargi, lecz także delikatny uścisk zębów. To jej jednak nie sprawiało bólu, a nawet zwiększało przyjemność. „Dalej nie wolno” — ostrzegala się, pamiętając jak uciekała z jego łóżka. Ból pożądania wydawał się jej coraz większy, a wyznaczone granice dla dion budziły pragnienie, aby je przekroczyć nawet wbrew rozsądkowi. Zrobiła jeszcze jeden ruch, zsuwając dłoń po szorstkim owłosieniu. I tam, gdzie kiedyś natknęła się na sterczący stromo twardy odrost, napotkała coś miękkiego, delikatnego, gorącego. Jęknęła radośnie, bo nie doznała już przerażenia tylko poczuła ogromne bezpieczeństwo. Jak gdyby bojąc się, że ulega złudzeniu, chwyciła całą dlonią wielkiego członka i położywszy się na tym mężczyźnie, szepiała mu do ucha: „Będziemy jeździć po lesie, tak jak zechcesz. Będę ci służyła wiernie, jak zechcesz. Będę cię kochała miłością taką jaką zechcesz”. Należał teraz do niej. Nie będzie nadziewał na siebie kelnierki z Gaud, a ona co noc zacznie przeżywać rozkosz snania, radość jaką przynosi jej dionie. Jakże wiele zagadek zapewne kryje jego gładka skóra, jego uda, jego malutkie sutki, jego szorstka broda. Przestała szeptać do jego ucha, gdyż pierwszy raz w życiu usłyszała i pojęła mowę własnego ciała. Zaczęła całować go w czoło, w oczy, wyjęła mu pierś z ust i wsunęła mu w usta swoje wargi, aby posmakować jego śliny. I wtedy poruszył się pod nią. Jego nieruchome dotąd dionie objęły ją, poczuła je na nagich pośladkach. Miała uczucie, że chwilami traci przytomność od dręczącego pożądaniem kroczu i dopiero w ostatniej chwili zauważyła, że w jej dionie coś twardnieje i rośnie, zaczyna pokrywać się węzłami żył z pulsującą krwią. Pomyślała, że jeśli teraz ucieknie — znenawidzi się i zabije. Dlatego sama zada sobie ból choćby najstraszniejszy. Głośno dysząc przełożyła przez niego swoje uda, wsparła się na kolanach i trzymając w dionie jego sterczącego członka, nadziała na niego swoje krocze. Krzyknęła cicho, bo spodziewała się bólu. Ale doznała wrażenia rozkosznego wypalenia. A wraz z nim nastąpiła ulga. Dygocąc ze szczęścia, ujęła jego głowę w swoje dionie. W słabym świetle księżycowego blasku widziała zaledwie owal jego twarzy, ale przecież wyraźnie spostrzegła błysk łez, które z jej oczu spadały na jego oczy i policzki. Poruszyła się na nim delikatnie, a potem drgnęła, gdy gdzieś w głębi jej łona uderzyło ją wytryskające z niego nasienie. Z oddali słyszała szum lasu. Jeszcze mocniej przycisnęła do niego piersiami i twarzą, a on ścisnął ją ramionami aż do utraty tchu. Ta chwila zdawała się przedłużać w wieczność, gdyż ogarnęła ich miłość wielka, czysta i prawdziwa.

KONIEC

AGONIA

W BLASKU STU SŁOŃC

Już za tydzień nowa powieść Jacka Sawaszkiewicza